

**Krakowowa Paulina**

**OBRAZY  
I  
OBRAZKI WARSZAWY**

DO CZYTELNIKÓW

Zaiste, trudneby to było zadanie, gdyby mi przyszło zdać ściłą sprawę i rachunek z tego co się w tém dziełku mieści. — Nigdy nie miałam chęci, ani zamiaru zbierania ściłych statystycznych wiadomości o stolicy naszego kraju: jój historyi nie považyłabym się dotknąć śmiało, bo ta innego pióra, wielkich wiadomości i przyjaźniejszej pory oczekuje — do świetnego życia Warszawy nigdy czynnie nie należałam i nie należę — cóż więc o niej powiem? co napiszę?

II.

Od dzieciństwa żyjąc w mieście, znam bez wątpienia wiele jego osobliwości, ale któż ich nie zna? Mamy tyle wspomnień o Warszawie, tyle jój opisów porządnych, że wiedząc przynajmniej o Świeckim, Gołębiowskim, Lipińskim i Balińskim, znając cząstkowo udzielane wiadomości Autora Pamiątek Warszawy, wielkiej śmiałości, wielkiego zaufania w swych siłach

potrzebaby, do przedsięwzięcia nowego opisu. Ale ja też opisywać nie myślę; nie powiem wam ile łokci długości i szerokości ma jaki plac lub ulica, ile przy niej domów stoi — ile kaplic i kolumn znajduje się w którym kościele, i do jakiego one porządku architektury należą; — wszystkich takich szczegółów, dat, cyfer, nie wiele tu znajdziecie. — Za to powiem, jakie uwagi powstawały w umyśle moim na widok niektórych gmachów lub zakładów, podzielę się z wami wrażeniem, jakie mnie kiedyś w tej lub owój świątyni ogarnęło, wspomnę co od starych ludzi słyszałam, co w książkach czasem spotkałam, co niedawno dowiedziałam się od mężów znakomitych nauką i badających dzieje Warszawy. Wiem, że zdanie moje nie w każdego zdanie trafi, że wsunięte tu wiadomości nowe ani rząd-

### III.

kie nie będą, jednak milój je będzie znaleźć gotowe, w właściwem miejscu, niż z mozołem szukać w potrzebie.

Teraz pozostaje mi jeszcze powiedzieć dla czego zbierałam te obrazki, i czemu je dziś na widok powszechny wystawiam? Oto — urodziłam się w Warszawie. — Gwar jój życia najpierw uderzył moje ucho, dzwony wszystkich jój kościołów śpiewały nad moją kołyską, usypiając i budząc mnie na przemiany, z pośród jój murów wzrok mój najprzód w niebo się wznosił, wszystkie wypadki i wspomnienia bytu mojego tak zawsze z Warszawą się łączą, że bez méj woli i wiedzy nawet, wzrosło we mnie uczucie szczególnej życzliwości, dla tego punktu szerokiej ziemi, świadka tylu wielkich wypadków, tylu cnoty przykładów. — Dla tego to, jak dziecko o

rodzinnój chacie, jak starzec o dawnych czasach, ja lubię słuchać, mówić o Warszawie. — Dla tego patrząc na zmiany, które w niej jak w każdym dziele ludzkiej reki nieustannie zachodzą, patrząc na nowe gmachy wznoszące się w miejscu tych, co w gruzy upadły, i zacierające ich ślady, nieraz pomyślałam sobie: że szkodaby choć kilku zarysami nie IV.

utrwalić tych kształtów tak ciągle a nieznacznie się zmieniających, tak zwolna nowe przybierających barwy;—pod wpływem każdego nowego wrażenia pobieżnie, dla siebie, rzucałam na papier uwagi o téj lub owój części lubego mi grodu. I takim to sposobem powstały te obrazki. Nie jestem tyle próżną, by im jakieś pewne, trwałe stanowisko naznaczać, lecz przekonana, że żadna myśl pocziwa zupełnie bezowocną być nie może, spodziewam się że i ta książka znajdzie swoich czytelników; że ją chętnie weźmie do ręki matka w rodzinném kółku, dziewczica w swojej komnatce, lub brat jój, co pasując się z nawałem różnorodnych nauk, nie miał jeszcze czasu spojrzeć w dzieje swojego kraju, a tern mniej pojedynczych jego części; że młoda ziemianka przeczytawszy te kartki, nie tylko za skład modnych towarów, za przybytek zabaw i wesołości uważać będzie Warszawę. Słowem;—jeżeli chodząc po Krakowskiém-przedmieściu, od sklepu do sklepu, dla nabycia kosztownej fraszki, wspomni ktokolwiek, że naprzeciwko jest nędzy schronienie — jeśli kto drugi zamiast rzucić ubogiemu obojętną jałmu-

V.

żnę, umieszczeniem go w jakim zakładzie, zapewni pokój ostatka dni jego, jeśli przechodząc koło starych murów uczci pamięcią ich dawnych mieszkańców—jeśli spotkawszy pięknego czynu wspomnienie pomyśli: że warto po sobie podobną pamięć zostawić — to już nie próżno moje obrazki kreśliłam.

Jeżeli wreszcie dzisiaj trudno im cel wybitny naznaczyć, pomyślmy, że świat i ludzie, idąc zwykłą lat koleją, jednak na jeden i ten sam przedmiot coraz z innego patrzą stanowiska; chociaż więc każdy wie i widzi wszystko co tu opisałam, przyjmijcie te obrazki, jako szkic zdjęty z ulubionej postaci, jako kartkę dziennika, które lubo zwyczajne i obojętne w chwili skreślenia, z każdym dniem nabierają ceny:— a gdy się postać zmieni i uczucia przeminą, stają się nam świadkami bytu i wrażeń, które inaczej przeminęłyby bez śladu.

I.

## PIELGRZYMKA PO KOŚCIOŁACH

W każdéj ważniejszej chwili życia, pierwsza myśl religijnego człowieka ku Bogu dąży; pierwszy krok dziecięcia z domu rodziców do chrzcielnicy je prowadzi, prawdziwe uczucie szczęścia lub cierpienia ku niebu nas zwraca; - ono najczęściej bywa celem pierwszego polotu wyobraźni, ono bywa kresem głębokich dociekań mędrców rozbijających się o niedocieczoną istotę Stwórcy. – Dlatego zaczynając po staremu, zamierzam najprzód wspomnieć niektóre kościoły Warszawy, te przybytki jawnej i uro-

czystej czci Boga od tak dawna nieprzerwanie Mu składanej, te gmachy w których tylu wieków przeszłość wypisana olbrzymiemi głoskami ołtarzy, filarów i grobowców, rozłącza swe bogactwa przed okiem przechodnia, które najczęściej zaćmione lenistwem ducha, błąka się obojętnie po tych świętych szczątkach.

Kościół były u nas świadkami wszystkiego, co tylko ważnego świętego, pożytecznego stało się w kraju; — każde wielkie przedsięwzięcie polecano publicznie Bogu, za każdą pomyślność dziękowano serdecznie; w czasie klęsk powszechnych, tu wsparcia i pociechy szukano; to też każdego prawie znakomitszego wypadku ślady znajdziemy w kościelnych murach.

A pominąwszy dawne dzieje i wypadki, czyż dla każdego z nas, kościół nie ma świętego, tajemniczego uroku? — Któż wchodząc pod te wyniosłe sklepienia nie czuje się przejętym pewnym trwożnym poszanowaniem? Kto wśród wzburzenia umysłu nie doznał uciszenia w tych murach ręką Wiary ku czci Miłości wzniesionych? Kto wreszcie przechodząc własnego życia koleje, zapomni, że u stopni ołtarzy, płakał w cierpieniu, w radości dziękował?

Komukolwiek zaś Warszawa jest miła, kto się w niej rodził lub przemieszkał długo, ten pewnie w poczciwym sercu zachował cześć głęboką dla jej kościołów, jak dla grobów boleści, jak dla błogiego pokoju kolebki.

## KATEDRALNY KOŚCIÓŁ Ś. JANA ,

Przy wązkiej Świętojańskiej ulicy, stoi najdawniejsza Warszawy świątynia, otoczona i zasłonięta sąsiednimi domami, jak w ów czas, kiedy jeszcze ta strona miasta była głównym punktem skupienia ogólnego życia; dla tego

W r. , kiedy Warszawa wsią jeszcze była, istniał tu już kościółek drewniany, po zgorzoniu którego, odbudowany w r. przez Ziemowita I. księcia mazowieckiego, w r. stał się parafialnym, pod tytułem Świętego Jana. W roku Kommissarze apostołscy sądzili tu sprawę Kazimierza W. z Krzyżakami. Janusz ks. Mazow. odnowił i powiększył go do dzisiejszej obszerności, a w roku kollegiatę z Czerska tu przeniósł.

W roku, przystawiono staraniem i nakładem Klemensa Branickiego kaplicę po prawej stronie Wielkiego ołtarza, rozpoczętą w połowie XVII wieku, przez Stanisława Małopolskiego. — W roku starannie odnowiony. — W roku przerobiony, jak go dotąd widzimy.

może zewnętrzna jój postać nie mogąc w małej przestrzeni sprawić widzowi wielkiego wrażenia, nie przygotowuje go należycie do widoku, jaki za wnijsciem wewnątrz spostrzega.

Przez obszerny przysionek wchodzisz pod chór, i tu już stojąc w półcieniu czujesz, jak cię mimowolne poszanowania uczucie ogarnia; wzniosłe sklepienie śmiało wsparte na wysmukłych kolumnach, pociąga wzrok ku sobie; — boczne okna wielkie, kolorowem szkłem gdzie-

niegdzie ozdobione, rzucają na potrójną nawę kościoła jasne światło, które odejmując mu posępność, gotyckim gmachom właściwą, nie umniejsza przecież powagi i piękności. Okna te cudny sprawiają efekt, kiedy w Czwartek lub w Niedzielę, uroczysta processya cały wewnętrzny obwód świątyni obchodzi, a po bogatych szatach kapłanów, po białej niewiast odzieży, po siwych włosach starców, przebiegają różnobarwne promienie, przypominające tęczę — zwiastunkę nadziei i pokoju.

W wielkim ołtarzu, wszystko nosi piętno powagi i uroczystości niewypowiedzianej; — z każdej strony długi chór z dębowego drzewa i pod nim także stalle kanoników, bogatą rzeźbą

ozdobne, tworzą dwie ciemne ściany, od których mocno się odznaczająca purpura prałatów, i białe komże młodszego duchowieństwa, samą sprzecznością barwy, zdają się przypominać wezwanym ku służbie bożej: — „Ty sam bądź jasnym i nieskażonym, a przepych świata za cień tylko uważaj.”

I jakby dla ułatwienia tego nakazu, ołtarz jaśniejący złotem pociąga oko, ale go nie razi, bo troskliwie dobrane szyby dwóch olbrzymich okien, łagodzą blask światła, i tajemniczym prawie urokiem napełniają całą tę cześć świątyni.

Patrząc ze środka kościoła, zdaje się tu widzieć ów przybytek, w którym duch Boży ogarniał wybranych; przejmując nas trwożna nieśmiałość, a przecież łagodne jakieś wzruszenie pociąga mimowolnie do tych szerokich stopni, u



których pragniemy ukorzyć serca nasze, do tych obrazów, co mdlejąc w niepewnym świetle, porywają umysł od ziemi; do tych prostych i poważnych śpiewów sług Pana, to znów do nierównych a przecieź zgodnych tonów z chóru pochodzących, i malujących tak wiernie burzliwe czucia i niestały umysł sług świata; — w śpiewie kapłanów słyszysz wyraźnie odbicie pokoju

duszy, ufności w Panu, nieustanną a zawsze jednaką modlitwę;— w dźwiękach orkiestry niepewność, uniesienie, czasem ciszę lub wesele chwilowe, częściej burze, płacz, lub jęki.

Kiedy tak przejęty i niepewny wahasz się między pociągiem i nieśmiałością, rzuć okiem na lewo; — na stopniach kamiennych mnóstwo ukorzonych postaci pochyla w modlitwie czoło; —wyżej ciemna kaplica, napełniona pobożnym ludem.

Jest to znana kaplica Pana Jezusa.

W ołtarzu, posąg ukrzyżowanego Zbawiciela wyrobiony z ciemnego drzewa, takie piętno boleści i miłości nosi w obliczu, że nieprzytaczając wspomnieli niezliczonych cudów, których tu wierzący podług podań i akt kościelnych jawnie doznali,—już samo roztkliwienie najmniejszego serca na widok téj twarzy, samą pociechę jakiej doznaje cierpiący, wpatrując się w ten wyraz niewysłowionego, nadludzkiego cierpienia, jest jawnym, codziennie powtarzającym się dowodem łaski Stwórcy i Pocieszyciela.

Ile to głosów wzniosło się ztąd w niebo od czasu, kiedy pobożny Baryczka mieszczanin

warszawski sprowadził posąg ten z Norymhergi, chwytajacęj się reformy! Hartowna dusza Maryi z Gonzagów, nieraz tu siły i wsparcia szukała. Przebiegły umysł Maryi-Kazimiry tu się unizał w pokorze. Marya-Józefa modliła się na tych kamiennych stopniach o cnotę dla dzieci, o szczęście małżonka; a oprócz znacznych rodem i godnością, ileż to od końca XVI wieku aż do naszych czasów, żon, cór, matek, starców zasyłało tu modły do nieba — i jeżeli nie spełnienie prośby, to przynajmniej uspokojenie, złagodzenie boleści, nową ufność w sprawiedliwość i miłosierdzie Boga odniosły! Nie wiem czy to ogólne jest wrażenie, ale miejsca skropione łzami, miejsca w których odnawiają się nieustannie oznaki wiary i miłości, miejsca smutku i pociechy, budzą we mnie głębokie poszanowanie.

Kaplica Pana Jezusa, codzien pełna jest pobożnych; — w piątki, od świtu aż do południa, trudno się tędy przecisnąć, a msze jedna po drugiej bez przerwy odprawiane bywają.

Po drugiej stronie W. ołtarza jest kaplica poświęcona Najświętszej Maryi Pannie. — Tu

wszystko świetniejszej, weselszej barwy, światło dzienne złoci ściany, mały chórek z organami u góry, ławki pod ścianami, wszystko miłą, choć może nie tyle co poprzednia kaplica uroczysta ma postać. — Sam ołtarz z postacią boskiej dziewicy, zarówno cierpiących jak szczęśliwych pociąga ku sobie.

Kaplica ta należy do istniejącego od dawna, przy kościele tutejszym Bractwa literackiego, którego założenie odnosi się do roku . —

Król Michał i Jan III. potwierdzili je; do protektorów tego zgromadzenia, prawie zawsze należały znakomite osoby, a między nimi, Kardynał Radziejowski, Marja Kazimira, August II. I wielu innych.

Dawniejszemi czasy do Bractwa literackiego należeli głównie obywatele i rzemieślnicy warszawscy, dziś obok nich ujrzysz kupców, artystów, urzędników wyższych i niższych stopni. Obowiązkiem braci jest znajdowanie się w uroczystości w świątyni, jałmużna i modlitwa.

Niewiadomo dla czego to bractwo, literackiem nazwano? Może w czasie, gdzie między średnią klasą warszawian rzadką była oświata, nauka czytania i chóralnego śpiewu, koniecznie

każdemu Członkowi tego towarzystwa potrzebna, nadawała mu pewną wyższość nad współbracia, która się jeszcze nie podniosła była do tego stopnia umiejętności, i jako człowiekowi zdolnemu zajęcia się książką z pożytkiem, nadawała nazwę literata?

Świątynia ta, najdawniejsza w całym mieście.

Przy wielkim ołtarzu znajduje się grobowiec Stanisława i Janusza, ostatnich książąt mazowieckich, wykuty z czerwonego marmuru, i przedstawiający w braterskim objęciu, tych dwóch młodzieńców tak silnym przywiązaniem za życia złączonych, i w kwiecie wieku, w jednymże prawie czasie snem śmierci owianych. W kaplicy Pana Jezusa, z czarnego marmuru

nagrobek Jana Szembeka z modlitwą przez niego ułożoną. — W ścianach mozaikowe portrety Okęckiego biskupa poznańskiego, i prymasów, Raczyńskiego i Poniatowskiego Michała. — Marmurowe tablice z takimiż popiersiami, Zagór-

skiego, Nowodworskiego, tylu szczęśliwemi bitwami i przyjaźnią Fabijana Birkowskiego znakomitego, Czartoryskiego, Zygmunta Kazanowskiego, wszystkich znakomitych wojowników. — Skromna tablica położona uczonemu Albertrandemu, i portretami ozdobny nagrobek Bacciarellego, którego prace tyle kościołów, tyle pałaców ozdobiły.

Oprócz kilku jeszcze grobowców z czerwonego granitu, ujrzysz śliczny, z białego marmuru wystawiony pomnik Stanisława Małachowskiego. — W płaskorzeźbie popiersia rycerzy, kapłanów, urzędników miejskich, a napisy na nich świadczą, że każdy szczycił się swoim stanem, i całym życiem usiłował w raz obranym zawodzie na chlubną i pocziwą wzmiankę po śmierci zasłużyć. — Ciekawa rzecz, jakie też dla nas nagrobki pisać będą? — my tak wszyscy wszystkim być chcemy, tak zdajemy się zapominać zupełnie, że warunkiem pierwszym doskonałości budowy, jest staranne, dokładne obrobienie każdego kamyka, każdej cegielki, że równie ważną jest praca kopiącego ziemię na posadę, jak i tego, który najwyższe kończy sklepienie!

Z wielkiego chóru po nad głównemi drzwia-

mi umieszczonego, i wielkimi organami opatrzonego, prześliczny jest widok na całe wnętrze kościoła; w czasie wielkich uroczystości, kiedy cała nawa napełniona jest pobożnymi, kiedy przed Wielkim ołtarzem roztoczona cała wspańiałość naszych obrzędów poważnym uczuciem duszę napełnia, kiedy dźwięk narzędzi muzycznych i dobranych głosów, w nadludzką sferę umysł i serce unosi, wtenczas będącemu na chórze zdaje się, jakby zawieszony między niebem i ziemią, bujał w niezmierzonej przestrzeni i raz w modlitwie z ludźmi braćmi swymi, to znów w melodyi z niebieskimi chórami się łączył.

Wiele jest dni świątecznych ze szczególną uroczystością, w kościele Świętego Jana obchodzonych, ale mnie, dwie najmocniej zajmują.

Umywanie nóg starcom w Wielki Czwartek, i odpust na Przemienienie Pańskie.

Kogóż bo nie wzruszy ten jawny dowód pokory Zbawiciela, którą on uczniom swoim przekazał? Któż się nie upokorzy, widząc pasterza i duchownego ojca tylu wiernych, czyniącego najniższą posługę najuboższym z ubogich? Kto nie przyzna, że ta tylko religja jest boską pra-

wdziwie, w której zwyciężenie pychy nie poniżenia, lecz największej doskonałości jest dowodem.

W dniu Przemienienia Pańskiego i przez cały tydzień po tém święcie następujący, nieprzeliczone tłumy modlących się, zalegają świątynię, bo jestże kto, coby przemiany na lepsze nie pragnął?

Strojem i korną postawą odznaczają się wło-

ścianie z okolic Warszawy, tłumnie na tę uroczystość ze wszystkich stron przybywający. — Ubiór ich mile w oko wpada; głowę każdej niewiasty wielki czepek osłania, każda dziewczucha wzorzystą chustką przykrywa gęste włosy i kraśnemi kwiatami zdo- bi swe czo- ło, a świeża bielizna, liczne wstęgi u warkoczy, starannie wyszywane trzewiki, i niezliczone mnóstwo koralu, paciorek błyszczących na ich szyjach, świadczą równie o zamożności, jak i o zamiłowaniu porządku tych sąsiadek naszych. Odzież mężczyzn kolorem tylko różni się jedna od drugiej— czy to zielona, granatowa, czy siwa, zawsze jednego kroju sukmana okrywa silne barki, jednakiego kształtu wysoka czapka z barankiem pod ramieniem spoczywa, a wszys-

cy przez ciąg całego nabożeństwa na kolanach z schyloną głową, równie a może goręcej niż mieszkańcy miasta w ławkach i krzesłach się- dzący, modlą się do Pana niebios o przemienie- nie wszystkiego, co w ich doli zbyt ciężkiem jest lub było.— Przez tyle lat w tych murach i w tym dniu tak jednogłośnie, o też samą łaskę wołają, a choć ogólna prośba często tylko w drobnych i rozproszonych cząstkach wysłu- chaną bywa, prośba ta co rok z równym zapa- łem, z równą wiarą się powtarza. Patrząc na te tysiące głów, to schylonych z pokorą, to z mi- łością ku niebu wzniesionych, z uwielbieniem po- dziwiamy te dwa cuda—jeden stałej, niezmiennéj ufności, drugi — nieograniczonego miłosierdzia, za które taką wdzięczność mieć należy, choćby ono nie objawiało się inaczej, jak tylko utrzy- maniem w sercach wiary i zaufania.

## KOŚCIÓŁ XX. PIJARÓW.

Przytulony do katedry Świętego Jana, tuż obok niej stoi niepozorny z powierzchowności, jak najskromniejszy wewnątrz kościół Xięży Pijarów, w roku przez Zygmunta III dla . Jezuitów zaczęty, a przez tychże zakonników w r. dokończony; oddanym został Pijarom, po przeniesieniu ich z ulicy Długiej, z miejsca gdzie dziś jest kościół katedralny N. Trójcy.

Kościół ten, w którym po tyle razy brzmiały poczciwe, szlachetne, pełne religijnego uczucia wyrazy naszego Skargi, świetna wymowa Sarbiewskiego i tylu innych, który po skassowaniu Jezuitów, przez długi czas stał pustką, a później za skład wełny i innych towarów służył,

przywrócony do dawnego przeznaczenia znowu odbija głosy ku Niebu dążące, czy to w śpiewie artystów i lubowników muzyki, którzy tu co niedzielę prawie, z prawdziwym talentem najpiękniejsze religijne dzieła wykonywają; czy w cichéj modlitwie pobożnych, czy w pełnych zapału wyrazach znakomitego kaznodziei.

Uroczyście tu obchodzonym bywa dzień N. P. Łaskawój, przez Jana Kazimierza za szczegól-

ną opiekunkę miasta tutejszego uznanéj, a przypadający w pierwszą niedzielę majową.

Do kościoła tego przytyka od Jezuickiej ulicy, dawne kollegijum Jezuickie w r. przez Ludwika Załuskiego wystawione, a teraz na mieszkanie dla Xięży Pijarów służące. — Dziwnym zbiegiem okoliczności, w miejscu gdzie przez lat tyle żądzą władzy ożywione Zgromadzenie Jezuitów jednym trybem kształciło młode umysły, i za ich pośrednictwem tak wielki wpływ na kraj cały wywierało, przebywa Zgromadzenie Pijarów.

XX. Pijarów sprowadził do Polski Władysław IV. w r. .

## BERNARDYNI,

Naprzeciw zamku, jedną stroną ku Krakowskiemu-przedmieściu, drugą ku Wiśle zwrócony, wznosi się założony przez Annę księżną mazowiecką w roku , kościół Bernardynów, z wieżą włoskiego kształtu, i klasztorem przysłoniętym ozdobną galerją. Kościół ten ma piękną kaplicę świętego Ładysława, i drugą N. P, Maryi, zwaną Loretańską—wielki ołtarz za filarami, którego widać obszerne sklepienie zakonnego chóru zdaje się mimo powagi, jakąś napowietrzną budową.— Wnętrze tego kościoła po mistrzowsku na płótno przeniesione przez p. M. Zaleskiego, widzieliśmy na ostatniej wystawie sztuk pięknych. — Ogrody bernardyńskie



rozciągały się dawniej aż do Wisły, a zakonnicy wierni uczynionemu ślubowi ubóstwa i pracy, sami je uprawiali, sami także starali się ozdabiać swój kościół już pędzlem, już dłutem, którym umiejętnie władać umieli.

Lubię w dzień pochmurny modlić się u Bernardynów, bo wtedy kościół ten o poważnych i wyniosłych sklepieniach, najstosowniejszą do kształtu swego przybiera barwę.

Pewnego razu, kiedy już mrok przysłonił białe mury bernardyńskiej celi, i zaledwie już można było rozeznąć stojące w niej sprzęty, których świetność dowodziła, że to nie prostego zakonnika było mieszkanie, mąż poważnej postaci, w długiej fioletowej szacie, z szeroką srebrną brodą, chodził wzdłuż i w poprzek, w milczeniu i głębokiej zadumie.

Był to Stanisław Karnkowski, Arcybiskup gnieźnieński i Prymas królestwa; miał o czém myśleć i dumać, bo to było bezkrólewie po śmierci Stefana; czas niezgód i kłótni, kiedy po długich sporach głosy wyborców podzieliły się na dwie strony, dwoma obozami na elekcyjnym błoniach stanęły, i do zaciętej gotowały się walki.

Arcybiskup oddawna już z boleścią poglądał na te waśni, oddawna i Zborowscy pragnący na króla Maxymiljana Arcyksięcia austriackiego, i Zamojski trzymający stronę Zygmunta Wazy, starali się przeciągnąć ku sobie przeważne zdanie starca, a za jego śladem i duchowieństwa całego; lecz Karnkowski wierny kapłańskiemu powołaniu, nie mieszając się do niesnasek bratnich, stał między dwoma stronnictwami jak prawdziwy sługa boży, godząc spory, łagodząc niechęci, i oczekując kto obranym zostanie, by go wedle urzędu i obowiązku swego na króla namaścić.— Jednak sercem sprzyjał królowiczowi szwedzkiemu, boć to syn Jagiellonki, a Karnkowscy z ojca do syna, wiernymi byli Jagiełłów rodzinie.

Otóż jak już mówiłam miał o czém myśleć /poważny starzec, tém bardziej, że strona Zygmunta słabiała, że chociaż panowie liczne dwory podejmowali, chociaż królowa Anna sama niezamożna, przeznaczyła sto tysięcy złotych na utrzymanie w Warszawie stronników ukochanego siostrzeńca, przecież uboższa szlachta nie mogąc się końca elekcji doczekać, rozjeżdżała się do domów; — a co najgorsza, to

że Zborowscy widząc iż Karnkowskiego przeciągnąć nie mogą, z pogrózkami się odezwali, i zapalony ich stronnik Górka wojewoda Poznański, tego jeszcze dnia wykrzyknął:

— Albow nie Górka, albo jutro Arcybiskupa między nami ujrzycie!

Wiadomo że Zborowscy nie łatwo odstępowali od powziętych zamiarów, a Stanisław Karnkowski przechodząc myślą wszystko czego

się dopuścili dotąd, coraz głębiej i smutniej się zamyślał, gdy zlekka we drzwi zapukano, i wnet z spuszczonej w tył kapturem, z założonymi rękami, stanął w celi poważny bernardyn.

— Cóż tam ojcie przeorze? spytał Karnkowski nie przerywając przechadzki.

— Źle oto! jeżeli Przewielebność Wasza posłuchać raczy. Przed godziną, ojciec Ambroży chodził po ogrodzie nad samym brzegiem rzeki i odmawiał wieczorne pacierze, gdy niespodzianie usłyszał obce głosy, i zasłonięty drzewem zobaczył dwóch nieznajomych uwijających się nad wodą;— to oglądali brzeg; to patrzyli na klasztor, w końcu wsiedli w małe czółenko i odpłynęli, mówiąc: „za dobrą godzinę!”

— A minęła już ta godzina ojcie?

— Tylko co! Aleja też usłyszawszy o widzeniu ojca Ambrożego, posłałem trzech braciszków na zwiady, i to mówią mi, że do brzegu pod ogrodem przybił spory statek, zbrojnym ludem osadzony.

— Może jacy źli ludzie myślą najść cichych sług bożych?

— Nie!—Tylko niewiem jak sobie wyeksplikować co braciszkanie słyszeli.

— A mówcież no, mówcie ojcie przeorze!

— rzekł zniecierpliwiony trochę Karnkowski.

— Oto, — chcą porwać Waszą Przewielebność! — wymówił przytłumionym głosem Bernardyn.

Zamyślił się Karnkowski, groźby Zborowskich przyszły mu na pamięć i zapytał po chwili:

— Nie wiecież ojcie co to byli za jedni?

— Niewiem! Tylko jeden z braciszków sły-  
szał jak coś mówili o Górcie, i o przyrzeczonej  
nagrodzie, jeżeli mu przed północą Waszą Prze-  
wielebność dostawią.

— Niechże się dzieje wola boża! — rzekł  
Arcybiskup, i założywszy ręce na piersi począł  
znów chodzić po celi.

—

— Z pozwoleniem Waszój Przewielebności,  
rzekł poważnie zakonnik, — z wolą bożą takie  
zgorszenie stać się nie może; i w tém przeko-  
naniu takim rzeczy rozporządziła że nasi goście  
nie prędko się tu dostaną.

— A! broń Boże! nie chcę ja być powodem  
gwałtów i bitwy.

— Może do niej nie przyjdzie; boć myślę, że  
skoro napastnicy ujrzą szereg sług bożych go-  
towych na ich przyjęcie, zaniechają bezbożnego  
zamiaru.

— Nie! nie! Dziękuję wam za życzliwe chęci,  
ale nie chcę żadnego oporu; rozkażcie ojcom i  
braciom powrócić do cel swoich, a staranie o  
mojém bezpieczeństwie zdajcie na Opatrzność.

Słowa te, łagodnie lecz stanowczo wyrze-  
czone, zasmuciły bernardyna; wszelako po-  
słuszny zwierzchniej władzy, wyszedł z celi  
pomału i niechętnie odwoływać wydane rozpo-  
rządzenia.

Karnkowski tymczasem przywoławszy poko-  
jowego, rozkazał mu jarzące świece w sre-  
brnych świecznikach osadzone pozapalać, celę  
urządzić, na stole umieścić infulę i szaty Bi-  
skupie, a przy krześle postawić pastorał; —

skoro się zaś młodzieniec oddalił, starzec klęknął u modlitewnika, i złożywszy ręce pobożną modlitwę zasyłał do Pana Zastępów.

Krótko trwała spokojność i milczenie, drzwi celi otworzyły się nagle, i mąż lat średnich z sutym wąsem, podgoloną głową, i szablą u pasa i stanął na progu, a pochyliwszy się dwornie przed starcem, rzekł:

— Darujcie mi najprzewielebniejszy Księżu Arcybiskupie, jeżeli wam święte przerywam zatrudnienie; ale co mi polecono wypełnić muszę. Dla dobra kraju, dla własnego ubezpieczenia, chce Przewielebność Wasza udać się z mną bez zwłoki.

— Gdzie?— spytał powstając Karnkowski.

— Nie mogę powiedzieć aż u drzwi klasztoru.

Arcybiskup zbliżył się do mówiącego, a przypatrzywszy mu się przez chwilę rzekł:

— A gdybym nie chciał?

— Mam zbrojnych ludzi u bramy, odparł zagadniony, — porwiemy Waszą Przewielebność!

— I to wy, panie Pękosławski, podjęliście się takiego polecenia? Inaczej ja o sercu i prawości waszój trzymałem.

— Na téj nikt się nie zawiedzie. Ale czas uchodzi, Księżu Arcybiskupie! spieszmy!

— Powiedzcie mi wprzód— rzekł Karnowski, kogo żądacie? Prymasa, czy Stanisława z Kanikowa?

— Podobno bardziej drugiego; — odpowiedział Pękoślawski.

— Niechże więc te oznaki duchownej godności pozostaną w zakonnej celi, — rzekł Prymas, wskazując na obrzędne szaty swoje, a umoczywszy palce w zawieszonej przy drzwiach kropielnicy, przeżegnał się i wyszedł na kurytarz. — Ztapiwszy na dół, zdziwił się nie po mału, gdy zamiast ogrodem ku Wiśle, poprowadzono go do drzwi na Krakowskie-przedmieście wychodzących; tam wsadzono go w karetę poczetem zbrojnych otoczoną, i konie skoczyły galopem ku krakowskiej bramie, a stamtąd tyłami na zamkowy dziedziniec wpadły.

Zwiększyło się jeszcze zdziwienie porwanego, kiedy przeszedłszy kilka komnat w ślad za Pękoślawskim, wszedł do oświetlonej sali, i zamiast zuchwałych Zborowszczyków, ujrzał wychodzącą na swoje spotkanie królowę Annę Jagiellonkę, w wdowich szatach, lecz z spokojnym i

pogodnym obliczem, a za nią wielkiego Zawojskiego, który podając Pękoślawskiemu rękę, rzekł:

— Dzięki wam panie Stanisławie! będę ja tę przysługę pamiętał Waszmości.—A obyło się bez bójki?

— Już się za nami brama zamykała, kiedym usłyszał Zborowszczyków, jak się od ogrodu chałaśnie do klasztoru cisnęli, i jak ich ksiądz przeor odmonestował.

Tu dopiero dowiedział się Arcybiskup, że Zamojski wcześniej uwiadomiony o zamachu wymierzonym przez Górkę, zniweczył go, i niemało przykrości sędziwemu starcowi oszczędził.

Wkrótce potem, kiedy Zamojski zwycięstwem pod Byczyną elekcję Zygmunta Wazy zapewnił, poważny kapłan rozradowany z ukończenia niesnasek, w katedralnym kościele w obliczu mnóstwa panów i ludu, otoczony licznym duchowieństwem, donośnym głosem śpiewał Te Deum, a niedaleko, w bernardyńskim klasztorze, zacny przeor i zakonnicy, też same powtarzali wyrazy.

W wiele lat później, bo w , w czasie wojny szwedzkiej, kościół bernardyński przyległy zamkowi, gdzie Alfred Wittemberg dowódca szwedów zamknął się był ze swoimi, zmienionym został w szaniec, z którego Polacy usiłowali razić przeciwników, i do ustąpienia przymusić, a w czasie ogólnego rabunku, jakiego później dopuszczali się szwedzi, mimo uroczystych przyrzeczeń, wiele także ucierpiał.

Wieża bernardyńska, na której zawieszane były sławne w dawnych czasach, a przez pożar stopione dzwony, kształtna i wysoka, nieraz także w czasie bitw lub wojennych pochodów po drugiej stronie rzeki odbywanych, służyła za widownię warszawianom, bo ztamtąd wzrok daleko za Wisłę puścić można.

O Bernardynach wieleby powiedzieć można.

W bernardyńskich klasztorach osiadała zazwyczaj drobniejsza szlachta, czasem mieszczaństwo, a często stary wojak nie mający majątku

ani rodziny, szukał na stare lata przytułku u tego Zgromadzenia, wysługując mu się w miarę możliwości.

Jako zakon z jałmużny się utrzymujący, bernardyni jeździli po kweście i żyli w ciągłych ze

szlachtą stosunkach; za ofiarę dla klasztoru bernardyn wypłacał się zwykle gawędką, wspomnieniami z świeckiego swego życia, prostym i żywym dowcipem — lubiąc ogrody, znali własności ziół i nieraz napelniwszy zbożem lub innym produktem kwestarską furkę, bernardyn uzdrowienie w zapłatę zostawił. Wielu z nich, jako domowi kapłani przewodniczyli w ćwiczeniach pobożności rodzin całych, i w pierwotnym wychowaniu pacholąt, a zawsze z współczuciem i zajęciem poglądając na powszechne wypadki, bernardyn w każdym szlacheckim dworcu, a czasem i w zamku wyniosłym, miłym i pożądanym był gościem.

## KOŚCIÓŁ Ś.KRZYŻA.

Wspaniały i obszerny ten kościół stoi w miejscu, gdzie przed trzystu przeszło laty stała już kapliczka pod tém samém godłem. — O ile tylko zasięgnąć można jakichkolwiek wspomnień, ojcowie nasi nie odłączali nigdy modlitwy od miłosierdzia, a przy każdym domu Bożym stawiali także schronienie dla cierpiących braci; i przy téj kaplicy już w roku, istniał szpital dla



sześciu ubogich. — Na początku XVII wieku powiększono świątynię dwoma jeszcze kaplicami, a w r. stała się parafialną.

Marja z Gonzagów, której staraniu winni jesteśmy tyle dobroczynnych zakładów, tyle pobożnych Zgromadzeń, sprowadziwszy z Francji

Missjonarzy oddała im w r. Kościół Świętego Krzyża.

Pierwotna budowa później rozebrana została, a na świątynię jaką teraz widzimy, kamień węgielny położył Jakób Sobieski w r. . —

W czternaście lat potem poświęcił ją Kardynał Radziejowski, którego nagrobek z posągiem znajduje się w kościele. — W trudnym ówczesnym położeniu krajowym bardzo pomału szło budowanie gmachów, i front też tego kościoła dopiero w ukończonym został.

Wnętrze na trzy nawy podzielone i kształtną odznaczającą się budową, nakazujący ma charakter, ołtarzy wiele, ozdób bogatych mnóstwo, nabożeństwo ze szczególną odbywa się wystawą, a towarzyszy mu zwykle piękny chóralny śpiew tutejszego Seminarjum. — Żadna jednak uroczystość nie czyni na mnie takiego wrażenia jak w poranek Wielkiejnocy, obchód Zmartwychwstania Pańskiego. — Kościół dzieli się na górny i dolny — kiedy więc uroczysta procesja wychodząc wązkami schodami z ciemnego dolnego kościoła, gdzie od Wielkiego Piątku ustawiony był grób Zbawiciela, roztoczy całą

wspaniałość i bogactwo zewnętrzne po obszernej nawie górnej świątyni, kiedy krzyż od dwóch dni w ciemności i ciszy przez pobożnych nawiedzany, rozciągnie ramiona swoje wśród potoków światła, kiedy dźwięk dzwonów, muzyki, i ludzkich głosów w uniesieniu radości wita to godło zbawienia, zdaje ci się, że cofnięty o kilkanaście wieków, patrzysz na wzrost chrześcijaństwa, że je widzisz wychodzące z katakumb pogańskiego Rzymu, i błogim wpływem swoim rozciągające szczęście i światło prawdziwe.

Przy kościele Świętego Krzyża istnieje Bractwo Miłosierdzia, ustanowione staraniem Piotra Skargi w — które przez cały przeciąg istnienia swego, odpowiadało zawsze pierwotnemu założeniu, wspierając wszelkiego rodzaju niedolę, a wspierając nie tylko datkiem, ale czynem, pociechą, z narażeniem własnego zdrowia i życia, czy to w czasie głodu, czy powietrza morowego, czy też innych klęsk powszechnych. Księża Misjonarze przewodniczyli tym czynom miłości bliźniego zachętą i przykładem; po wszystkie czasy, pielęgnowanie chorych, opieka

nad dziećmi, udzielanie im nauki, dopomaganie ubogim zawsze u nich szło w parze z pobo-

znością; — tu także była tak nazwana Komora potrzebnych, przez Skargę założona, gdzie ubogim na różne ruchomości pieniędzy bez procentu pożyczano, a Księża Misyyonarze równie z Bractwem Miłosierdzia, dzielili tę pobożną pracę.—W ostatnich kilku latach, kiedy wylewy Wisły powtarzając się często, zatapiały prawie zupełnie Pragę, Saską kępę, i warszawskie powiśle, kiedy niedość przezorni nadwiślanie, nie mogąc już uchodzić, na szczytach mieszkań swoich musieli szukać schronienia, i tam bez odzieży, bez pokarmu, wyglądali niepodobnej w pierwszych chwilach pomocy, — kiedy wzburzone wały pewną prawie zgubą groziły każdemu, ktoby się na nie puścić ośmielił, widzieliśmy jak na wątlej łódeczce Mąż boży, ufny w pomocy nieba, powierzał się spokojnie rozhukanej rzece, i kiedy patrzący z nadbrzeżnego wzgórza z trwogą i uwielbieniem śledzili każde poruszenie czółenka, on podawał rozproszonym po dachach biedakom, tu chleb, tu odzież, a wszędzie słówko pociechy. — Był to Misyyonarz.

Książdz Stanisław Krzyżanowski.

W pamięci jego zawsze przytomni ubodzy, on nietylko o koniecznych potrzebach życia, ale o umileniu go myśli — Od kilku już lat zbierając dobrowolne dary, urządza w święta wielkanocne święcone w Domu przytułku i pracy, dla tych braci naszych w Chrystusie, którzy z braku wychowania i przewodnictwa, stawszy się nieużytecznymi członkami społeczeństwa, tu umieszczeni, wprawiają się choć późno do porządku i

pracy, i bardzo potrzebują zachęty, pociechy, dowodu, że społeczeństwo nie odrzucić ich, ale ukształcić pragnie; jakoż święcenie wspólne dnia tak ważnego w chrześcijaństwie, to przypuszczenie do obchodzenia po bratersku odwiecznego krajowego zwyczaju, powinno i musi dobroczynny wpływ wywierać na ludzi, żyjących przez czas długi z daleka od społecznych stosunków.

Kto chce naoczny mieć dowód, jak missyjonarze dopełniają obowiązków miłosiernych, niech któregośkolwiek dnia a osobliwie w niedzielę spojrzy w bramę do zabudowań klasztornych prowadzącą, a spostrzeże tam mnóstwo starców, kobiet i dzieci, o których powiedzieć

można, że jak ptaszki co nie sieją, nie orzą, wyglądają posiłku z dobroczynnej ręki, a ręką tą widzialną na ziemi opatrującą tylu potrzebnych są prawdziwi słudzy pańscy.

## KOŚCIÓŁ ŚW. ALEXANDRA.

Wzniesiony zamiast bramy tryumfalnej, którą N. Cesarz Alexander I. przy swoim wjeździe do Warszawy odmówił, jest jedyną świątynią wystawioną w Warszawie w naszym stuleciu, (bo nie mogę tu jeszcze policzyć nieskończonego dotąd kościoła świętego Karola Boromeusza), Zbudowana w kształcie rotundy, oświecona głównie oknem w sklepieniu umieszczoném, świątynia ta nie wielka, odznacza się wytworną prostotą; trzy tylko ma ołtarze, dodatkowych ozdób wcale nie posiada, ale wysmukłe kolumny unoszące śmiałe sklepienie, piękne i bogate snycerstwo które kopułę i gzymsy pokrywa, nadają kościołowi temu odmienny od innych

charakter; zdaje się że w włoskiej świątyni jesteśmy, a te białe ściany, ławki, sklepienia, nawet kazalnica, zdają się jakiejś boskiej niewinności godłem.

Może też w rzeczy samej z tych murów więcej jak z kąd inąd niewinnych modłów się wznosi, od samego rana, w każdej prawie porze dnia znajdziesz tu modlące się dzieci. — Najprzód uczniowie sąsiedniej szkoły powiatowej, uczniowie szkółki parafialnej, dziatki z ochrony, osierociali wychowawcy warszawskiego towarzystwa dobroczynności, w końcu wychowawcy Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, wszystko to codziennie kolejno dziękuje w tej świątyni za dobrodziejstwa jednej doby, i błaga o następną. — Patrząc na szczerą tych dziecięcych pobożność, mimo wiedzy ogarnia nas jakaś gorliwość modlitwy,

mimowolnie czujemy, że opieka boża tu może więcej, jak gdzie indziej czuwa, i że prośba nasza złączona z prośbami tylu niewinnych istot, prędkiej, pewniej wzniesie się do nieba.

Kościół Świętego Alexandra jest piątą parafią warszawską, — należy tu cała ludność Nowego świata, od nowej drogi począwszy, całe powiśle, Aleje, Mokotów, Siekierki, Czerniaków; —

to też w dni świąteczne kościółek jakąś lubą, wiejską barwę przybiera, lud pracowity napęłnia nawę, i modli się pokornie, a duchowni pracujący w tym przybytku nad pozyskaniem dusz Boga, chociaż sami znakomici głęboką i niezłęczajną nauką, umieją zniżyć się do słuchaczy, i w prostej zwięzłej mowie kreślić im drogę powinności.— Same processye odbywające się dokoła świątyni otoczonej topolami, w cieniu prawie lip ujazdowskich, przedstawiają może jedyny widok w mieście, gdzie każdy kościół połączony jest z sąsiednimi budynkami, i rzadko z kilku stron widocznym bywa.

W wklęsłości wielkiego ołtarza, spoczywa z białego marmuru wyrobiony posąg Chrystusa z krzyża zdjętego, dzieło to ręki biegłego w swej sztuce mistrza, sprowadzone z Rzymu przez Lubomirskiego, umieszczoném było w Łazienkach w osobnej kaplicy, później przeprowadzone do drewnianego ujazdowskiego kościółka, a nakoniec tutaj.

Może miejsce nie dość jest stosowne, może posąg ten lepszemu potrzebowałby światła, by należycie ocenionym zostać, ale w Wielki piątek, kiedy cały kościół umyślnie zostawiony

w cieniu, a wielki ołtarz kilka tylko lamp oświeca, ta postać pełna wyrazu boleści spoczywająca na kamiennój podstawie, stawiając żywo przed oczy cierpienie i śmierć Zbawcy, właściwsze pewnie sprawia wrażenie, niż światło, kwiaty i rozliczne bogactwa zgromadzone w innych kościołach ku ozdobie grobu Jego; — a chociaż uczony ziomek nasz powiedział: że sztuka choćby żadnego celu nie miała, nie chybia swego przeznaczenia, że sztuka jest tylko dla sztuki; ja prostaczka nigdy się na to zgodzić nie mogę, żądając zawsze żeby każdy utwór sztuki szlachetne i pocziwe budził uczucie, i dla tego wolę ten posąg u stóp ołtarza, wznoszący choć raz na rok serce chrześcijanina, niż gdyby na wyniesieniu umieszczony, stał w jakim muzeum, ku codziennemu podziwieniu znawców.

## SAKRAMENTKI.

Żadna w dziejach naszych epoka nie była tak obfitą w pobożne fundacje jak druga połowa XVII wieku— Marja z Gonzagów żona dwóch królów wzbogaciła kraj nasz wielu pożytecznymi zakładami i nie jeden kościół wzniosła; wychowanka jój Marja Kazimira, w tym względzie jak i w wielu innych szła za przykładem opiekunki swojej.— Nie było prawie ważnego wypadku, któryby pod panowaniem Sobieskiego nie został uczczonym pobożnym jakim pomnikiem; to też nic dziwnego że najważniejsze nie tylko dla nas, lecz i dla całej Europy zdarzenie, że wyprawa Jana III pod Wiedeń i odniesione zwy-

ciężtwo, stało się powodem powtórzonych oznak wdzięczności.

Marja Kazimira na pamiątkę tego zwycięstwa wystawiła w Marywilu na cześć Najświętszej Panny świątynię a chociaż sam bohater na podziękowanie Bogu założył w r. klasztor i kościół Kapucynów przy ulicy miodowej, królowa pamiętna ślubu który przed wyjazdem małżonka do Wiednia uczyniła, w tymże samym roku sprowadziła z Paryża zakonnice reguły Św. Benedykta, Sakramentkami zwane, które oprócz nieustannej czci N. Sakramentu miały obowiązek kształcić w religji, obyczajach, początkowych naukach i ręcznych robotach, młode polskie dziewice. Po kilkoletnim pobycie wspomnianych zakonnice w zamku, przeprowadzono je do klasztoru przy nowo dla nich zbudowanym kościele w rynku Nowego-miasta w r. . Od tej pory Sakramentki wiernie dopełniając włożonych na nie obowiązków, kształciły już— to same, już z pomocą świeckich niewiast powierzane im dziewice, i zawsze powszechnego poważania odbierały dowody, a Stanisław Au-

Dziś w tém miejscu jest kościół panien Kanoniczek.





gust do dawnych zabudowań kazał przymuro-  
wać osobne Seminarjum dla świeckich wycho-  
wanek.— Wiele córek najznakomitszych u nas  
rodzin, tu odebrało wychowanie, wiele ich tak-  
że wyrzekając się świata przywdziało w tych  
murach zakonna suknię, bo tu nietylko modli-  
twą Boga, lecz i czynem bliźnim służyć można.  
Razem z założeniem klasztoru powstało przy  
tym kościele Arcybractwo Nieustającej Adora-  
cyi N. Sakramentu.— Zwolnienie zasad religij-  
nych w przeszłym stuleciu, zbyt znaczne otrząśnie-  
nie się z dawnych form i zwyczajów nie do-  
zwoliły zgromadzeniu temu rozwijać się nale-  
życie, lecz przed kilkoma laty, staraniem Marji  
Barbary Hausner przełożonej klasztoru panien  
Sakramentek, arcybractwo wskrzeszonym zo-  
stało, i na pamiątkę tego, równie jak na uczcze-  
nie pięćdziesięcioletniej służby Bogu przez te  
szanowną niewiastę dopełnionej, wybito medal  
w r. .

Celem Arcybractwa równie jak panien Sakra-  
mentek, jest usiłowanie wynagrodzenia nieu-  
stannym uwielbieniem wszelkich zniewag jakie  
N. Sakramentowi były i jeszcze wyrządzone  
bywają, i dla tego każdy członek tego stowa-

rzyszenia przyjmuje obowiązek dopełnienia czci  
tęj przynajmniej raz w rok przez godzinę. Dru-  
gim zaś celem jest skuteczne podawanie Pomo-  
cy cierpiącej ludzkości.

Ze składek więc stałych wnoszonych przez

członków, z ofiar jednorazowych, z kwesty odbywającej się w kościele już to w ostatnie dni wielkiego tygodnia, już przy innych uroczystościach, słowem z wszelkich dobroczynnych datków, arcybractwo zamierzyło sobie kilkoma sposobami nieść ulgę i wsparcie bliźnim: — i tak:

. W izbach przy kracie klasztoru PP. Sakramentek, każdodziennie otrzymuje pożywną i ciepłą strawę trzydzieści trzy ubogich osób, na pamiątkę lat które Chrystus przebył na ziemi.

. Co rok w dniu Stycznia osoby prawdziwą niedolą i nędzą dotknięte a żebrać się wstydzące, otrzymują wsparcie w miarę funduszków.

. Jeżeli ubogi członek arcybractwa dopełniający sumiennie obowiązków chrześcijanina, umierając nie zostawi nic po sobie — oprócz wszelkich ofiar i modłów jakie tylko w kościele naszym są w użyciu, koszta skromnego pogrzebu pokrytemi być mają z funduszków Arcybractwa.



. Nakoniec, i nie mniej ważne jest postanowienie Arcybractwa, utrzymywania funduszem swoim w miarę możności w zakładzie naukowym panien Sakramentek, panienek ubogich, pozbawionych rodziców. Dziewczynki nie mają być młodsze nad lat dziewięć, ani starsze nad czternaście w chwili przyjęcia ich do zakładu, w którym zostawać mają przez lat z warunkiem usilnej pilności i moralnego prowadzenia się. Nietylko naukę, ale odzież, pożywienie, książki i wszelkie szkolne potrzeby,

pomoc lekarską w razie słabości, słowem wszystko otrzymują wychowanki od Arcybractwa, z jedynym, szlachetnym warunkiem ukształcenia się na istotę miłą Bogu i ludziom pożyteczną.

## KOŚCIÓŁ WIZYTEK

Mówiąc o Sakramentkach, nie podobna mi pominąć panien Wizytek, nie w jednym wprawdzie czasie, lecz z podobnego natchnienia z Francji do Polski sprowadzonych.

Kościół i klasztor Nawiedzenia Najświętszój Maryi Panny, wznosi się przy Krakowskim przedmieściu, w tém samym miejscu, gdzie sprowadzająca je Marya Ludwika, wystawiła im była drewniany kościół z klasztorem.

Świątynia ta jak ją teraz widzimy, ufundowaną została przez Elżbietę Sieniawską, lecz nagły zgon jój nie dozwolił dokończyć tego dzieła, i dopiero za przyłożeniem się Księżnej Woje-

wodziny Ruskiej i staraniem zakonnic, ukończoną zastała.

Chociaż wielkością nie zadziwia, przecież w budowie, i szczegółach wiele piękności zawiera.

Obrazy są piękne; z nich znakomitsze, Święta Anna ucząca czytać N. Marję Pannę; i w wielkim ołtarzu Nawiedzenie N. Panny, malowane przez Czechowicza. Obraz ten równie układem jak i wykonaniem zajmuje. Cztery osoby ożywione jedném uczuciem nadziejskiej rad «ci, a jednak w każdej postaci inaczej się ono objawia. Zacharyasz szczęśliwy błogą nadzieją, lecz jeszcze pozbawiony mowy, zna-

kami szczęście swoje maluje Józefowi, który w poważnej myślącej postawie dzieli radość przyjaciela, lecz na okazanie swojej nie znajduje wyrazów ani oznak zewnętrznych. Marya poważną postawą, boską i dziewiczą wyrazem twarzy i spojrzenia, wita lubą pokrewną, która przecuciem poznając w niej matkę Boga Człowieka z miłością i poszanowaniem spotyka słodkiego gościa u progu.

Sprzęty i naczynia kościelne przez czas i wypadki krajowe znacznie uszczuplone zosta-

ły, jednak z niektórych pozostałych jeszcze przedmiotów znać wspaniałość Maryi Ludwiki, pierwszej tego klasztoru opiekunki. Ozdoby wielkiego ołtarza w hebanie z kosztownego kruszcu wyrabiane, wykonane zostały podług własnoręcznych rysunków tej królowej.

Tkliwe i mężne jej serce tu dotąd spoczywa, ale od roku nie ma już śladu srebrnego pomnika umieszczonego niegdyś nad kratą od chóru wprost Zakrystyi, a przedstawiającego dwóch aniołów unoszących serce, nad którym dwóch drugich trzymało koronę laurem otoczoną; niżej była trumienka z orłami, i herbem, a wszystko okrywał płaszcz królewski, tworząc namiot wstęgami przewiązany.

W niedzielę i święta, uczniowie do przyległych gimnazjów uczęszczający, tu przytomni bywają nabożeństwu;—niewiem czy ich tyle co mnie zajęła tutejsza kazalnica, zbudowana w kształcie statku z rozpiętym żaglem prującego wały. Zdaje mi się że dla młodzieży tak sprzyjającej obrazowemu przedstawieniu myśli, statek ten spokojny wśród fal zhukanych jest wy-

rażném godłem religijnej ufności, jedyne go źródła pokoju, jedynej uchrony od rozbicia w bu-

rzliwych epokach życia, i że prawda dziś powtarzana ustami kapłana, w późniejszym zawodzie nieraz uprzytomni się im w pamięci.

Jakkolwiek nieraz słyszałam powstających przeciw klasztornemu życiu, i mieniących je bezowocną ofiarą, przekonana jestem że żaden zakład prawdziwie religijny nie może powstać inaczej, jak tylko z celem pomnożenia szczęścia ludzkości; dla tego wspomnę tu cokolwiek o pierwszym założeniu klasztoru Wizytek w Polsce, przytaczając niektóre wyjątki z pism współczesnych

Marya Ludwika sprowadziwszy poprzednio do polski Siostry Miłosierdzia, te anioły opiekuńcze cierpiącego ubóstwa, spostrzegła że w kraju poruczonem jój opiece, nie było religijnego zakładu, do którego mogłyby schronić się osoby, które czy to pobłądziwszy w świecie, czy znużone czczemi jego uciechami, pod tarczą wiary i miłości chrześcijańskiej odżyćby do cnotliwego życia pragnęły.

List okólny Zgromadzenia zakonnic Nawiedzenia N. M. Panny nowo założonego od Najjaśniejszej królowej polskiej. Porto folio Marji Ludwiki.

Były wprawdzie klasztory Panien Brygitek,

Karmelitek i innych, ale tych reguła surowa i konieczny warunek poświęcenia się zupełnie zakonnemu życiu, nie sprzyjały zamiarowi królowej.

Postanowiwszy założyć w Polsce dom pokutnic pod przewodnictwem pobożnych zakonnicek, prosiła o przysłanie ich z Paryża, gdzie już takie domy istniały. Łagodne ustawy Panien Wizytek, i znana ich gorliwość i pobożność, na nie wybór królowej skierowały. Gdy zaś spełnienie téj myśli doznało we Francji przeszkody, Marya Ludwika zmieniła pierwotny swój zamiar, i postanowiła też same zakonnice sprowadzić, w celu kształcenia młodych dziewcząt ubogich rodziców.

Jakoż, za staraniem Panny de La Moignon, i Matki Anieli de Saint Jean d'Andilly przyjaciółek młodości królowej, dwanaście zakonnice gotowych znieść wszelkie trudy i ofiary, byle pobożnej monarchini w szlachetnym dziele dopomóż, wybrało się z Francji dnia Sierpnia roku. Rozmaite przygody przeciągnęły podróż zakonnicek aż do następnego roku, i po licznych przeciwnościach, dopiero w koń-

cu Czerwca przybyły do Warszawy, gdzie z macierzyńską troskliwością od królowej i przyjęte i w zamku tymczasowo umieszczone, tegoż samego roku przeprowadzone zostały do przygotowanego dla nich klasztoru.

Że, lubo w zimniejszą strefę przeniesione, bytność swoją w kraju naszym nietylko z chrześcijańską pokorą, ale i z ludzką przyjemnością przyjęły, świadczą następujące wyjątki z listu, a raczej dziennika, który jedna z zakonnicek dla sióstr swoich we Francji pozostałych pisała:

Opisawszy cały przepych jakiego w zamku

były świadkami, wspaniałe sejmowe obrady, którym niewidziane przytomnemi były, przymioty króla i królowej, tak mówi o swoim klasztorze.

„Klasztor nasz położony jest w najpiękniej  
„szej części miasta, i w najzdrowszym miejscu,  
„na obszernym placu, między pałacem a zam-  
„kiem, w którym obecnie Królestwo J.M.C. mie-  
„szkają. Przed klasztorem znajduje się obszer-  
„ny ogród nad rzeką, na którą mamy prześlicz-  
„ny widok z okien klasztornych. W ogrodzie

„tym odkryto źródło mineralne u którego Kró-  
„lestwo JMĆ. biorą teraz kąpiele”.

„Całe zabudowanie nasze jest tymczasowo  
„drewniane; mamy kościół również drewniany,  
„szczerzy, ale bardzo piękny i ozdobny, ścia-  
„ny jego malowane zawieszono są prześliczne-  
„mi obrazami”.

Potem wyliczywszy dary królowej dla klasztoru, już to z hojności monarchini pochodzące już za jej staraniem na sejmie uchwalone, pisząca zakonnica wspomina o warunkach ze strony Panien Wizytek dotrzymać się mających.

. Zachować na wieczne czasy wolnym od zajęcia na użytek Zgromadzenia apartament królowej J M C. w tymże klasztorze sporządzony.

. Z dochodów stałych naszego zgromadzenia winnyśmy odkładać rocznie po zł. , na wzniesienie murowanego klasztoru i kościoła.

. Po dopełnieniu tego, przyjąć darmo, i utrzymywać naszym kosztem dwanaście dziewcząt, córek ubogich polskich rodziców.

. Utrzymywać sześć nauczycielek dla instrukcyi młodzieży płci żeńskiej, i utworzyć

Źródło to dotąd istnieje za Gmachami Gimnazjalnemi.

szkołę dla przychodzących, pod dyrekcją matki Przełożonej.— Potrzebną na ten cel salę szkolną, Królowa J M C. każe własnym kosztem przybudować do klasztoru, tak, aby dozór porządku w szkole mógł się odbywać przez każdą z kolei zakonnicę za pomocą okna z kratą w ścianie do której przybudowana będzie szkolna sala.

. Służyć biednym i chorym, udzielając im już żywności, już lekarstwa. Do tego używane mają być z kolei pomienione nauczycielki.

. Dawać wrszelką pomoc i jałmużnę biednym przychodniom o tyle, o ile możność klasztoru pozwoli bez żądania najmniejszej nagrody, tudzież przyjmować darmo tyle ubogich a cnotliwych dziewcząt, ile ich klasztor będzie mógł wyżywić.

. Modlić się za fundatorkę.

Wszystkie te warunki po wszystkie czasy wypełniane były przez Panny Wizytki.

Do dziś jeszcze istnieje zakład naukowy pod ich kierunkiem; nawet mieszkanie Maryi Ludwiki podług jej woli zachowane było nieknięciem dopóki drewniany, przez nią wystawiony klasztor istniał. Mieszkanie to składało



się z jednej celi, dla Królowej, i kilku izb dla jej orszaku; tu Marya głęboko pobożna chroniła się w czasie smutku lub wewnętrznego niepokoju, i po kilka dni w klasztornej przepędzała zaciszy, już to dla snadniejszego wniknięcia w myśli i uczucia swoje, już dla ożywienia sił często niedostatecznych w walkach politycznych, które ta mężna niewiasta w zastępstwie słabego małżonka staczała o dobro powierzonych jej sercu ziemi. Jednak i tu ściagały ją dworskie obrzędy, i tu nieraz musiała zajmować się sprawami rządów, a nawet niecierpiące zwłoki poselstwa przyjmować,— między innymi, zakonnica z której pisma wyjęłam poprzednie szczegóły, z osobliwem zajęciem opowiada przyjęcie posłów od Chana i Chanowej tatarskiej; i zapewne, była to nadzwyczajność dla dziewczyc z nadbrzegów Sekwany, i z klasztornych murów przybyłych w skromnym i pobożnym celu, a przyjętych serdecznie, do bliskiej zażyłości z monarchinią potężnego kraju przypuszczonych. Kościółek Panien Wizytek którego kamień węgielny jak już wspomniałam, położonym został w roku , w tym roku . staraniem

Porto folio Marji Ludwiki.

zakonnice i szanownego ich Spowiednika, hojnym wsparciem znakomitych osób, zupełnie odnowionym zostanie; już nawet nabożeństwo wzywające błogosławieństwa nieba dla tego przedsięwzięcia odprawiono.

Na tém skończę tę pielgrzymkę; nie żebym inne kościoły Warszawy, tak pod artystycznym jak duchownym względem mniej ceniła, ale że

postanowiłam to tylko wspominać co znam dobrze, nad tém się zatrzymywać co na mnie silniejsze sprawiło wrażenie.

II.  
TOWARZYSTWO  
DOBROCZYNNOŚCI  
I ZAKŁADY  
POD JEGO OPIEKĄ BĘDĄCE.

Opuszczając świątynie modlitwie przeznaczone, mimowolnie dąży serce ku tym świątyniom w których człowiek, chrześcijanin, czynami miłośierdza pragnął uczcić Stwórcę, ku zakładom i domom, w których chory lekarstwo, głodny pożywienie, ubogi wsparcie, starzec przytułek znajduje; a bogatą jest w takie domy Warszawa. Jeżeli w wielu względach naszego kraju stolica ubiega się z innemi, to w dobroczynności, żadnej wyprzedzić się nie da.

Nie wspominając o fundacjach i miłosiernych czynach dawnych wieków, spojrzymy tylko na dzisiejszą Warszawę.

Zaledwie powstanie myśl niesienia wjakikol-

wiek sposób ulgi cierpiącej ludzkości, Nawychmiast ze wszystkich stron płynie współczucie i dzielna pomoc.— Któż zapamięta żeby w Warszawie nie udał się kiedy koncert, bal, widowisko, loterya na korzyść ubogich? — kto nie

uważa z poszanowaniem w wielki piątek i sobotę jaka ilość rozmaitej monety wznosi się przed kwestarkami, chociaż święta Wielkanocne już dla odwiecznego zwyczaju obfitego w tych dniach zastawiania stołów, już jako na wiosnę w czasie drożyzny przypadające, nadzwyczajne za sobą pociągają wydatki; — spytajcie tych zacnych niewiast, co z niezmordowaną gorliwością chodzą od świetnych pałaców do lichych nadwiślańskich lepianek, od marmurowych Salonów, pod strychy staromiejskich domów, aby szpitalom i innym miłosiernym zakładom przysporzyć dochodu, spytajcie ich — gdzie też im odmówiono choć małego datku? ani bogacz, ani niezamożny urzędnik, ani rzemieślnik pracowity, ani handlarz w maleńkiej budce sól lub drzewo sprzedający, słowem nikt nie uchyla się od wspomnienia tych co już ani sił do pracy, ani dachu na schronienie nie mają.

I tu nie wyliczę wszystkich dobroczynnych

instytucji, bo jest ich wiele które tylko powierzchownie widziałam, w które nie miałam czasu lub sposobności wpatżenia się należycie; może mi kto zarzuci że są u nas zakłady bardziej zajmujące niż te o których wspominam, i tego nie zaprzeczam, ale również i usprawiedliwiać się nie mam zamiaru, dlaczego te, a nie inne mnie zajęły. Nie byłoby to rzeczą łatwą, wyliczyć wszystkie dobroczynne pomysły Warszawian; — wszakże niema kościoła, niema prawie ołtarza, pod którego cieniem zebrane bractwo nie miałoby dobroczynnego celu, niema domowego zgroma-

dzenia gdzieby w końcu nie utworzyła się jakaś składka na nieszczęśliwych.

Mówiąc zatem o dobroczynnych zakładach, najprzód wspomnę Instytucję, która bez wątpienia najwięcej rozszerzyła i urozmaiciła działania swoje, która w czasie istnienia swego, najwięcej łez otarła, a tą bez zaprzeczenia jest:

## TOWARZYSTWO

### DOBROCZYNNOCI.

„Czasem jedna myśl szczęśliwa  
„Łzy ociera, goi ranę.”  
(Jachowicz).

Szczęśliwa myśl stowarzyszenia się w celu skuteczniejszego wspierania nieszczęśliwych i cierpiących powstała w roku . Dnia Listopada tegoż roku liczne grono znakomitych urodzeniem, stanowiskiem w świecie zajmowaném, majątkiem, a nadewszystko szlachetnością uczuć odznaczających się mężów i niewiast, zebrało się w celu ułożenia w jedne całość dobroczynnych zamiarów, pojedynczo dotąd two-

rzonych i wykonywanych. Niepodobna wyli-

czyć kto i jakie ofiary najprzód złożył na tym ołtarzu miłości bliźniego, bo największa część darów pieniężnych bezimiennie była ofiarowaną, a ani pomyśleć nie można o zrachowaniu wszystkich trudów, starań, zabiegów, nieodłącznych od takiego przedsięwzięcia. Najpierwszym czynem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności było zapewnienie schronienia dla niedołącznych starców, którzy tymczasowo pomieszczeni zostali w zabudowaniach XX. Franciszkanów, a w roku przeniesiono ich do zabudowań po klasztorze PP. Karmelitanek przy ulicy Krakowskie przedmieście.

Wtem miejscu stał niegdyś pałac Kazanowskich względami Władysława IV do takich zaszczytów i dostatku wzniesionych; gmach ten na kilka piątr zbudowany, miedzianym dachem pokryty, wałem i przekopem obwiedzony przez długi czas był przybytkiem zbytków, i zbiorem najkosztowniejszych osobliwości; tu ściany pokryte rzadkimi malowidłami, posadzki mozaikowane, obicia i złotogłowy, zbroje i oręż, futra i koronki, księgozbiór i menażerka, fontanny z win i wody pachnącej, słowem

wszystko się mieściło, czego wymysł pański zapragnął. Uczty i śmiechy, tańce i śpiewy, wszelkie odgłosy wesela rozlegały się w tych

murach, grały, brzmiały, i przebrzmiały — a w ich miejscu wznosi się dzisiaj pobożna pieśń wyrwanego nędzy staruszka, i wesoły gwar dzieci ubogich uchronionych przed zepsuciem i ciemnotą.

Od samego początku zawiązania się Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, najrozmaitsze powstawały pomysły, dążące do pomnożenia jego funduszków — Loterje fantowe, bale, koncerty, licytacje, kwesty, składki, słowem, co tylko ubogim jakikolwiek zasiłek zjednać mogło, wszystko było użytém, i wszystko powiodło się szczęśliwie. O! gdyby ubodzy wiedzieli ile to osób, i jak chętnie jak gorliwie poświęcają się ulżeniu ich niedoli, nie z taką może goryczą poglądaliby na dostatki drugich.

W roku N. Cesarz Aleksander zatwierdził Ustawę Towarzystwa i uposażył je darem, Zł. odtąd powiększały się coraz fundusze. Gołębiowski opisując Warszawę w roku wspomina: „że Towarzystwo

„Dobroczynności mając za ledwie , złotych „stałego dochodu rocznego, wydaje jednakże „przeszło „." — Pomyślmyż, jakiej to czynności potrzeba, by z niestałych dochodów tak ogromną zebrać sumę; jakiej baczości, by ją sumiennie między prawdziwie potrzebujących rozdzielić, jakiej pracy, by się z każdego grosza wyrachować; a przecież wszystkiego tego chętnie i gorliwie dopełniają Członkowie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Dzięki téj gorliwości, dzięki dobroczynności Warszawian w roku Towarzystwo użyło na potrzeby nieszczęśliwych ogromną summę , złotych i gr. .

W ciągu tegoż roku Towarzystwo utrzymywało ubogich starców i kalek płci obojéjj .— Chłopców sierot od lat do życia liczących dwudziestu czterech — chłopców sierot od lat do pięćdziesięciu siedmiu — dziewcząt w takimże wieku sposobiących się na służące pięćdziesiąt — Dzieci z miasta do

Sprawozdanie Tow: z r. .

Ochron przysyłanych czterysta trzydzieści i sześć.

Objady pięciogroszowe rozdawane były codziennie osobom.

Zupę Rumfordzką rozdzielano dziennie dla osób.

Wsparcie pieniężne stale pobierało osób .

Wsparcie pieniężne na raz jeden odebrało osób.

Na wsparcie w lekarstwach wydano złotych gr.

Drzewa opałowego w miarę zebranych na ten cel składek rozdano sztuk .

W leguminie osób otrzymało wsparcie.

Tyle to dobrego działała jedna myśl szczęśliwa; i jest nadzieja że przy pomocy Najwyższego, myśl ta jak dobre ziarno w plenną ziemię rzucona, coraz nowe przyniesie owoce, coraz szerzej rozgałęziać się będzie.

Wiedząc że cechą prawdziwój dobroczyn-

ności jest rzetelna skromność, i czując że niepodobnym byłoby wyliczenie tu wszystkich tak członków Towarzystwa jak i innych osób wspierających je radą, darem lub czynem, przestaję na tém krótkim wspomnieniu, w na-

dziei, że kiedyś, pióro zdolniejszego i świadomszego nademnie pisarza poda pamięci potomnych dzieje i zasługi tak szacownego Stowarzyszenia.

Czytelnika ciekawego bliższych szczegółów odsyłając do Sprawozdań Towarzystwa drukiem corocznie ogłaszanych, dodam jeszcze słów kilka o Kościółku do Towarzystwa Dobroczynności należącym.

Kościółek ten zbudowany w r. przez Teklę Lubomirską, która dokonała fundacji PP. Karmelitek rozpoczętej przez ojca swego, sławnego Jerzego Ossolińskiego; tu spoczywały zwłoki dwóch królewien polskich Marji Izabelli córki Władysława IV i Cecylji Renaty, i Marji Anny Teresy jedynej córki Jana Kazimierza i Marji Ludwika. — Pobożne i gorliwe o wiarę królowny francuzkie, córki naszój Marji Leszczyńskiej, ustanowiły tu fundusz dla kaznodziei francuzkiego, a Ludwik XVIII w czasie tułactwa swego mieszkając w Warszawie w przyległym temu kościołowi domu, nieraz korzystał z téj fundacji krewnych swoich słuchając kazań Al-ertrandego.

Staroż; Polska - Baliński i Lipiński.



Chociaż dotąd nie spotkałam nigdzie opisu tój świątyni, wnoszę jednak że zostając pod opieką znakomitych osób, rozmaitemi jaśniała ozdobami; — dziś, najstaranniejszy porządek jest całym jej strojem, a biedni, w jednaką odzież przybrani starcy, kaleki i sieroty, równie tkliwy przedstawiają obraz:, jak ów król z rodziną, daleki od swego kraju i tronu.

Co rano o mej godzinie odbywa się tu Msza święta; przytomnymi jój bywają dziewczynki sieroty, i starcy którym zdrowie pozwala wychodzić z sal dla nich przeznaczonych. Ileż to zmian, ile marzeń, ile cnót i błędów pokrywa szara prosta szata wspólna mieszkańcom tego domu, ile to pięknych, szlachetnych, a czasem i płochych myśli przebiegało te głowy, dzisiaj drżące i siwizną pokryte. — Patrzaj! tu bogaty niegdyś obywatel klęczy obok rzemieślnika co mu obuwia dostarczał, równi dziś sobie, a nawet majster zarobiwszy parę groszy nieraz tabaczką dawnego bogacza poczętuje. — Tu kupiec nieszczęśliwemi wypadkami do nędzy przywiedziony, obok modnej kiedyś damy co w jego sklepie towary kupowała. Tu zacna gospodyni i wierna, sługa od lat ciu pani swojej

nieopuszczająca., i z radością dzieląca z nią ten przytułek nędzy jak dawniej szczęśliwszą podzielała dołę.

A któż wie jeszcze jaki los czeka w przyszłości te dziewczątka ubogie, kształcące się na poczciwe sługi? może nie jedna doszedłszy pracą i uczciwością majątku, będzie kiedyś

wsparciem tego instytutu w którym opieki doznała, może bogatym darem lub pracą rąk ozdobi ołtarz przed którym w dzieciństwie niewinne modły składała.

Kto sobie życzy widzieć Kościółek Towarzystwa Dobroczynności w największej jego ozdobie, niechaj w Wielki Piątek zwiedzi ubrany tu Grób Pański — Prostota całego przybytku tak odpowiednia przeznaczeniu jego, głosy dziatek, lub piękne śpiewy pobożnych i utalentowanych lubowników muzyki, wzbudzają prawdziwie błogie uczucie, i na długo w pamięci zostają.

W r. umarły obie.

## ZUPA RUMFORDZKA

Komu w samo południe zdarzyło się przechodzić z ulicy Bednarskiej ku Bernardynom, ten widział zapewne mnóstwo kalek, starców, niewiast i dzieci czekających z rozmaitemi naczyniami, lub z napełnionymi wracających od drzwi Towarzystwa Dobroczynności, może spiesząc na smaczny obiad, ciekawością zdjęty spojrzał w napełniony garnuszek, i pomyślał sobie, że pod względem gastronomicznym, zupa rumfordzka nie szczególnym jest wynalazkiem. Zapewne! dla przywykłych do wytwornego jedzenia, do kosztownych łakoci, posiłek nędzarza nie może być zajmującym, ale zupa gotowana z rozmaitego warzywa, okraszona mię-

snym odwarem lub tłustością, dostarcza pożywnego i wzmacniającego pokarmu dla tych biedaków, którzy słabi, wycieńczeni pracą lub chorobą, pędzą dni smutne w zimnych, wilgotnych izdebkach starych nadwiślańskich domów, gdzie przez okienko w ziemię zakłęśte rzadko słoneczny promień się przedrze — gdzie piec lub komin nigdy nieograny zbyt zbytecznym zdają się sprzętem. Dla nich kęs suchego chleba prawdziwym jest przysmakiem, dla nich i rumfordzka zupa wielkim jest dobrodziejstwem — a chociaż zdarzy się nieraz że ten co dziś z chciwością przyjmuje ten zasilek, z chwilową zmianą okoliczności pogardzi lub go wyszydzi, większa przecież część z wdzięcznością przyjmuje dar boży, błogosławiąc Opatrzność, i tych którzy jej dary rozdzielają.

## OCHRONA UBOGICH DZIECI

We wszystkich krajach świata, ludzie rękami na wyżywienie swoje pracujący podlegają tysiącnym cierpieniom i przykrościom;— oprócz ciężkiego, nieustannego utrudzenia, oprócz niedostatku, a nawet nędzy grożącej całej rodzinie za najmniejszą przerwą w pracy, za kilkoniowa chorobą—najcięższą, najsmutniejszą koniecznością jest wydalenie się z domu na całe dni.— Dopóki tylko ojciec rodziny wychodzi na dzienny zarobek, nie ma w tym nic nadzwyczajnego; troskliwa żona czuwa nad domem,

dziećmi, posiłkiem i spoczynkiem męża — ale

biada rodzinie wyrobnika którego praca nie wystarcza na utrzymanie rodziny, którego żona musi także z swojej strony wychodzić dla zarobienia grosza! Okropnie pomyśleć, że matka musi opuszczając nędzne schronienie zostawić wniem dzieci drobne, bez dozoru, bez opieki, wystawione na tysiączne niebezpieczeństwa; ileż to biednych takich istot znalazło śmierć w płomieniach roznieconych własną nierozwagą! ile ich spadłszy z wysoka zabiło się na miejscu, lub na resztę życia kalekami pozostało, a największa liczba uszedłszy fizycznych niebezpieczeństw wzrasta w ciemnocie, w niewiadomości o Bogu, o obowiązkach człowieka!

Jeżeli w ubogiej wyrobniczej rodzinie jest dziewczynka siedm do ośmiu lat licząca, już matka wychodząc, powierza jej straż i nadzór nad młodszem rodzeństwem, ona fizycznym i moralnym ich potrzebom na cały dzień wystarczyć musi — a jak się z takiego zadania wywiązują te maleńkie piastunki, Bóg to wie tylko!

Przed wielu laty, w Paryżu, matka jedna spostrzegłszy że starsza jej córka niedbale młodszą pielęgnuje, że ją niekiedy zupełnie samą zosta-

wia, chcąc zmusić małą piastunkę do pilniejszego wykonywania włożonego na nią obowiązku, przywiązywała niemowlę w płachtę uwinięte do ramion siostry, i szczęśliwa z dowcipnego wynalazku, opuszczała spokojnie obie męczen-

nice na dzień cały. Wiele wyrobnic poszło za tym pomysłem, w przekonaniu, że nawet przymuszony dozór lepszym jest od zupełnego opuszczenia!

Udręczenie biednych dzieci zwróciło uwagę znacznej i znakomitej paryzkiej niewiasty; litością i zgrozą przejęta, postanowiła o ile to było w jej mocy zapobiedz opuszczeniu nieszczęśliwych istot, i pani Pastoret winną jest Europa pierwszy pomysł o salach schronienia dla dzieci. Pomysł ten w krótkim czasie rozszerzonym i udoskonalonym został we wszystkich oświeconych krajach. Ziomkowie nasi wracający z podróży przynosili nam wieści o dobroczynnych zakładach chroniących zdrowie i duszę ubogich dzieci, i u nas chciano podobny zakład utworzyć, lecz trudno było bez dokładnych w tym względzie wiadomości. — Tworzono plany szkółki dla małych dzieci, na wzór istniejącej już pod opieką Towarzystwa Dobroczynności

szkółki sierotek, to jednakże nie odpowiadałoby głównemu celowi. — Dopiero w r. myśl ta dojrzała. Teofil Janikowski kupiec tutejszy, i Czł. Tow. Dobroczynności przejęty prawdziwą miłością bliźniego, i z pomocą innych przyjaciół ludzkości i opiekunów dzieci, zaczął na ten cel zbierać składki, i pierwszy taki przytułek założono w domu Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskim przedmieściu. — Drugi Mąż nauką i dobroczynnością równie znakomity, radą i czynem wspierając szlachetne usiłowania Janikowskiego, bardzo właściwie nazwał ten zakład Ochroną i troskliwą nad nim

rozciągnął opiekę.— W roku dnia Sierpnia pierwsza Ochrona otworzoną została w obec Władz rządowych, przerwany jej przewodnikiem był pełen zdolności i poświęcenia ziomek nasz który jeździł za granicę, mianowicie do Pragi czeskiej, aby osobiście przypatrzyć się i przejąć metodę Jana Wlastimierza Swobody znanego z niezłomnej gorliwości w tym zawodzie.

Doktor Malcz.

P. Teofil Nowosielski.

Matki wychodzące z domu przyprowadzają dzieci swoje do Ochrony, i zostawiają je tu na dzień cały, opłacając dziennie groszy i pół — za którą to opłatę dziecię oprócz dozoru i nauki otrzymuje chleb i ciepłe pożywienie, a w miarę potrzeby i własnej zasługi, często odzienie lub obuwie, pochodzące z darów dobroczynnych osób.

Przez dzień cały dziatki są tu zajęte, zabawnymi sposobami uczą się poznawać wszystko co je otacza, uczą się wznosić myśli do Boga, uczą się czytać i rachować, bawią się rysunkiem; dziewczynki uprawiają się wszycie i robienie pończoch, chłopcy ze słomy lub z kory wyrabiają różne przedmioty; — zajęcie to zastosowanym jest do zdolności i wieku. Śpiew, zabawki którym ruch towarzyszy, opowiadanie skraca im dni dawniej nudno i niemile przepędzane, i rozwija nadzwyczajnie umysł, który inaczej rdzewiałby w zupełnym zaniedbaniu.

Nieobrachowane są korzyści Ochrony, nauki udzielane dzieciom, pomалу przechodzą do ro-

dziców;— sama konieczność umycia, ubrania, odprawienia dziecka obudzą w matce większą bacność na porządek, rozwija w jój umyśle

obszerniejsze pojęcie o ważności wychowania, którém jak widzi, zajmują się bez wynagrodzenia, osoby zupełnie obce tym dzieciom które właśni ich rodzice zaniedbują.

Wrażenie które dziecko odbiera słysząc o dobroci Boga, o powinnościach każdego człowieka, o miłości bliźniego, o chętném darowaniu urazy, jest jak owo ziarnko gorczycy o którém w Ewangelji jest mowa, które chociaż nie zawsze, przecież czasem padnie na dobrą ziemię, i wyda owoce.— Jak przypuścić — że matka nie klęknie do modlitwy widząc dziecię swoje składające pobożnie rączki; — że ojciec ostry lub nieprzyzwoity wyraz powtórzy, kiedy dziecina z uczuciem świętej trwogi spoglądając w niebo, powie mu — Ojcze tak się nie godzi!—

To też, lubo nie wszyscy, lubo nie od razu, bo gdzież jednomyślność między ludźmi? — ubodzy rodzice coraz więcej oceniają dobrodziejstwo Ochrony — co rok prawie przybywa nowa sala — w roku było ich już siedm —

Pierwsza w domu Tow. Dobr. na Krakowskiem przedmieściu

Druga na Nowym świecie

Trzecia na ulicy Przyrynek

f

Czwarta na ulicy Nowolipie

Piąta na ulicy Pokornej

Szósta na Lesznie

Siódma na Prądzie

a życzyć i spodziewać się należy że potrzeba coraz nowych Ochron ciągle się objawiać będzie, bo ileż to u nas ubogich dzieci, a jakież lepszy i łatwiejszy sposób pierwotnego ich wychowania?

We Francji zakładają teraz domy Ochrony dla niemowląt, gdzie matki przynosić będą dzieci swoje i wkładając je w kołyskę, chrześcijańskiej miłości powierzą te drobne istoty a same tylko w pewnych godzinach przybiegną zasilić je pokarmem — pewną jestem, że i u nas, gdzie wszystko co dobre, szlachetne, szybki odgłos znajduje, niezadługo podobny zamiar powstanie — Bogdajby jak najwięcej mnożyły się i rozwijały pomysły dążące do ulżenia doli pracującej części naszego społeczeństwa, do ulepszenia, do podwyższenia ich serca i umysłu, tak ciężko przytłoczonego troską o chleb powszedni dla siebie i dzieci.

## OBIADY PIĘCIOGROSZOWE.

Mało zapewne jest serc zupełnie obojętnych na widok wyciągniętej ręki nędzarza, na dźwięk głosu błagającego o wsparcie — kogóż nie



wzruszy widok cierpienia, kalectwa wystawionego na zimne spojrzenia przechodniów, wyglądającego utrzymania nędznego życia z jałmużny obojętnie rzuconej? — A przecież są sroższe nad te cierpienia — jest cięższa nad żebractwo niedola — a podług mnie stan ubogich żebrać się wstydzących na najtkliwsze zasługuje politowanie.

Ludzie ci, pokorni przed Bogiem, lecz dumni przed światem wśród którego mieli niegdyś dostatki i znaczenie, nieraz przeziębli i zgło-

niali, tulą się do lichego swego schronienia, pożywając suchy i twardy kawałek chleba, chociaż o kilkanaście kroków, przy drzwiach domu Tow. Dobr. lub którego z klasztorów obfitszy znaleźliby posiłek, — ale tam trzebaby z ubóstwem swoim stanąć przed wzrokiem ludzkim, trzeba na jaw wydać tajemnicę skrytych cierpień; oni to za wstyd uważają, i najcięższą nędzę nad wstyd przenoszą.

Towarzystwo Dobroczynności zwróciło uwagę na tę klasę ubogich, w roku I otworzono w zabudowaniach tegoż towarzystwa salę; gdzie co dzień o godzinie dwunastej w południe rozdawane bywają obiady dla osób ubogich, po cenie która zdaje się ustanowioną głównie dla uspokojenia uczucia godności tak w ubogich drażliwego, i która bez usilnych starań Towarzystwa, bez wspaniałego wsparcia ze strony J.O.X. Namiestnika, nigdyby istnieć nie mogła.

Ubogi pragnący korzystać z tego dobrodziejstwa, powinien złożyć świadectwo istotnego ubóstwa i dobrego prowadzenia się, na ręce opiekuna cyrkułowego, od którego za opłatą złotych otrzymuje bilet na obiadow. —

Osoby zamożniejsze chcące podobnym biletem zaopatrzyć biednego płacą za taki bilet Złp. która to cena i tak nadzwyczajnie jest niską w porównaniu kosztów i zachodów.

Teraz czyja wola, proszę na obiad pięciogroszowy!

W pośrodku długiej sali stoi stół od jednego aż do drugiego jój końca, nakryty czystym obrusem; — po obu jego stronach talerze, żelazne noże i widelce, łyżki cynowe błyszczą czystością, przy każdym nakryciu kawał dobrze wypieczonego chleba, w niewielkich przedziałach solniczki z solą, i karafki przezroczystą wodą napełnione.

Wybiła dwunasta godzina, zapełniają się ławki przy stole stojące; — po jednej stronie siadają kobiety, po drugiej mężczyźni. — Ileż to smutków, ile cierpień, ile nędzy znieśli osobno i w różnych stronach ci ludzie, których teraz dobroczynny pomysł w jedno miejsce zgromadza!

Patrzcie jaka różnaitość. — Tu surdut z cieniokiego kiedyś sukna, dziś wytarty, bez barwy, ale i bez plamy; — tu staroświecka czamara, tu płaszcz szary, a przy nim świecące guziki

znać przy innej niegdyś jaśniały szacie; — tu gruba stara sukmana, pełna łat, lecz niedziurawa.

I między kobietami jakaż różność stroju, jaka mieszanina! Jak często z pod płóciennego szlaf-roka wygląda jedwabna, lub kosztowna dawniej wełniana chusteczka otulająca szyję staruszki; jak często w czepku z kawałków grubego perkalu zeszytym spostrzeżesz resztkę prawdziwej koronki — o! ileż to — ile dowiedzielibyśmy się od tych szczątków innego bytu gdyby się przyjrzyć ich dziejom!

W postawach i na twarzach podobna różność.

Staruszka przed nie wielu laty matka kilku dorodnych synów, dziś bez wsparcia, bez pomocy, najciężej — bo po dzieciach osierocona samotnie zbliża się do kresu życia, i obojętnie pogląda na wszystko co ją otacza. — Niewiasta młoda jeszcze, pracuje usilnie przez dzień cały, pięć tylko groszy na utrzymanie swoje wydając, bo o mil kilkanaście, pod niską strzechą matka jej stara i schorzała wygląda co miesiąc wsparcia, bez którego żyćby nie mogła, — a mała jej córeczka dotknięta trudną do uleczenia chorobą, staraniem litościwych osób umieszczo-

na w szpitalu co rano uścisku matki wygląda. Tu starzec wychudły, blady, z spuszczonej ku ziemi wzrokiem, zdaje się że ważne jakieś układa plany; nieraz w zamyśleniu liczy coś palcami po stole, mniema się jeszcze na chwilę właścicielem obszernej fabryki, łudzi się myśląc że od jego rozrządzenia zależą liczni robotnicy, że obowiązkiem jego jeszcze myśleć o dostarczeniu im zajęcia, o utrzymaniu ich rodzin — niestety! za każdym wzniesieniem oczu,

smutna rzeczywistość wywodzi go z lubego błędu.

Spóirzycie w tę stronę:

Pomiędzy dwoma starcami zasiadł dwunastoletni może chłopczyna w studenckim mundurze, w moich oczach jest to widok równie tkliwy jak szanowny;—jakaż chęć do nauk musi mieć to dziecko, jakie zamiłowanie umysłowej pracy jaką żądze wzniesienia się moralnego, kiedy dla jój zaspokojenia przestaje na obiedzie ubogich. Wié on że przy zdolnościach swoich znalazłby w rzemiośle opatrzenie wszystkich potrzeb — lecz duch jego wyżej dąży, on woli znośić niedostatek, byle choć kiedyś dojść do zamierzonego celu, a cel do którego z takim po-

święceniem zmierza, pewno pięknym i szlachetnym będzie, czy go sobie zakłada w wsparciu i utrzymaniu ubogiej dziś rodziny, czy w usłudze pożytecznej krajowi poświęconej.

Jakże to mało do wielkich rzeczy potrzeba! oto za pięć groszy nieraz tak lekko i bez namysłu przez nas na niepotrzebną drobnostkę wydane, żyje przez dzień cały, i czerpie siły do olbrzymich w nauce postępów, młodzieniec który może kiedyś chlubą swoich ziomków będzie!— I luby to dzieciom chciwym nauki Można w ten sposób podać pomocną rękę, odmawiając sobie tylko mało znaczących fraszek!

Ale patrzmy na obiad!

Otworzyły się drzwi boczne i dwóch ubogich utrzymywanych kosztem Towarzystwa Dobroczynności, wnosi świecący kocioł miedziany, za nimi młoda Siostra Miłosierdzia wchodzi z miedzianym w ręku czerpakiem, i przy pomocy dwóch kobiet zaczyna rozdawać jedzenie; — dwaj starzy inwalidzi dnia tego na

służbie będący roznoszą je obecnym, a widok tych starców zaszczytnými bliznami pokrytych, jeszcze w ostatnich dniach życia pożytecznie

współbraciom służących, większej jeszcze powagi całemu obrazowi dodaje.

Już Członek Tow. Dobr. na którego dziś właśnie dozór nad salą przypada, zajął miejsce wrogu stołu, już przed każdym z obecnych dymi z talerza posilny barszcz z mięsem, gdy z pierwszego miejsca powstał siwowłosy starzec; wzrost jego wysoki, postawa prosta, twarz okazała białym wąsem ozdobna mimowolnie wzbudza uszanowanie, a pogodny wyraz oblicza serce ku niemu pociąga; — on tu najstarszy wiekiem, bo dziewięćdziesiąt przeszło lat sobie liczy, i wszyscy nieznając go nawet, okazują mu pewne względy.

Powstał, i przeżegnawszy się, starym zwyczajem prosił Boga o pobłogosławienie darów ku spożyciu przygotowanych, przytomni również powstawszy powtarzali w myśli wyrazy starca, i dopiero po uczynionym powtórnie znaku krzyża, zabrali się do jedzenia.

Przez kilka chwil, tylko szcęk łyżek i talerzy przerywał milczenie, lecz skoro każdy pierwszy apetyt zaspokoił, a inwalidzi kraśne słoniną kartofle roznosić poczęli, dała się słyszeć tu i owdzie półgłosem prowadzona ro-

zmowa, i wkrótce można było wziąć obia-

dujących za starych przyjaciół, u gościnnego stołu zebranych.— Tylko siwy staruszek zwykle rozmowny i żartobliwy, siedział w milczeniu, i raz po raz ciekawe, niespokojne prawie spojrzenie zwracał na siedzącą naprzeciw niego poważną niewiastę. — Prawda że jój powierzchowność odznaczała się cokolwiek od innych: ciemna suknia czysta, lubo wytarta, czarna stara chustka, której palmy choć spłowiałe wskazują jeszcze dawną jój wartość muślinowy czepek szafirową wstążką przewiązany, u szyi biała kryza, i białe u białej jeszcze ręki mankiety nadawały staruszce miły pozór świeżości i dobrego bytu, chociaż twarz licznemi poorana zmarszczkami o niemałych świadczyła cierpieniach. Postrzegła ona uwagę swego sąsiada, lecz nie urażając się nią, rzekła z uśmiechem w widocznej chęci zawiązania rozmowy.

— Czy wolno się spytać, co tak Waszmość dobrodziej w mojej osobie godnego widzenia znalazłeś?

— Daruj Asani Dobrodziejka, ale dalibóg! gdyby nie to, oczywiście przy stole siedzę i dar

boży pożywam, tobym myślał że śpię, i o dawnych czasach marzę.

— A toż dla czego?

— Ot dla tego moja mościa dobrodziejko! Że patrząc na jój personę, zda mi się widzieć damę, która już od lat wielu w Bogu spoczywa.

— Któż to był taki? jeżeli można wiedzieć.

— Zaczna to była pani i obywatelka! Nieraz z wojskiem przechodząc mimo jój domu znalazłem w nim wypoczynek i gościnne przyjęcie;—

ale to już dawne czasy! jeszcześ Asani dobrodziejka dzieckiem wtedy być musiała, boć to już blisko lat pięćdziesiąt od owego dnia minęło, kiedy po raz ostatni będąc w Augustowskim, panią K widziałem.— Wówczas już to była sędziwa niewiasta, a jednak dziś patrząc przed siebie, przysięgłbym, że widzę ją, albo jój obraz... Ot! marzenie — panie odpuść!

— Marzenie Waszmości nie tak daleko od prawdy jak się zrazu zdaje; — nie żyje wprawdzie nieboszczka K... ależ córka do matki często podobną bywa.

— Toż Asani jesteś ową jedyną dziewczynką, ową pieszczotą rodziców i domu całego, którą ja sam nie raz na rękę nosilem?... A pamiętaszże

mnie moja dobrodziejko?... i to mówiąc stary wójak ze łzami wyciągnął rękę na przeciwną stronę stołu.

— Pamiętam! odrzekła wzruszona niewiasta, o! bo takięj jak moja młodości, i takich ludzi jakim Waszmość byłeś, nigdy się nie zapomina. Szczęśliwą też bo i starość pan Bóg dał Waszmości — wyglądasz ledwie na lat sześćdziesiąt, i gdyby nie zbielała głowa i wąsy O! dziwneż to, dziwne są sprawy boże! ktoby nam przed laty był powiedział, że się kiedyś u tego stołu zejdziemy?

- Niechaj Bóg nagrodi tym co go zastawili! dożyłem przy nim ostatnięj, niespodziewanęj radości!

Przez kilka chwil jeszcze toczyła się rozmowa o wypadkach lat ubiegłych, o zmianie losu. o znajomych, przyjaciółach,— nakoniec starszek widząc, że współstołownicy nie tyle co on zajęci, wypróżnili talerze, powstał, i dopełniając przyjętego dobrowolnie obowiązku wzru-

szonym głosem odmówił dziękczynienie; potem, zarzucił szarą czujkę na ramię, białą czapkę pod lewą rękę podłożył, prawą podał dawniej swo-

jój znajomój, i z staropolską grzecnością wprowadził ją z sali.

Obrazek ten rzetelnie z natury skreśliłam; sędziwą niewiastę o której tu wspominać spotkać można w niejednym zamożnym domu, bo choć ona niczyjego wsparcia nie przyjmuje, ani u majątnych krewnych pomocy i opieki nie szuka, zachowała jednakże przyjacielskie stosunki z osobami, które miły charakter, ukształcony umysł i osobistą zasługę umieją cenić nawet pod ubóstwa szatą.

Kto zaś oddawna mieszka w Warszawie często zapewne widywał starca okazałej postaci, w staroświeckim stroju, z śnieżnym wąsem na czerstwej twarzy, z litym pasem na ciemnym kontuszu, już to jak w saskim ogrodzie gawędził na ławeczce u studni z dziatwą lub jój dozorcami, już codzień rano, jak stojąc na placu przed teatrem regulował ogromny srebrny zegarek podług zegaru ratuszowego, już наконец zawsze o południu, na pierwszym miejscu przy pięciogroszowym obiedzie.—Starzec ten przeżył wiele; dawny szlachcic, wojak, później rezydent w obywatelskich domach; z czasem,—kiedy wszystko dawne nowości miejsca ustępować



musiało, kiedy polski rezydent w francuzkim kamerdynerze współzawodnika znalazł, znajomy nasz przeniósł się do Warszawy, i tu z pomocą życzliwych sobie utrzymywał się uczciwie choć ubogo, aż dopóki na początku roku, przeżywszy lat i miesięcy jedenaście, po kilkodniowej słabości ziemię opuścił. — Imię tego człowieka jako zgasłe już, a zacie i pocziwie wędrówkę swoją po świecie odbywającego, wolno mi dziś wymienić. Zwał się Józef Dębski.

INSTYTUT

OSIEROCIAŁYCH

WYCHOWAŃCÓW TOWARZ. DOBliOCZYMOSCI.

Przy końcu Nowego Świata, gdzie z jednej strony topole jerozolimskiej drogi, a z drugiej lipy ujazdowskie miłą woń szerząc, przytłumiają duszące wyziewy miasta i sąsiedztwo otwartego pola zwiastują, tam mówię, wśród gmachów zajętych na mieszkanie zamożnych warszawian, jakby ku przypomnieniu, że nie wszystkim dostatki w udziale przypadły, wznosi się dom obszerny, zbudowany podług pełnego smaku zarysu; wygodny, z wysokimi oknami, bez balkonów i wszelkich zbytkowych przydatków,

prosty, czysty, poważny jak cel na który go przeznaczono.— Jest to.

Dom Sierot i ubogich dzieci zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Urządzenie i utrzymanie tego zakładu jest prawdziwie wzorowém. — Dolne piętro przeznaczono na Ochronę (o której gdzie indziej będzie wzmianka) i dla oddziału młodszych sierot; dwa drugie piętra zajmują starsi wychowañcy.

Niepodobna oprzeć się wzruszeniu na widok tego grona dzieci wydartych nędzy, tułactwu, może nawet występkom, (bo jakże to trudno sierocie uniknąć zetknięcia się z zepsuciem, a jeszcze w wielkiem mieście!) sposobiących się tu na cnotliwych, bogobojnych, pożytecznych ludzi.

Od trzeciego do dwunastego roku życia opiekuje się tu dobroczynność sierotami. W pierwszych latach, powierzone niewieściemu staraniu, uczą się łatwými sposobami poznawać otaczające je przedmioty i wznosić myśli do Boga, wciągają się w karność, porządek tak nieodbici młodzieży potrzebne. — W siódnym lub ósmym roku, w miarę umysłowego rozwinięcia prze-

chodzą do wyższego oddziału, pod silniejszy, wyłącznie męzki kierunek, i tu dopiero zaczyna się właściwa nauka.

Oprócz zasad religji wykładanej przez światłego kapłana, oprócz nauki języków—polskiego, rosyjskiego i niemieckiego, oprócz rachunków, wiadomości z nauk przyrodzonych, uczą się

tu rysunków, bo te w dalszym zawodzie mogą im być użyteczne, uczą się kościelnego śpiewu, najprzód ażeby Bogu wdzięczność swoją wynurzać, a potem, by po pracy znaleźć Rozrywkę miłą, rozwijającą uczucie, podnoszącą umysł.

Każdy uczeń wprawia się pod okiem miejscowego majstra w rzemiosła: szewckie i krawieckie, by sobie w potrzebie wystarczyć, i pracą swoją przyjść w pomoc zakładowi; zręczniejsi uczą się introligatorstwa, i wcale ładne rzeczy wyrabiają; — wyrabiają z drzewa rozmaite przedmioty, plotą z krajk od sukna dywaniki, słowem, ani chwila czasu, ani najdrobniejszy dar straconym tu nie zostanie.

Obok tylu skarbów nauki, jakże się tu wzorowo kształcą te młode dusze w trudnej nauce życia! Jak troskliwie zaszczepiają im tu zami-

łowanie prawdy, rzetelności, wytrwałości i pracy! Jak umiejętnie wpajają w nie uczucie wspólnej zgody i braterskiej miłości.

Sieroctwo odosobniające zwykle od świata dotknięte niem istoty, tu staje się węzłem silniejszego połączenia. — Sieroty nie czują się tu opuszczonemi, bo chociaż dobrodziejstwa zapewniające im materialne istnienie, pośrednio ich dochodzą — ciągły, rodzicielski nadzór, jakim zakład ten otoczył umiano, troskliwość nie-

zmordowana Członków Towarzystwa Dobroczynności i zacnych tutejszych niewiast na Opiekunki wezwanych, mnoży do koła sierotek moralne pociechy, okrąża je — że tak powiem — łańcuchem wzruszeń i uczuć rodzinnych. — Na publicznych examinach odbywających się raz do roku w obecności Wizytatorów i znakomitych osób, ujrzysz liczne grono Opiekunek troskliwych o szczęśliwe odbycie popisu. — One to w święta Wielkiejnocy zajmują się urządzeniem Świeconego, one posługują dziatkom przy téj rodzinnej uczcie odwiecznym zwyczajem uzacnionej. — Dzień Bożego Narodzenia, to największe święto dzieci, nie mija również w Instytucie bez uroczystości, — Na pamiątkę

gwiazdki betleemskiej, urządzoną bywa skromna uczta; — tu matki licznych rodzin łamią opłatki zbiednemi sierotami, i tu zapewne najwłaściwsza pora do tego obrzędu, bo jednym przywodzi na pamięć obowiązek dzielenia z bliźnimi własnych dostatków, drugich weselem i pociechą przejmując, wskazując im tyle serc, na które z ufnością liczyć mogą. — Następnie szanowny Pszełożony Instytutu wskazuje kolejno uczniów mniej lub więcej zasługujących na pochwałę, i rozdawane im bywają rozmaite przedmioty, poprzednio z dobrowolnych składek zebrane lub zakupione; dary te są znaczniejsze lub mniejsze, w miarę zasługi, lecz żadne z dzieci nie bywa pominięte, bo zawsze a szczególnie téż w dniu takim, poprawę a nie karę mają tu na celu. — Po rozdaniu kolendy, następują życzenia szczęśliwego przeżycia następnego roku, a

potém wesoła przyzwoita zabawa.

Wiele jest w mieście naszym dobroczynnych zakładów, wszystkie z prawdziwie szlachetną gorliwością są urządzone i prowadzone, ale choć może inne przewyższają funduszami zakład o którym mówię, żaden przecież tak serdecznego nie doznaje współczucia. — Może przyczyną

tego jest wezwanie tylu kobiet na opiekunki. Jabym tak mniemała — Prawda—nie wszystkie równie znakomite składają dary, — są i takie między opiekunkami, które ledwie niekiedy, i to małym datkiem przyczynić się mogą do powiększenia funduszów zakładu — ale niema takiej, któraby niczem nie starała mu się przysłużyć; — jedne zbierają dary dla sierot przeznaczone, inne zajmują się sprzedażą instytutowych wyrobów, te odwiedzają w pewne dni szkołkę, a każda z znajomými sobie osobami, z własnymi dziećmi mówi często o sierotkach, pragnie ich pomyślności, spotkawszy którego z wychowawców nie pominie go bez powitania, bez troskliwego zapytania o zdrowie i powodzenie.— Dzieci i słudzy opiekunek, świadomi ich niedoli i wzorowego postępowania, spotykają sieroty z uczuciem życzliwości i szacunku. — W ogrodzie saskim, gdzie w ciepłej porze kilku wychowawców staje na przemiany przy studni, podając gościom znaną z dobrego smaku wodę, wszyscy znają sierotki z uprzejmości i prawości; rzadko kto je minie nie rzuciwszy grosza

do stojącej na boku puszki, nikt prawie, nie przemówiwszy życzliwego słówka — a tak grono

opuszczonych dzieciak wzrasta wśród ludnej Warszawy, jak wśród ścian rodzinnych, odbierając nieustannie dowody życzliwego zajęcia.

Wielkie to jest dzieło! rzadko się podobne ukaże; — bo też chcąc sercu całego miasta garstkę sierotek polecić, potrzeba było wprzód ukochać sercem własném, ich szczęście przenieść nad swoje powodzenie, ich ukształceni najdroższe życia chwile poświęcić. — Tak je też ukochano! — Kto nie szczędził pracy i trudu, - kto nie żałował czasu uskapionego domowi i rodzinie, temu wieczna wdzięczność w pamięci sierot, cześć w wszystkich sercach poczciwych!

Do dwunastego roku życia wychowawcy zostają w Instytucie; — potem stosownie do zdolności, chęci, lub zdarzającej się sposobności, przechodzą w naukę do rzemieślników. — Lecz tu nie kończy się jeszcze opieka Towarzystwa Dobroczynności; — przy wyjściu z Instytutu, każdy uczeń otrzymuje książeczkę, w którą majster winien zapisywać sprawowanie się jego; — książeczki te, co kwartał przeglądane bywają przez członków Towarzystwa Dobr. wyznaczonych do téj czynności.— W każde znaczniejsze święto, nowi rzemieślnicy z pozwoleniem maj-

strów, u których zostają, odwiedzają Instytut, i z towarzyszymi tylu lat życia, kilka godzin spę-

dzają.

Po ukończeniu lat nauki, sierota, zawsze pod opieką Towarzystwa Dobr., wychodzi w dalszego życia szranki, i prawie zawsze (bo niezmiernie są rzadkie przeciwne przykłady), spełnia piękny zamiar który założeniu tego Instytutu przewodniczył, staje się cnotliwym, pracowitym, pożytecznym członkiem społeczeństwa; prawością charakteru i dobrym przykładem wywdzięcza się za doznaną opiekę.

Wielu z tutejszych uczniów są już wzorowymi rzemieślnikami, krawcami, szewcami, stolarzami; — ogrodników także jest kilku, niektórzy mają własne warsztaty, niektórzy przyjąwszy służbę w straży ogniowej, z narażeniem życia bronią całości tego miasta, którego dobroczynności byt i wykształcenie swoje winni, a zewsząd dochodzące wieści o ich postępowaniu, wzbudzają w Towarzystwie Dobroczynności prawdziwą pociechę i zamiar stopniowego rozwijania zakładu, który tak błogie przynosi owoce.

Wewnętrzne urządzenie całego Instytutu, jest

Rzeczywiście wzorowe. - Sala szkolna, rzemieślnicza, sypialna, obszerne, widne, wysokie i z najstaranniejszym porządkiem utrzymane, odpowiadają w zupełności przeznaczeniu swemu. Powietrze czyste; dziedziniec obszerny, ocieniony starými drzewami, i przyległy ogródek, dostarczają dzieciom pożytecznego ruchu po umysłowej pracy. — Posiłek przyzwoity i dostateczny, odzież porządna, a nadewszystko prawdziwie ojcowski nadzór szanownego Prze-

łożonego, i sąsiedztwo Domu Bożego (bo o kilkanaście kroków wznosi się kościół Świętego Alexandra), oto są skarby, którei hojna ręka Opatrzności obficie obdarzyła Dom Sierot i ubogich dzieci.

Teraz — rzućmy okiem w przeszłość niezbyt odległą.

Już w roku Towarzystwo Dobroczynności, pragnąc najrozmaitszemi środkami nieść ulgę cierpieniom, postanowiło wychowywać sieroty płci męskiej i postanowienie to wkrótce w czyn zamienionem zostało. — W jakiś czas potem za pogrzebem znakomitego mieszkańca Warszawy, szły wdzięczne za wsparcie sierotki w klasztorze świętego Kazimierza i wszipi-

talu Dzieciątka Jezus wychowane, szło też i kilku chłopczyków z nowo utworzonej szkółki Tow. Dobroczynności. — Mnóstwo ciekawych I patrzyło na ten obchód pogrzebowy, patrzyło i młode, pełne nadziei dziecię, które wczas jakiś, śmierć wydrżać miała tkliwości rodziców ; wzruszone widokiem tych dziątek, których i mała liczba, i niezatarte jeszcze ślady poprzedniej nędzy odróżniały od dwóch gron liczniejszych, prosiło o wytłómaczenie, coby to były za dzieci? a dowiedziawszy się, że te sierotki mają być wychowywane i kształcone na zanych, uczciwych rzemieślników, zachowało w sercu pamięć i życzliwość dla nich. Wkrótce ulegając niszczącej chorobie i przewidując bliski zgon swój, słodka dziecina prosiła rodziców o pozwolenie rozrządzenia tém co z ich dobroci do niej należało, i wszystko to przeznaczyła dla osierociałych wychowanców Towarzystwa Do-



broczynoŹci.

Był to pierwszy znacznieŹszy dar na ten cel przeznaczony, a Bóg pobłogosławił piękne chęci umierającego aniołka, pozwalając rozwinąć się

Józia Werbusz.

tak pożytecznie zakładowi temu. Odtąd Instytut wzrastał fizycznie i moralnie, w roku bowiem przybyła mu serdeczna opieka szanowne-Męża wylanego zupełnie dla dobra ludzkoŹci, a wzorem Zbawiciela szczególnieŹ dziatki miłującego; przybywały zwolna i dary, czasem znaczne częścięŹ jednak drobne, i tu prawdziwie okazuje się rzetelnoŹć owego przysłowia:  
Ziarko do ziarka  
Zbierze się miarka.

Grosz do puszki wrzucony, bułeczka przez dziecko ofiarowana, kilka arkuszy papieru, słowem najlżejsza drobnostka z wdzięcznoŹcią przyjęta, obraca się tu w pożytek.

Z pojedynczo ofiarowanych ksiąŹek zebrała się biblioteczka; drobne kawałki wstaŹek lub jedwabnych materyi wyrobione zostaną w intro-

O Stanisław Jachowicz, gorliwy Członek Towarzystwa DobroczynnoŹci, znakomity i tak powszechnie ceniony, tak od dzieci ulubiony autor Bajek i PowiaŹtek, Rozmówek Mamy z Józia Pamiątki dla Eryczka i innych dzieł pożytecznych.

Zegarmistrz Krantz oceniając dobre przymioty ucznia swojego, wychowańca Towarzystwa Dobr. zapisał Instytutowi

summę kilkutysięczną.

ligatorskim warsztacie— zbytkowe przedmioty spieniężone — obrazy lub inne utwory sztuki za dobrowolną opłatą okazywane, puszka przy studni w saskim ogrodzie, wszystko to tworzy drobne źródelka zasilające fundusze Instytutu. — Ów dom na Nowym Świecie, w którym przeszło sierot wygodnie się mieści, ten dom tak poważny i okazały, w niejednym sercu miłe obudzą uczucie, bo w czasie kiedy go budować zaczęto, powstała śliczna myśl zbierania drobnych datków na cegielkę —jak to przyjemnie będzie kiedyś człowiekowi dojrzałemu przechodzącemu tędy, pomyśleć, że i on w dzieciństwie przyłożył się do wzniesienia tego przytułku nędzy, że i jego cegielka mieści się w tym gmachu, a może jeszcze cegielka kosztowna, może ofiarą wielkiej przyjemności okupiona.

Wiele wdzięku i pożytku razem mieści się w tej sposobności składania małych darów ku wsparciu ubóstwa; błogosławić należy owe pomysły, ową wytrwałość w zbieraniu drobnych datków, owo że tak powiem przysparzanie bliźnim zasługi, którą kto wie czybyśmy sobie sami tak często skarbić pamiętali.

Ten słaby opis tak zajmującego zakładu kończę serdecznym życzeniem, aby wzrastał i rozwijał się nieustannie w miarę potrzeby społeczeństwa, aby z każdym rokiem nędzy i za-

niedbanu, więcej ofiar wydzierał.

III

JESZCZE

O

DOBROCZYNNYCH ZAKŁADACH.

SZPITAL MIEJSKI Ś. DUCHA

U PANNY MARYI.

przy ulicy Przyrynek Nr. .

Przeznaczony na schronienie ubogich i podszłych w wieku mieszkańców Warszawy, świadczy nieprzerwaném istnieniem swoim od lat blisko pięciuset, o ciągłej a niezmiennój dobroczynności Warszawian.

W roku Jan Książę Mazowiecki nadał zakładowi temu istniejącemu przy kościele Ś. Ducha przywilój, i darował grunta rozciągające się od nowego mostu, aż po za Nowe miasto.— Księżna Anna siostra jego ustąpiła ogrodów swoich. — W r. Książę Jan starszy dodał

młyn ze stawem.— W roku Książę Bolesław grunt dotykający wspomnionego młynu, później za ich przykładem, obywatele warszawscy hojnymi dary coraz więcej opatrywali wspomniony szpitala a kiedy drewniane zabudowania jego przy wałach położone zgorzały, już magistrat zarządzający funduszami był w roku w stanie wystawienia domu murowanego.— Podobno jeszcze w XIV wieku, na wzór wspomnionego Szpitala Świętego Ducha, założono szpital u Panny Maryi; w roku uposażony został przez Franciszka Żoch domem p. Nr , i w roku liczył ubogich . — Oba te zakłady połączone z woli wyższej w jeden, pod nazwą Szpital Miejski Świętego Ducha u Panny Maryi, od roku mieszczą ciągle stypendystów i stypendystek ; a funduszami zarządzanie jak dawniej Magistrat, za wynagrodzeniem z funduszów pobieraném, ale Rada szczegółowa złożona z mieszkańców miasta, powołanych przez Radę główną Opiekuńczą Zakładów Dobroczynnych, do tego szlachetnego i bezpłatnego obowiązku.

W którym w r. mieściło się już kobiet , a mężczyzn .

Fundusze składają się z dzierżawy dwóch domów i gruntów do zakładu należących, niemniej z procentu od kapitałów zapisami przekazanych.

W roku z dobrowolnych składek tutejszych mieszkańców, nastąpiła zupełna restaura-

cya i urządzenie tego zakładu w sposób odpowiedni potrzebie, i pod każdym względem wzorowy.

Jest to Instytucja prawdziwie dobroczynna i szlachetna, podająca każdemu mieszkańcowi Warszawy sposobność zapewnienia sobie pewnego schronienia i przytułku na starość; każdy czy to rzemieślnik, czy handlujący, może za złożeniem wkupnego złotych bądź od razu, bądź w trzech ratach, spokojnie patrzeć na zbliżającą się starość, bo ta spłynie mu cicho, w towarzystwie zacnych i równie jak on w lepszych swoich czasach pamiętnych na przyszłość ludzi, pod moralną i religijną opieką kilkuwiekowym istnieniem szanowną.

Mieszkanie stypendystów podzielone jest na dwie części, to jest osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet. — Każdy oprócz ogrzanego i czystego mieszkania, oprócz światła, usługi,

radę lekarskiej i lekarstw, pobiera gr. Dziennie na wyżywienie, pranie i inne potrzeby, i prócz spokojnego i moralnego zachowania się żadnych niema obowiązków. Z czasu i sił swoich korzystają wyłącznie sami; ponieważ zaś wiadomo jest, że przed wnijsciem do tego zakładu każdy musi udowodnić poczciwe i nieposzlakowane postępowanie życia całego, często zatem kobiety powoływane bywają od prywatnych osób za stosownym wynagrodzeniem do dozoru lub usługi chorych, — mężczyźni do nadzoru mieszkań czasowo opuszczanych i t. p.

Tu, jak przy ustanawianiu przepisów każdego prawie dobroczynnego zakładu zostawiono zamownym otwarte pole do miłosiernych czynów. Ktokolwiek ofiaruje zakładowi sumę złotych

wynoszącą, lub zapewni mu dochód odpowiedni procentowi téj summy, nabywa dla siebie i potomków swoich prawo przedstawiania i utrzymania na wieczne czasy jednego starca w Szpitalu miejskim, czy to mężczyzny czy kobiety. — Wprawdzie w naszych czasach mniej ak dawniej jest zamożnych, a przynajmniej uznających się za takich, ale rzuciwszy okiem na ulice Warszawy, spotykamy jeszcze tyle oznak

bogactwa, — tak często widzieć można atlasy i aksamity zamiatające zakurzone bruki, kosztowne futerka pocięte w kawałki dla zewnętrznej ozdoby, świetne liberye, zaprzęgi okazałe, — że prawdziwie, miło pomyśleć, ilu to jeszcze osobom snadno byłoby zapewnić los starcom strudzonym pracą długiego życia, a na schyłku dni swoich wszelkiej pozbawionych opieki.

Mając właśnie pod ręką deklarację, jaką każdy starający się o pomieszczenie w Szpitalu miejskim dla starców płci obojęd, złożyć jest obowiązany, załączam tu z niéj wyjątek w mniemaniu, że wiadomość ta może komu być przydatną:

„Gdy na mnie przyjdzie kolej umieszczenia się w szpitalu, złożę dowody następujące:

- . Dowód stałego zamieszkania w Warszawie.
- . Nieulegania karom wyrokami sądów kryminalnych naznaczonych.
- . Lat wieku skończonych.
- . Stanu bezżennego.
- . Moralnego prowadzenia.
- . Nieposiadania majątku nieruchomego, i

ruchomego, niepobierania stałego wspar-

cia, z których to źródeł dochód roczny mógłby przenosić zł. .

- . Braku opieki prywatnej, rządowej lub familijnej.
- . Przyczyny ubóstwa.
- . Utraty sił fizycznych.
- . Nieulegania chorobie zaraźliwej, lub takiej na której leczenie są oddzielne szpitale w Warszawie.

Obowiązuję się nadto cierpliwie oczekiwać wakansu otwierającego się w zakładzie pomienionym, jedynie przez wydarzoną pomiędzy stypendystami śmiertelność, lub za wzrostem funduszów.

— Skoro doczekam się kolei i otrzymam pomieszczenie w Szpitalu, przyrzekam ni-niejszém, pod utratą zapewnionego sobie tamże dożywotniego przytułku, zachować się w Zakładzie rzeczonym zawsze i ciągle przyzwoicie, stosować się do przepi-

Pomimo tę ostrożność, stypendysta który już po wejściu do Szpitala ulegnie chorobie, doznaje najtroskliwszych starań i o-trzymuje wszelką potrzebną pomoc.

sów i porządku tamże wprowadzonego, lub wprowadzić się mającego, zaręczając zarazem, że prowadzenie się moje od dzisiaj również moralném i przyzwoi-tém będzie."

## SŁÓWKO

### O INSTYTUCIE OCIEMNIAŁYCH.

Jeżeli każde kalectwo ciężką jest niedolą, za najprzykrzejsze z nich, bez wątpienia uznać można ślepotę, bo jestże nieszczęśliwszy człowiek nad tego, o którego ucho objają się Rozmowy współbraci, który słyszy nazwisko tysięcy nieznanych przedmiotów, czuje dokoła czynność, ruch, pracę, a sam w tém wszystkim żadnego niema udziału, nikomu pożytecznym być nie może, nawet koniecznych potrzeb życia sam sobie zapewnić nie jest w stanie. — Niewidomy, gdzież znajdzie ulgę, rozrywkę, pociechę? — Tkliwość otaczającej go rodziny może wprawdzie osłodzić w części cierpienie,

może skrócić długie chwile ciemności; ale ta sama myśl, że nieustannie potrzebuje kogoś, że sam sobie wniczém wystarczyć nie może, jakże mu bolesną być musi! A potem, czyż to każdy doznaje tkliwego zajęcia? czy każdy znajdzie litościwe serce, któreby nieszczęśliwemu połowę swego życia poświęcić chciało?

Nie widzieliżemy dzieci pozbawionych wzroku, które bez dozoru samym sobie zostawione, nietylko rozmaitym ulegały niebezpieczeństwom, aleje i na drugich sprowadzały? Nie widzieliżemy starców opuszczonych od wszystkich, któ-



rym za ledwie piesek za przewodnika służył?  
Nie widzieliżemy nakoniec niewidomych, chociaż w całej sile wieku i zdrowia, wyciągających zebrzącą rękę, i litościwe dary, na najgorszy obracających użytek?

Dla niewidomego zamknięty jest świat zewnętrzny; w sobie on tylko znaleźć może otwarte do działania pole, w niebie cel bytności swojej na ziemi, ale jeżeli przed wzrokiem duszy równie jest ciemno, jak przed oczyma ciała, jeżeli serce rozdrażnione niedołą, nienawykłe do tkliwych uczuć, nie umie wznieść się ku Stwórcy, cóż to za ciężkie i gorzkie cierpienie!

Lubo kalectwo to, jak każde inne, każdego dotknąć może, smutno pomyśleć, że jednak uboższa klasa ludzi najmocniej i na to cierpienie jest wystawiona; zbytne natężenie wzroku przy pracy, którą najczęściej tylko odbłysek świeczki lub kopczącej lampy oświeca, zaniedbana słabość wzroku, brak środków lekarskich, wilgotne mieszkania, wszystko to przyczynia się do utraty wzroku.

Tkliwy na cierpienia bliźnich, ś. p. xiąże Edward Lubomirski w ostatnich chwilach życia założył w Warszawie Instytut oftalmiczny, gdzie cierpiący na oczy, a osobliwie ubodzy, otrzymują pomoc lekarską, i najtroskliwszych starań doznają; lecz sztuka lekarska, jak każda ludzka umiejętność, wszechwładną nie jest; z Instytutu oftalmicznego wychodzą niewidomi, którym żadna siła ani nauka utraconego wzroku przywrócić nie zdoła.

Dla takich nieszczęśliwych, nie było u nas przez długi czas schronienia, nie było opieki!

Ksiądz Jakób Falkowski zwiedzając obce kraje

w celu przypatrzenia się Instytutom dla głuchoniemych, zwiedził również zakłady ociemniałym przeznaczone, bo w sercu tego sługi

bożego goreje owo prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie, pragnące złagodzić wszystkie cierpienia, ulżyć każdemu nieszczęściu. — W roku staraniem tego czcigodnego kapłana, przy Instytucie głuchoniemych, w gmachu byłych koszar kadeckich, otworzono i dla ociemniałych przytułek, lecz dobroczynny ten zamiar dla zupełnego braku funduszków, upadł wkrótce. — Wznowiono go w roku    lecz i wtenczas nie trwał długo; — wszelako, błoga myśl nie zgasła wśród rozlicznych trudności. — W roku przy Instytucie głuchoniemych, powstał znowu zakład dla ociemniałych, bez stałych funduszków, bez innej prawie podstawy, prócz ufności w Bogu i chęci złagodzenia losu nieszczęśliwych. Cudowną zaiste jest prawdziwa miłość bliźniego! W świecie, jakżeto trudno oderwać od zbytków cząsteczkę ku wsparciu potrzebujących! — Tu, niedola niedolę wspiera! Jeszcze się była nie wzniosła budowa przeznaczona na rozszerzenie Instytutu głuchoniemych, już w dawnych zabudowaniach ustąpiono miejsca dla ociemniałych, jeden dozór, jedna opieka rozciąga się nad obudwoma zakładami,

nauczyciele jednego poświęcają drugiemu chwile na wytchnienie dla nich przeznaczone; — niezmordowane miłosierdzie czuwa nad obudwoma. Chociaż dziś zakład ociemniałych kilkunastu już liczący wyhowańców, dla szczupłości funduszków nie mógł się jeszcze należycie rozwinąć, a przecież jaki widok uderza wchodzącego tu po raz pierwszy! Oprócz wszystkich potrzeb życia, ociemniali odbierają tu naukę, moralne i religijne wychowanie. — Najpierwsze i najważniejsze miejsce w ich wiadomościach zajmuje nauka religii; potem idzie znajomość własnego języka, arytmetyka, dzieje świata, wyobrażenie o ziemi na której mieszkają, o szczegółach stworzenia, których lubo widzieć nie mogą, poznają przeznaczenie i pożytki. Tak więc kształcą tu ich umysł, przez ćwiczenia i roboty ręczne doskonałą zmysł czucia, przysposabiają im nie tylko rozrywkę lecz i sposób utrzymania się w dalszem życiu; wyrabiają oni słomianki, sieci, siatki, jest zamiar uczenia ich koszykarstwa, który bogdajby mógł przyjść do skutku!

Najmilszą ze wszystkich nauk, najulubieńszem ze wszystkich zatrudnień jest dla ocie-

mniałych muzyka; natura wynagradzając utratę jednego zmysłu zaostrza wprawdzie pozostałe, ale ileż to trudności zwyciężyć potrzeba, zacząć w przytępionym umyśle ułożyć się trudny podział nót, zacząć palce nauczać się władać mechanicznie muzycznym narzędziem, nim te głosy chciwe wylewania uczuć serca, nabędą przy-

zwoitego urobienia; jakiejże to niezmordowanėj cierpliwości potrzeba, by ziarnko po ziarnku złożyć całość taką, jaką już tworzą śpiewy i gra ociemniałych z tutejszego instytutu. W przeciągu jednego lub dwóch lat, trudna nauka muzyki wysoko dojść nie może, a przecież dla tych co ją duszą, nie uchem słuchają, śpiew ociemniałych może być źródłem rzewnej, niczém nie zatartėj rozkoszy; — bo jakiż wyraz w tych głosach, jakie uczucie! Śpiewy ich do Boga zwrócone z głębi serca unoszą się w niebiosą, pozbawieni zewnętrznych roztargnień, odrywają się duszą od ziemi, na której szczęścia znaleźć nie mogą, i na skrzydłach modlitwy spieszą ku wyższej krainie, która im w ciemnościach tego żywota tak świetny cel przedstawia.

Jakiegokolwiek trudności ma muzyka, nie zrażają się nią ociemniałi; ukochali ją jako sposób

tłómaczenia wznioślejszych uczuć, jako duchową rozrywkę; to też lubo mają kilka instrumentów, tak skrzypców jak fortepianów, narzędzia te nie wystarczają ich chęci; do późnego wieczora grają na przemiany; — widziałam maleńkiego chłopczyka, który w chwili wolnej od nauki, w dniu zimnym grał na organach stojących w nieogrzaném miejscu, drugi mniejszy jeszcze, dostarczał mu powietrza czyli kalikował; coraz obadwa rozcierali zziębłe rączęta, i z coraz nowem upodobaniem wracali do miłego sobie zajęcia.

Te kilka słów skreślonych pod wpływem wrażenia? jakie na mnie widok ociemniałych

sprawił, nie są zapewne godnym obrazem tak zajmującego zakładu, ale ja też chciałam tylko zwrócić uwagę moich czytelników na to dzieło prawdziwie chrześcijańskiego miłosierdzia, na to schronienie poświęcone niedoli, która tu już nieszczęściem być przestaje; chciałam podać myśl zwiedzenia tego przybytku wzniesłego i świętego poświęcenia się dla dobra współbraci, chciałam zachęcić do przypatrzenia się tej cudownej niezmordowanej miłości, która istotom

opuszczonym od wszystkich wlewa w serce ufność i pociechę, a wzrok na ziemskie przedmioty zmartwiały ku wyższym zwraca sferom, i otwiera przed nim bogactwa duchowego świata.

POPIS PUBLICZNY

W INSTYTUCIE GŁUCHONIEMYCH

W WARSZAWIE.

Co rok na początku miesiąca lipca, odbywa się w Instytucie głuchoniemych popis publiczny, w przytomności władz szkolnych, znakomitych osób zajmujących się wychowaniem, i rodziców jakoteż opiekunów tutejszych uczniów; co miesiąc w obecności przełożonych Instytutu, życzyliwych mu, i ciekawych, odbywa się egzamin prywatny, dla przyuczenia wychowañców do zdawania sobie ścisłej sprawy, z udzielanych im nauk. Oddawna przejętą byłam czcią i serdeczném współczuciem dla tego zakładu, w którym wybrane dusze spełniając zamiar Meża

bożego, z nadludzką cierpliwością pracują nad ukształceniem tych nieszczęśliwych, którzy przez tak długi czas uważani za klęskę własnej rodziny, za ciężar społeczeństwa, istnieli na tej ziemi pożywając gorzki chleb wzdurliwej litości, niedostrzegając celu tego smutnego bytu, a którzy dziś wskrzeszeni moralnie, władając wszelkimi umysłowými zdolnościami, stają się czynnymi, pożytecznymi członkami tej ludzkości, która ich przecież za dzieci swoje uznała.— Oddawna (mówię) pragnęłam być świadkiem publicznego popisu w Instytucie Głuchoniemych, i dnia lipca roku wybrałam się na tę uroczystość. Mnóstwo ciekawych zebrało się dnia tego w ogromnej sali Instytutu, i w milczeniu, z zajęciem czekano na rozpoczęcie egzaminu. Wychowañcy podzieleni są tak w męskim jak w żeńskim oddziale na sześć klass, w których stopniowo nabywają wszystkich nauk potrzebnych do zupełnego wykształcenia umysłowego.

Trudnoby uwierzyć nie widząc, że uczniowie tutejsi, poczynając od najmłodszych, już się uczą religii, poznawania własnego języka i arytmetyki, że starsi dowodzą gruntownie nabytych wiadomości z historii, jeografii, nauk przyro-

dzonych, geometrii, i t. p., że z wszystkich tych nauk umieją zdać sprawę nietylko na piśmie, ale ustnie, i to na pytania również ustnie zadawane.

A jednak do takiego udoskonalenia doprowadzono głuchoniemych niezmierną usilnością, niewysłowioną cierpliwością i poświęceniem.— Już dziś nietylko znakami, nietylko z piórem w rękę człowiek pozbawiony słuchu i mowy może się z bliźnimi rozmówić;—choć ucho jego na głos bratniego słowa również jest zamknięte, jak na wszystkie inne dźwięki, nauczono go poznawać z układu ust, każdą pojedynczą głoskę, nauczono jak je ma naśladować, już osobno, już w połączeniu z innymi, i uczeń warszawskiego Instytutu na każde pytanie wyraźnie i powoli wymówione, jest w stanie również wyraźnie i dokładnie odpowiedzieć.

Podziwiając ten cudowny rezultat Dniestru-dzonych usiłowań, naturalnie przychodzi na myśl ile to czasu, ile pracy, ile potrzeba było doświadczeń, by utworzyć ten system machinalnej mowy, dziś już niewątpliwy, lecz przed czterdziestu i kilku laty pomyślany i ułożony pod wpływem gorącej miłości bliźniego, przez szanownego dobroczyńcę głuchoniemych, przez

założyciela tutejszego Instytutu, Księdza Jakuba Fałkowskiego; ile chwil potrzeba było poświęcić, na dokładne poznanie wszystkich sposobów

układania narzędzi mownych, na oznaczenie ich pewne, przystępne i zrozumiałe dla głuchoniemych;—a dodajmy jeszcze, że to nie były chwile wolne i swobodne, ale przeznaczone na spoczynek po ciężkich trudach nauczycielskiego zawodu, i że to zupełnie obce głuchonieme dziecko, rozczulając nędzą swoją szlachetnego męża, było powodem do powzięcia tak błogosławionej myśli.

Jak trafnych i właściwych sposobów tak w umysłowem kształceniu głuchoniemych, jak i w ćwiczeniu ich w mowie ustnej Ks. Falkowski od pierwszych chwil używał, dowodzi Piotr Gąsowski, ten sam chłopczyk, który zwróciwszy na siebie uwagę czcigodnego kapłana, został pierwszym jego uczniem w tej nowej nauce; dziecko to w siódmym roku życia przyjęte pod opiekę Ks. Falkowskiego w przeciągu lat trzech, nietylko pojmowało zamianę myśli znakami, czytało w każdej książce polskiej, znało główniejsze prawdy religijne i codzienne modlitwy, lecz nadto, mówiących do siebie rozumiało, i na

zadawane pytania, bez żadnej obcej pomocy, rozumiałym i przyjemnym głosem umiało odpowiadać.

Tenże sam chłopczyk, posyłany do szkół Publicznych w Szczuczynie, których ksiądz Falkowski był rektorem, postępując w naukach równo z młodzieżą obdarzona słuchem i mową, a w niektórych przedmiotach przewyższając ją nawet, na publicznych examinach zwrócił uwagę istniejącej wówczas Izby edukacyjnej, na zdolności i poświęcenie szanownego opiekuna swego, i byłemu Warszawskiemu Tow. Przyja-



ciół Nauk, podał myśl wyznaczenia publicznej nagrody temu, ktoby utworzył zakład naukowy w Polsce dla głuchoniemėj młodzieży. — Wójenne wypadki ówczesne nie pozwoliły nawet rozpocząć tego požądanego dzieła.

Ale wróćmy na salę popisu.

Najpierwszą, najważniejszą ze wszystkich nauk, religję, uczniowie tutejsi nabywają i zdają sprawę z uczynionych w niej postępów pierwotną mową człowieka—znakami. Trudno było wstrzymać Izy rozczulenia, wadząc ich oczy

Książd P. Rzewuski, Pamiętnik Religijno-moralny.

z wyrazem żywėj wiary do nieba się wznoszące, przyciskanie rąk do serca na znak miłości i wdzięczności, oznaki pokory z jaką człowiek na wolę Boga zdać się powinien — słodki uśmiech zaufania, kiedy nauczyciel pytał ich, czy Najwyższy każdego do siebie przyjmuje? -

Dziewczynki opisywały migami niektóre ustępy z historyi świętėj, i przypowieści których Chrystus w mowie do ludu używał. Jakaż prawda, jaka naturalność w każdym poruszeniu! Tu znać że opowiadająca dobrze wprzód poznała i uczuła głęboko, to co wyraża. A nauczyciel tego świętego przedmiotu. o! trzeba widzieć z jakim zapalem i natchnioną prostotą tłumaczył swe myśli uczniom, jak ich porywał z sobą, unosił ku niebu, by pojąć że to zupełne poświęcenie się nieszczęśliwym, nietylko dobrej chęci i zwyczajnych zdolności wymaga, ale że tu wielkiego talentu, a nadewszystko, boskiego zapachu potrzeba.

Szanowny Rektor Instytutu, zbierał w dniu tym najwyższą ziemską nagrodę za swoje

Ks. Hollak.

{) Ks. Szczygielski kan.

trudy i pracę, a czcigodny, sędziwy kapłan-pierwszy twórca tego zakładu, który z cichego wiejskiego schronienia, gdzie dni jego w miłém i świętobliwém społeczeństwie prawdziwie po chrześcijańsku płyną, co miesiąc przy najmniej do ukochanych swoich dzieci przybywa, ten czcigodny mąż ożywiony lubym sobie widokiem, ledwie wstrzymywał łzy radości, poglądając jak Bóg pobłogosławił obficie ziarnu, zasianemu jego ręką przed trzydziestu laty.— O! z czcią i uwielbieniem oglądać należy na takich sług Boga.

Nastąpił popis ociemniałych, gdyż te dwa Zakłady ściśle się z sobą łączą.—Potém, po rozdaniu nagród i pochwał odznaczającym się uczniom, wszyscy obecni poszli do sali w której wystawiono na widok ręczne roboty uczniów obu Instytutów. Zpodziwieniem oglądano rysunki, malowanie, hafty, wyroby stolarskie, tokarskie i introli-gatorskie, pończochy, pięknie szytą bieliznę, najrozliczniejsze woreczki, sakiewki, a nawet — koronki! nie te które się w każdym niemal domu

Ksiądz Jakób Falkowski.

Guzów.

wyszywają po tiulu; ale prawdziwe na warsztatach robione podług bruxelskich wzorów a trwałością bruxelskie przewyższające koronki.

Nie od rzeczy tu będzie wspomnieć, że fundusze obu zakładów, jakkolwiek wspierane opieką rządu, nie są jeszcze dostateczne do stopniowego rozwijania ich działalności, że dobroczynne dary o wiele jeszcze do powiększenia ich dodać mogą, i że właśnie w chwili w której te zarysy do druku podaję, przygotowywa się na korzyść Instytutu okazała loterja, której przez pomnożenie fantów i zakupienie biletów z łatwością w pomoc przyjść można.

Ochmistrzynią żeńskiego oddziału głuchoniemych, jest szanowna p, Maryanna Pers, nauczycielką zaś owych zadziwiających ręcznych robót, p. Anna Komarnicka.

## SPROWADZENIE

### SIÓSTR MIŁOSIERDZIA

U ŚW. KAZIMIERZA,

. Ranek Królowej.

W komnacie zdobnej w kosztowne makaty, perskim kobiercem wysianej, kilka cór najznakomitszej polskiej szlachty oglądało z cichemi szepty, rozłożone na obszernej sofie bogate szaty, w które Marja Ludwika ubrać się miała wkrótce, by przy królewskim stole z wrodzoną sobie uprzejmością obcych posłów przyjmować.

Szczególną ich uwagę zwracał strój głowy z ogromnych pereł, i niepojętej cienkości koronek zręczną ręką ułożony; dalej nieco panny służebne przyrządzały różne szczegóły ówczesnej

toalety, a przy gotowalni, wsparta na dłoni, zatoniona w myślach, siedziała niewiasta którą raz intrygantką, to matką ludu, to opiekunką kraju nazywano.

Chociaż młodość jej dawno już przeminęła, choć nigdy regularnie piękną nie była, a w tej chwili ściśnięte usta i brwi ściągnięte jakąś przykrą myślą nadawały jej pozór surowości, przecież wyniosła i kształtna postać, płeć nadzwyczaj czysta i biała, blask wielkich czarnych oczu, a nadewszystko słodki i poważny wdzięk w każdym jej poruszeniu wyraźny, stawiały jeszcze Marje Ludwikę w rzędzie pięknych kobiet ówczesnych; stały charakter i wielkie umysłowe zdolności zapewniały jej historyczne znaczenie, a miła słodycz charakteru w zwyczajnym życiu wzbudzała serdeczne przywiązanie tych co ja z bliska otaczali.

Wsparta jak mówiłam na ręku, przeglądała papiery, które jej średnich lat mężczyzna w francuzką suknię ubrany z uszanowaniem podawał; na wielu z nich kładła szybko cyfrę swoją, jedne odkładała na bok, inne zaginała na rogach, w końcu wzięwszy kilka arkuszy na kolanach jej

leżących, dopisała w każdym po parę wierszy, i

oddając je sekretarzowi swemu rzekła:

— Panie Desnoyer! proszę, żeby te listy dziś jeszcze do Paryża odeszły, —już tylko stamtąd spodziewam się pociechy.

— I tę notę do Rzymu prędko wyprawić wypada; dobrzeby było, żeby pismo pana Kalinowskiego z pod Batowa, królowi się dostało; reszta nie pilna, tylko te papiery odała wskazując na odłożone z boku, niech panna de Villers zaspokoi.

Uklonił się pan Desnoyer i wyszedł z komnaty; panny służebne poczęły ranny ubiór przywdziewać królowej, a gdy już długie włosy namaszczone wonnemi olejkami utrefione zostały, jedna z dziewic stojących na boku ujęła żywo ów śliczny strój głowy, i zbliżyła się do królowej, a stanąwszy u gotowalni rzekła:

— Pozwoli N. Pani, abym ja dzisiaj dokończyła jój stroju?

Marya lekko głową skinęła, a młoda dziewczica poprawiając delikatną tkanę dodała:

— Tylko w naszym Paryżu potrafią coś tak pięknego utworzyć — co to za lekkość! prawdziwie to pajęcza przędza — a biała! Na tych cu-

dnych czarnych włosach, będzie to jak śnieżna chmurka wyglądało.

Uśmiechnęła się smutnie królowa:

— Moja Maryo! — rzecze; — nie wiesz sama jak ciężką prawdę żartem wyrzekłaś! Od dawna już prawdziwe chmury osiadły moje czoło i prawdziwy szron włosy pokrywać zaczyna.

— Oo! — zawołało dziewczę z niedowierzaniem, i ogniste oczy zwróciło na czarne kosy

królowej, lecz wnet uśmiech znikł na ustach, wesoła dotąd twarz mówiącej bolesny przybrała wyraz, bo rzeczywiście, wśród świetnych spłotów Maryi Ludwiki kilka srebrnych włosów błyszczało.

— A widzisz Marysiu! — przerwała żartobliwie królowa.

— Ależ kiedy przed niedawnym czasem pozwoliłaś mi N. pani czesać swoje włosy, to jeszcze tego nie było?

— Bo wtedy jeszcze Chmielnicki nie zniósł naszych pod Batowem; jeszcze Siciński swawolnym wykrzykiem nie zerwał obrad sejmowych.

— O pani! jakże głęboko do serca bierzesz niepowodzenia tego kraju, który przecież nie

jest twoją ojczyzną: mówiła z wyrzutem dziewczyna, wspierając się z wdziękiem na niskim taborecie stojącym u nóg królowej.

— Ja kocham ten kraj Marysiu, — odrzekła monarchini; — czuję nawet, że w tych czasach potrzebuje on więcej niż kiedy, miłości i poświęcenia odemnie. I ty pokochasz może tę ziemię

Piękna ulubienica potrzęsnęła głową, i spojrzała z nienacka na włosy królowej; — w tej chwili uchylono ciężką firankę zasłaniającą drzwi wchodowe i weszła kobiéta, nie pierwszej już młodości, blada, miłego wyrazu twarzy, w popielatej sukni, z czarnym aksamitnym workiem w rękę; wszedłszy pokłoniła się z uszanowaniem monarchini, i odebrała wzajem pełen życzliwości ukłon znajdujących się w komnacie.

— Siądź tu! de Villers! — rzekła Maria Lu-

dwika wskazując krzesło przy sobie,— strudziłaś się jak widzę. Ale tyś blada, zmieniona, czy znów jaka świeża klęska może?

— O nie pani! dzięki Bogu żadna zaraźliwa choroba nie zjawiała się w mieście.

— Musiałaś jednak na ciężkie patrzeć cier-

pienia, kiedy mimo widocznych usiłowań pogody twarzy odzyskać nie możesz.

— Nie widziałam nic nadzwyczajnego, N. pani!

— Ja nadużywam twoich sił kochana de Villers; — kto ma tylu co ja ubogich temu więcej jak jednej jałmużniczki potrzeba. Zaczem jednakże ulżę ci pracy, chcę ją z tobą przynajmniej moralnie podzielić. Powiedz nam co dziś zrobiłaś?

Panna de Villers ulubiona rodaczka Maryi Ludwiki razem z nią przybyła do Polski i jak ona przywiązała się do nowej swojej ojczyzny, — tkliwa, rozsądna, miała sobie powierzony wydział nadzwyczajnej jałmużny królewskiej, i dopełniała obowiązków swoich sumiennie i gorliwie) Na zapytanie pani, dobytek z woreczka zapisany papier.

— Nie chcę rejestru!—przerwała królowa; — powiedz gdzie byłaś?

— Najjaśniejsza Pani!— rzekła z prośbą zapytana.

— Nie lękaj się skreślić obrazu cierpienia, dla mnie to nic nowego, a dla tych, — dodała

wskazując na młode szlachcianki, — pożytecznym być może. W końcu czyliż nie powinnam znać każdej rany tego kraju, by ją uleczyć lub złagodzić.

— O Pani! bogdajbyś na wszystko środek znalazła! — Dopełniając woli twojej powiem więc: że od dawnego już czasu nędza i cierpienia przerażająco mnożą się na téj ziemi — wylewy wody choroby, głód z powodu szarańczy wszystko to chociaż łagodzone niewyczerpaną twoją dobroczynnością, ciężkie po sobie zostawiło ślady, a teraz ta wojna dopełniła miary klęsk wszelkich; w mieście, u drzwi zamkowych widzimy tylko tych, którzy cierpienie swoje zdołali przynieść aż do nóg twoich pani! Których wesprzeć, pocieszyć można; ale słuchając ich opowiadań, kraje się serce na myśl o wszystkich, co dalecy od wszelkiej pomocy, w wyludnionych siołach, spalonych miastach lub tatarskich obozach jęczą bez wsparcia i opieki. Ilu to rannych, ile sierot! Obie niewiasty pochyliły smutnie głowy, na-

Wr. .

R. .

wet na twarzach młodszych, niezwykła wyryła się zaduma.

— O! czemuż poświęcenie jednego życia nie wystarcza na ulgę takiej niedoli! rzekła



po chwili milczenia królowa. Gdyby zakonnicy?... ale nie! klasztory zbyt są szczupłe by znacznej liczbie nieszczęśliwych schronienie dać mogły — a zakonnikom nie pozwalają ustawy opuszczać na długo swych mieszkań....

Podniosła się znowu u drzwi zasłona, i cichy głos panny pokojowej dał się słyszeć.

— Pani podkanclerzyna Radziejowska prosi o pozwolenie, złożenia N. Pani swego uszanowania?

— Wychodzę do ogrodu! rzekła donośnie królowa.

Opadły ku ziemi aksamitne fałdy, lecz po chwili znowu się wśród nich ukazała świeża główka dziewicy.

— Pani podkanclerzyna o krótką tylko chwilkę błaga W. K. Mości?

Marya Ludwika skinęła niecierpliwie głową, twarz jej schmurzyła się niechęcią, powstała dając znać ręką by jej okrycie jakie podano, i właśnie gdy panna de Villers zarzuciła na jej

' /

białą powłóczystą szatę, szafirowy sobolem podbity płaszczyk, ukazała się na progu komnaty Anna z Słuszków, poprzednio Kazanowska, teraz Hieronima Radziejowskiego niechętna małżonka.

Piękność tej kobiety znakomitą była u dworu; przepych, znaczenie i bogactwa pierwszego

jéj męża, umysł ukształcony i wesoły humor, zbliżyły ją do Maryi Ludwiki w początkach przybycia tejże do Polski. Później lekkość charakteru, śmiałe obyczaje Anny, domaganie się jéj o rozwód z powtórnyim małżonkiem, a w końcu z jéj namowy wykonany napad na dom jego, zniszczyły wszelki szacunek, zatarły życzliwość dawną królowéj, i w chwili gdy z uśmiechem wchodziła do mieszkania tak długo jéj przystępnego, zręczna niewiasta jednym rzutem oka poznała, że w miejscu przyjaznego przyjęcia, znajdzie tu wyniosłą powagę monarchini, zimną i surową naganę sędziego.

Nazbyt zręczna, nie zdradziła jednak wewnętrznego pomieszania, i z najgłębszém uszanowaniem zbliżając się do królowéj, rzekła:

— Chciej mi W. K. M. darować, że tak natrętnie o chwilkę drogiego Jéj czasu błagałam...

Królowa stała niewzruszona, najlżejszym znakiem nie ośmielając Anny do postąpienia bliżéj; ta odwróciła się nieco ku firance, i siląc się na uśmiech pogodny dodała:

— Moja Lila miała kiedyś zaszczyt podobać się W. K. Mości — przez jakiś czas zostawiona w domu podkanclerzego, niebyła w mojem rządzeniu—ale teraz odzyskawszy ją z inną własnością moją — poważam się

Anna uniosła draperję, a niecierpliwym oczom orszaku królowéj, ukazała się dziwnéj urody karliczka, zaledwie cali wysoka, kształtna, zręczna, z nadzwyczajnym przepychem odziana. Poruszenie podkanclerzyny było szybkie, lecz szybszą jeszcze odpowiedź Maryi Ludwiki.

— Uczynić królowę polską współniczką rabunku dokonanego w mężowskim domu! rzekła, z dumną ironią kończąc mowę Anny; dziękuję!...

A zimne spojrzenie jój zwykle ognistych oczu, na wskroś przeszło śmiałą dworękę.

Boleśnie dotknięta, błysnęła rozżarzoną wzrokiem, i jednym krokiem ku drzwiom się cofnęła, a na drgających ustach już stawały gorzkie wyrazy.

— Czy wiecie już Anno z Słuszków! prze-

rwała królowa — że mąż, za waszą sprawą od czci odsadzony, jeździ po obcych dworach, na kraj i króla swego podbudzając sąsiadów? — Anna spuściła oczy ku ziemi,

— Czy wiecie — mówiła dalej: że jeżeli podkanclerzy trafi do Szwecyi do której już się wybiera, jeżeli sprowadzi na kraj ten nieprzyjaciół co go w gruzy i groby zamienią, to na was ciężarem zgryzoty spadnie klęska nowszelchna!

Zbladła Słuszezanka. pochyliła się ku ścianie, a Marya Ludwika jakby w obawie zmiękczenia potrzebnej surowości, wolnym krokiem ku przeciwnym drzwiom się zwróciła.

Po ważkich schodkach zeszła do ogrodu pochyło, niekształtnie zstępującego ku Wiśle — tuż za nią młoda, znana nam już paryżanka Marya Kazimiera de la Grange d'Arquin, która sama jedna miała przywilój nieodstępowania królowej, postępowała lekkim krokiem, aż póki na zakręcie ważkiej ulicy, oczy opiekunki na twarzy dziewczicy, ręka na jój ramieniu spoczęła.

W milczeniu szły jeszcze czas jakiś; niezna-  
cznie rozjaśniały się rysy królowej, świeże je-

sienne powietrze i ruch przechadzki dobroczyn-

— Widzisz Marysiu! rzekła nakoniec; widzisz że to nie same szczęście pod purpurą — nietylko wspierać, cieszyć, ale gromić, a nawet karać nieraz wypada.

Panna d'Arquin znowu niedbale potrząsnęła głową, i zaśmiała się figlarnie.

— Co tam! ale korona — to piękna rzecz!

— Więc tobie się chce korony jak widzę?

— Koniecznie!

— Koniecznie?

— Choćby ślubnej — dodała układnie francuzka.

— Ta się znajdzie w swoim czasie.

Przerwała się rozmowa; znowu chwil kilka obie Marye szły w milczeniu; — w końcu, stanąwszy u głębokiego rowu, który ogród od Wisły oddzielał, królowa siadła na kamienną ławecę postawioną w cieniu lipy, wsparła się o pień starego drzewa, i zamyśliła głęboko.

Nie było to dumanie bez celu ogarniające leniwego ducha w każdej przydłuższej spoczynku chwili. Marya Ludwika oddawna marzyć przestała; jeżeli puści bieg myślom, to przewiduje lub wspomina. I teraz oczy jój u-

tkwione w sinych falach szerokiej rzeki, widziały, pamięci jak w zwierciadle odbity obraz niedawnego jój wylewu; — zatopione szerokie

poła, zwalone nadbrzeżne domki, rozpierchnieni ich mieszkańcy — wszystko to wkrótce ponowić się mogło, a nie było środków położenia tamy zniszczeniu, bo sześćoletnie już z Chmielnickim walki, chłoneły skarby, zabierały ludzi zdolnych do pracy.

Wzniosła spojrzenie do góry — tam część zamku spalona przed kilkoma laty sterczała jeszcze w gruzach, bo Marya o sobie i swojej wygodzie najmniej i najpóźniej myślała. Dalej wznosiły się nieskończone jeszcze mury klasztoru Karmelitek, błyszczała dzwonnica ich kościółka, a tam od roku spoczywały zwłoki jej córeczki Maryi Anny, tyle upragnionój, tak gorzko opłakanój przez matkę i królowę! — Słowem gdzie myśl zatrzyma, gdzie okiem powiedzie, wszędzie klęski i zawody spotyka — a przecież chociaż łza rosi źrenice, choć mimowolnym Ruchem załamia się dłoń — dusza nie wątpi, serce nie upada, bo silna wiara wspiera odwagę niewiasty, bo jej poświęcenie i szlachetna praca

dla dobra ogółu, pewne są wyższego błogosławieństwa, chociaż ono może nie zaraz, może nie prędko się okaże.

Marya Kazimira szanując milczenie królowej; siadła o podał na murawie, i nazrywawszy garść żółtych nagietków wiała z nich wieńce, mające na czas jakiś zastąpić tak pożądaną koronę — i myślała. — Któż zgadnie co myślą podobne jej dziewice?

Nagle, zajęcie dwóch kobiet przerwał słaby głos od Wisły pochodzący. Królowa odwróciła się szybko, i po drugiej stronie ogrodo-

wego rowu ujrzała średniego wieku mężczyzną, witającego ją uchyleniem czapki.

Człowiek ten mógł mieć lat około czterdziestu — twarz wynędzniała, naznaczona długą blizną wskazywała wojownika, prawa ręka wsparta na prostym kiju, ułatwiała niby trudy skaleczalój, i źle zawiniętój nogi — lewej nie było — a u próżnego rękawa nędznej siermięgi uczepił się pięcioletni chłopczyna, jakby w zamiarze wspierania kaleki — o parę kroków dalej, łańchmanami odziana dziewczynka, zbierała w szczątki fartuszka szczaw i lebiodę nad brzegiem rowu. Był to tak wyraźny obraz

ciężkiej niedoli, że nawet piękne panny d'Arquin lica obłoczkiem smutku się zasepiły — a królowej stanęły w umyśle wyrazy panny de Villers, że sroższe jeszcze musi być cierpienie tych co o pomoc zawołać nie mogą.

Nędzarz uchyliwszy czapki przemówił słabym, lecz bynajmniej nie żebraczym tonem:

— Chciejcie mnie objaśnić możne panie! bo z postawy i ubioru widzę, że do zamku należycie — jakim sposobem dostać się można do panny Villers,

— Trzeba iść górą — rzekła prędko Kazimira, i w pierwszej bramie zamkowej kogokolwiek o nią zapytać.

— Tamtędy nie puszczają ludzi w takim ubraniu — odparł smutnie kaleka; — powiedziano mi, że ją czasem w ogrodzie spotkać można.

— Nie zwodzono was — rzekła królowa; ja - jestem panną de Villers — w czém mogę być wam pomocą?

— Pani! tobie podobno poleciała królowa

wspomagać nieszczęśliwych — Bóg widzi — że  
wolałbym umrzeć niż z prośbą rękę wyciągnąć  
dla siebie — ale dla tych sierot — przychodzę

błagać wsparcia królowej—bo walcząc za kró-  
la zdrowie i szczęście straciłem.

— To słusznie! — Ja w téj chwili nic nie mam  
przy sobie, a gdyby królowa nie pojedynczym  
datkiem, ale trwalszym jakim sposobem wesprzeć  
was chciała, gdzież i jak was znaleźć?

— Nazywam się Jan Godzięba, i stawię się  
wszędzie gdzie łaskawa Pani rozkażesz.

— Gdzież mieszkacie?

— Nigdzie nie mieszkam Pani! — Czwarty już  
rok temu jak wyszedłem z domu, zostawiwszy  
tu żonę, te dwa robaczki (tu wskazał na dzie-  
ci) i jaki taki kawał chleba dla nich—a sam za  
panem Stefanem Potockim, którego familja za-  
wsze na nas łaskawą była, poszedłem przeciw  
Bogdanowi.

— W moich oczach zginęło paniątko pod Żół-  
temi Wodami. — Z wieścią o jego śmierci uda-  
łem się pod Korsuń do ojca jego pana Mikoła-  
ja — byłem w bitwie co się tam właśnie tego  
dnia stoczyła, i wraz z obudwoma Hetmanami  
dostałem się do niewoli.

Z żywém zajęciem słuchała królowa tego  
opowiadania. Marya Kazimira wiedząc, że od

niej zażądać może powtórzenia niektórych szczegółów, zapisywała w pergaminowej ksiąteczce nazwiska miejsc i osób, a żołnierz przysiadłszy na wielkim kamieniu ponad rowem sterczącym, mówił dalej.

— Na szczęście moje byłem raniony, nie mogłem więc zejść aż do Pereasławia, boby mnie tam może tatarstwo było wraz z innymi utopiło; leżałem przez czas jakiś w nędznej wioseczce, ale że tam ani straży, ani opieki nie było, kto mógł opuszczał to miejsce boleści; jedni ocaleli, drudzy pomarli, ale tam przynajmniej gdzie im się podobało głowę położyć.

— Jakżeście wysię aż do Warszawy dostali? bo widzę że rany wasze ciężkimi być musiały.

— Nie tak bardzo Pani! ale któż mnie miał opatrzyć? — felczery i cyrulicy byli przy wojusku, czasem się w miasteczku którego spotkało, a idąc wsiami, sam się tylko ratowałem, to krwawnikiem, to babką.

— Czemuż się nie było gdzie zatrzymać?

— Znać żeście Panie oddawna w Warszawie! gdzież to dziś spocząć kalece? — Szpitale pełne — wsie puste — a jeżeli są mieszkańcy, to

z głodnieli i schorzali, ledwie o sobie myślą — dzieci biedne błakają się bez rodziców'. Któżby tam o obcym miał staranie! — Prawda, że mnie to tu, to tam ksiądz jaki posilił, opatrzył, ale to się nie na wiele zdało, bo szedłem ciągle, żeby przynajmniej choć umrzeć przy swoich, a rany się zaogniały, aż póki w Białejcerkwi ratując mnie od gangreny, regimentowy chirurg nie odciął mi ręki.



— Biedny! biedny człowieku!

— Cóż robić! alboż to ja jeden? — Jak tylko można było puściłem się znów w drogę, bo mi coś ciągle szeptało że się spieszyć potrzeba. Jakoż — przyszedłem w porę żeby zamknąć oczy żonie, która wyniszczona chorobą, już tylko z miłosierdzia biednej kумы z dziecinami żyła.

I człowiek ten dopiero obojętnie o najsroższych cierpieniach swoich opowiadający, zalał się łzami boleści na wspomnienie nędzy, w jakiej towarzyszka jego życie skończyła, i sieroctwa, tłoczącego ukochane dzieci.

Po gładkich licach Maryi Ludwiki, także się kilka łez stoczyło — wkrótce jednak dzielna

niewiasta więcej działać niż płakać przywykła, ogarniona nową myślą powstała:

— Czekajcie tu chwilę! rzekła kalece, a sama szybkim krokiem zwróciła się ku zamkowi. — Po piaszczystych ścieżkach wijących się stromo ku górze, postępowała spieszenie, tak spieszenie że młoda Marya d'Arquin ledwie jęj wydażyć mogła, a twarz jęj za każdym krokiem rozpromieniała się widocznie, znać że wielki i piękny zamiar dojrzewał w umyśle.

Zaledwie weszła do komnaty swojej:

— De Villers! rzekła — nad rowem ogrodowym siedzi wojownik, kaleka z dwoma sierotami — polecam ci go w szczególną opiekę.

Jeszcze zacna jałmużniczka nie przestąpiła drzwi pokoju, gdy królowa zawołała:

— Szukajcie mi pana Desnoyer! natychmiast.

I sama siadłszy przy stole, na którym piśmienne materyały leżały, szybko kreślić za-

częła.

— Panie Desnoyer! przemówiła do wchodzącego, podnosząc od papieru jaśniejące oczy, pisz natychmiast odemnie do pana Arcybiskupa paryzkiego de Gondi; powiedz mu, że go proszę, błagam, zaklinam, by jak najspieszniej, kil-

kanaście Sióstr Miłosierdzia przybyć tu mogło z Francyi!

Do panny Lamoignon, i matki Anieli ja sama napiszę, one skłonią do mojej prośby te święte dziewice, które się poświęciły wyłącznie, by wspierać, cieszyć, ratować; — a gdzież do tego obszerniejsze jak u nas pole!

Tak wśród prac politycznych, wśród domowego smutku, między posłuchaniem dworskiem i królewską ucztą, błysnęła myśl szczytna, myśl święta poruczenia nieszczęścia chrześcijańskiemu poświęceniu; myśl ta wykonana szczęśliwie, od dwóch wieków błogie wydaje owoce, w przeciągu tych lat dwustu nie upłynął dzień jeden żeby Siostry Miłosierdzia nie otarły łez, nie złagodziły cierpienia w którejkolwiek stronie téj ziemi — a czyny ich ciche piękniejszym są dla Maryi Ludwiki pomnikiem, jak posagi lub obrazy postać jój przypominające.

Zamiar sprowadzenia Sióstr Miłosierdzia jak szybko powzięty, tak też i wykonany został; — tegoż samego jeszcze roku pobożne dziewice przybyły do Warszawy, i w gotowym

już klasztorze przy ulicy Tamka osadzone zostały.

. Widok na Wisłę.

Mało która stolica europejska posiada w obrębie swoim tyle ogrodów ile nasza Warszawa, nie licząc ogrodów publicznych ileż to prywatnych ogródków i ogrodów znajduje się przy domach najludniejszych ulic! — Za każdym prawie domem Leszna, ulic Marszałkowskiej, Elektorальной, a nadewszystko pysznego Nowego-Światu, znajdziesz ninijszą lub większą przestrzeń zasadzoną drzewami, kwiatami zasianą, miłą zielonością nagradzającą warszawianom uliczną kurzawę, duszne mieszkania, i Rozpalone słońcem kamienie brukowe.

Między znaczniejsze takie ogrody policzyć należy stary zwierzyńczyk Foksałem zwany, w którym przed laty odbywały się często illuminacye, bale, puszczanie balonów, koncerta, i rozmaite publiczne zabawy, lecz dziś uroczy ciszą i powagą, na prywratną własność przeszedłszy, tylko już lubowników chłodu i spokoju do siebie nęci. Obszerny i długi dziedzi-

niec po obu stronach winem zasadzony, odgranicza go na zachód od domu Nr. na Nowy Świat wychodzącego od którego zależy; na wschód zaś rozciąga się on na obszerniej,

wyniesionej płaszczyźnie ponad ulice nadwiślańskie i tworzy niby ogromny taras, z jednej strony otoczony żywym płotem z bzu i głogu, co jakby wspierając się wzajemnie pną się gęsto po stromym i urwistym brzegu; od strony Wisły niski mur służy mu za poręcz, a w tym obwodzie ulice z ogromnych lip, klonów i kasztanów nawet wśród najmocniejszych upałów tworzą schronienie nieprzystępne natrętnym słońca promieniom.

W rogu tego ogrodu, najbardziej ku północy zwróconym, przypadkiem czy umyślnie utworzony wznosi się niewielki wzgórek, ocieniony drzewami, a na nim prosta drewniana ławka z poręczami od przepaścistego brzegu; — proste to miejsce zdaje mi się najkorzystniejszym dla chciwego pięknych widoków wzroku, a okoliczność ta że je rzadko niezajętym zastać Można, zdaje się potwierdzać mniemanie moje.

Pewnego ranka, dwie młode kobiety siedziały na tej ławeczce, ręczną robótką zajęte pro-

wadziły spokojną, lecz nieobojętną rozmowę, a oczy ich odrywały się często od pracy, by spocząć to na szerokiej siniej wstędze u nóg patrzących rozpuszczonej, to na ogrodach powiśla, to wreszcie na przeciwnym brzegu, gdzie wydmy piaszczyste i zielone sady, drewniane chatki i ceglane domy, tak dziwnie pozór wsi i miasta łączą.

— Jak to jednak my wieśniacy niewłaściwie o warszawskim życiu mamy wyobrażenie! rzekła starsza kobieta; — ile razy od rozłączenia się naszego ujrzałam piękną okolicę, ile razy spoczywałam w głębi lasu s z żalem myślałam o tobie, bo wystawiałam sobie, że zamknięta w ciasnych murach, ani błękitu nieba nie

widzisz, ani masz tyle powietrza, by pełną pierśią odetchnąć, — a tymczasem

— Tymczasem widzisz, że tu wszystko mieć możemy — i powietrze, i szeroki widnokrąg i widoki jakich przecie na wsiach nie znajdzie.

— Musisz darować mojemu parafijaństwu kochana! ale dla mnie nie dość patrzeć — ja chcę znać co widzę, chcę pamiętać imię tego co mnie zachwyca — powiedz mi najprzód co to za ciemne zarosłe, tam na prawo?

— To Saska Kępa — tak nazwana od chwilowego pobytu saskiego wojska, które tam przed mieszczanami ustąpiło. Ku nam Praga, niby przedmieście; widzisz ztąd jęj budynki, lecz powierzchowność ta piękniejsza z daleka niż z bliska — prawie w środku przedmieścia most przerzyna dumną Wisłę i łączy Pragę z Warszawą.

— Czy to ten sam jeszcze, który Anna Jagiellonka zbudowała?

— Tamten był niżej, gdzie dziś jeszcze ulica Mostowa; w przeszłym roku wydobyto z koryta Wisły ostatnie dębowe pale na których się wspierał. Teraźniejszy zaś dopiero od czterdziestu lat istnieje.

— Z drugiej strony mostu widzisz wznoszący się stary kościół, a za wszystkimi budowlami ciemny pas lasów posiany słomianami i czerwonymi dachami — to są miejsca których nazwa znana ci od dawna, Targówek, Grochów, da-

Po zniszczeniu z powodu nawału lodów dawnego w ro-

ku nie było trwałego mostu, lecz na każdą elekcję króla stawiano tymczasowe mosty dla wygody przybywających. (Gołębiowski opis. War.)

lej, po jednej stronie Zacisze, po drugiej Jabłonna.

— Nie mów mi o wszystkich gmachach co się z téj strony Wisły tak piętrzą, — nie spa-  
miętałabym ich nazwisk — ale co znaczą te dwie  
ruiny, i te dwa wzgórza jakby jarem, wązką  
uliczką przedarte?

— Ulica zwie się Tamka — wzgórze, jedno  
Ordynackiém, drugie Denassowskiém nazywa-  
ją, bo jeden z pałaców do ordynacyi ostrog-  
skiej, później zamojskiej, drugi do księcia de  
Nassau należał. Pałac ordynacki był waro-  
wnym zamkiem, powiadają nawet, że w pi-  
wnicach jego były wodociągi, żeby załoga  
snadniej obleżenie wytrzymać mogła. Z téj  
okoliczności niezwyklej, urosła bajka wielką  
wiarę u mniej oświeconych warszawian znajdu-  
jąca, jakoby w piwnicach téj ruiny była cza-  
rodziejska sadzawka, a na niej ma pływać za-  
klęta w kaczkę, słynna jakaś z rozrzutności  
księżniczka. — Ma ona w posiadaniu niesłycha-  
ne skarby, i może niemi podług upodobania Roz-  
rządzać, ale warunkiem jój oswobodzenia jest,  
żeby się znalazł młody człowiek, który potra-  
fiłby przez cały rok wydawać codziennie po

sto dukatów wyłącznie na swoje przyjemności,

nie pozwalając sobie ani nędzarza wesprzeć,  
ani przyjacielowi usłużyć.

— Czyżby się dotąd nie znalazł taki?

— Był jeden taki bohater — przez trzysta sześćdziesiąt dni dopełniał podanych warunków, niestety! upojony bliskim tryumfem (bo nagrodą jego miała być ręka i skarby księżniczki) ostatniego dnia próby nie mógł się oprzeć pociągowi serca — spotkawszy żebrzącego dawnego przyjaciela dał mu grosz jeden — i zgiął ofiarą gniewu zawiedzionej kaczki.

— Nie wiem coby mnie mocniej zajmować mogło, jak powieści gminne — bo równie tu podziwiać trzeba bogactwo wyobraźni, jak, uwielbiać pod najdziwaczniejszą czasem formą czyste i surowe pojęcie moralności. Ale odzmyśleń do prawdy przechodząc — jak się zwie ten kościółek którego wieżyczka czerni się u stóp naszych? Ten dziedziniec drzewami ocieniony takiego pokoju i ciszy ma pozór! — Patrz! z drzwi klasztornych wysypuje się rój dziewczątek różnego wzrostu, w jednakim ubiorze; jak się rozpierzchły po podwórzu! co za ruch! jakie życie! — Kilka starszych idzie za

zakonnica do ogrodu — jak się lekko przesuwa tu postać czarna, z białą na głowie zasłoną, po rozlicznych skrętach ścieżek i wzgórków — znać zioła zbierają.

— Tu Marya Ludwika osadziła sprowadzone z Francji Siostry Miłosierdzia; ten Klasztor jest niejako początkiem i końcem pełnego poświęceń życia tych pobożnych niewiast — tu jest Seminarium w którym zakonnice odbywają próbę sił i wytrwałości swojej — tu mieszka przełożona Zgromadzenia, jedyna na kraj

cały; ona przeznaczając młode siostry swoje gdzie najwłaściwsze dla której stanowisko. Ztąd więc po klasztorach, szpitalach, dobroczynnych zakładach, słowem wszędzie gdzie nieustannej pracy i zaparcia siebie trzeba, rozchodzą się po naszej ziemi Siostry Miłosierdzia, i tu wracają, skoro przyciśnione wiekiem, stargawszy siły i zdrowie nie mogą już bliźnim służyć inaczéj jak gorącą modlitwą. Siostry Miłosierdzia nie wykonywają niecofnionych ślubów — zobowiązanie się ich bywa czasowe, a jednak — nie było prawie przykłady żeby która opuściła, statecznie obrany zawód.

— O! to nie trudno pojąć — cieszyć, wspie-

rać, nauczać i modlić się za drugich i za siebie, to potrzeba każdej czystej niewieściej duszy! Czy to wszystko sierotki, te żwawe, ochocze dziewczątka?

— Po większej części. — Blisko dwieście dziewczynek utrzymuje dziś Klasztor, a utrzymuje nie zwiększającemi się funduszami lecz ciągłym poświęceniem. Kiedy przed kilkoma laty dochody za małe były w stosunku liczby zgłaszających się sierot, Siostry Miłosierdzia przy ciągłej pracy tak potrzebujące posiłku, za zezwoleniem szanownej Wizytatorki Tekli Żukowskiej, poświęciły trzecią część obiadu swego, i utworzoną ztąd oszczędnością pewną liczbę dziewczynek utrzymują.

Wychowanki tutejsze otrzymują pożywienie, ubranie wygodne i przyzwoite, naukę religii, uczą się również czytać, pisać, rachować, robot ręcznych od najprostszycych do najwyszukań-



szych, wprawiają się w porządek, w chętną usługę, pracą swoją przyczyniają choć cokolwiek dochodu Klasztorowi, a ukształciwszy się przyzwoicie, za staraniem szanownej Przełożonej, znajdują w zacnych domach uczciwy sposób utrzymania życia.

— Pójdziemy tam kiedy, nieprawdaż?

I wzrok dwóch kobiet znów błędzić zaczął po wybrzeżu; niezliczona ilość tratw zalegała szerokim pasem koryto rzeki — ślniły się ładowne pszenicą galary, kolorowe flagi berlinek migwały w porannym blasku, bielił się żagiel wiairem wydęty płynącego statku, a na brzegu rybak skrzątnie siatkę zarzucał. Po chwili jedna z nich spojrzała ku górom Denassowskim.

— Cóż to? — czy nowy jaki pałac budować myślą? rzekła:—tyle wozów z cegłą zajeżdża między dwie ruiny, zdaje się że wkrótce nazwiecie to miejsce wzgórzem trzech zamków.

— Nie, tu będzie bazar obszerny; dla tych którym niewygodnie kupować i przedawać drepcząc po prostym bruku lub siedząc przy drewnianych straganach, stanie tu gmach obszerny, okazały, a cała ta część miasta zwać się będzie Sewerynów od imienia swego założyciela.

— Nie będzie to pewnie bez pożytku, ale ja co tu nic ani przedawać ani kupować nie my-

Hr. Seweryn Uruski.

śle, wolałabym widzieć zakład podobny temu, i ręką wskazała klasztor.

— To nie pora! — Siedemnasty wiek stawiał kościoły i szpitale, dziewiętnasty fabryki i bazyry buduje. Wszystko z duchem czasu iść musi, a każdą myśl czynem w terażniejszość wcieli-  
ną, jój pobudkę i skutek, przyszłość dopiero sądzić i oceniać będzie.

IV.

OBRAZKI

Z ŻYCIA WARSZAWIAN.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

Aby dać dokładny obraz wewnętrznego życia Warszawian, należałoby skreślić w najrozmaitszych odcieniach nietylko charakter klasy całych, ale osobną historję każdej prawie rodziny; boć w rodzinném to kółku powstają i wzrastają myśli i zasady, które dojrzewając w praktycznym społeczeńskim życiu, zlewają się w zgodną choć nie jednotonną całość i nietylko miastom, lecz krajom całym barwę i fizyonomję nadają. Nie w tak ulotnych zarysach dałoby się to wykonać; — prócz tego jakkolwiek stolice powinnyby silniej odbijać cha-

rakter i usposobienie całego kraju, różnaitość pomieszanych żywiołów składających ludność

miast wielkich zupełnie odwrotny skutek spowodują.

Mieszkańcy stolic, posiadający wyższe umysłowe wykształcenie, przez ciągłą i wzajemną myśli i postępu zamianę, wszędzie prawie noszą jednakie piętno ogólnego ducha czasu; obyczaje i zewnętrzne formy podług jednych kształcą wzorów — tylko jeszcze między tak zwaną średnią klasą, która przy staraniach o chleb powszedni nie może się bardzo umysłowości i naśladownictwu oddawać, — tylko jeszcze między uboższymi odbija się charakter każdemu krajowi, każdemu miastu, każdej niemal ulicy właściwy.

Nie wspominając zatem o wyższém towarzystwie, skreślę obrazki z domowego życia mniej zamożnych Warszawian, a ponieważ prawdziwe wrażenia przenoszę nad złudzenie ozdobne, pragnę przedstawić czytelnikowi charakterzy rzeczywiste, nieraz spotkać się dające, których odbicie, historję, a nawet gdzie Można nazwiska, wiernie uprzytomnić zamierzam. Czy to będzie zajmującym? — niewiem; czy,

barwa spokojnego życia nie wyda się zbyt cczą i słabą w czasach, gdyśmy się do tak wybitnie opisywanych charakterów przyzwyczaili? być może — za mało pewnie będzie cieniu w moich obrazkach, i moja w tém wina; bo nie umiem pokonać wstrętu jakim mnie widok rzeczywistéej złości i brudu przejmuje, nie mogę przytłumić żalu przy spotkaniu wymyślonych jego opisów, i nie zdobyłabym się na taki nawet dla dogodzenia czytelnikom. Prawdę tyl-

ko , prawdę w istocie, choć nie w drobnych szczegółach im przyrzekam, i na tern poprze- stać proszę.

I.

## STARE MIASTO.

Nieraz mieszkaniec wytworniejszej części Warszawy, zabłądziwszy do Rynku Starego Miasta, przypatrzywszy się jego budowie, przez długi czas potem z podziwieniem i politowaniem wspomina biednych staromieszczan, i pojąć nie może jakim sposobem, w tym ciasnym obrębie, otoczonym krętym kamiennym pasem okolicznych ulic i uliczek, w tych domkach wązkich a niesłychanie wysokich, (bo niektóre do sześciu piątr liczą) o krętych i ciemnych schodach, bez dziedzińców, bez ogrodu, co gorsza, bez wody w bliskości, żyją, wzrastają i bez przerwy po sobie następują pokolenia ludzi zdro-

wych, spokojnych, pracowitych i szczęśliwych, bo przestających na swoim.

Tak przecież jest rzeczywiście.

Wiele zapewne przykrości w zamieszka- niu Starego Miasta znalazłby wykwintniś, któ- ry od dzieciństwa na stopnie mierzył ciepło i zimno potrzebne do utrzymania w równo- wadze sił jego żywotnych; któremu obszer- nego trzeba dziedzińca coby mieszkanie jego od stajni i kuchen oddzielał; któremu kurz uli- czny na piersi szkodzi, wilgoć kataru sprowadza. Zapewne, potrzeba dobrze liczyć, by się

nie połknąć na ciemnych i krętych schodach, przez większą część roku nie można tu nosić lekkiego obuwia, i zrećźnie kamienie wybierać należy; bo choć pokład flizów przebiega jedną stroną rynku, przecież przy targach i zjazdach fur rozmaitych, przy skąpym przeciągu coraz świeżego powietrza, bruk nie jaśnieje czystością. Trzeba się wyrzec dogodnego rozkładu pomieszkania, i przyjąć je takiem, jak je przed stu, dwustu i więcej laty zbudowano, bo mało który ze starych domów da się wewnątrz na modniejszy przerobić; trzeba się przyzwyczaić do różnorodnej harmonji, jaką tu w piątki, so-

boty i niedziele od świtu wygłaszają przedajacy i kupujący, kurczęta i gęsi, prosiątka i kaczki; zahartować powonienie, nie lękać się zbyt góra kiedy promienie letniego słońca prostopadle wciskają się w mieszkanie wysokimi oknami — ani chłodu, kiedy w zimie piec staroświecki mimo wszelkich usiłowań nie zdoła ogrzać zbyt obszernego pokoju.

Ale mimo to wszystko Jakże to często spotykamy tu stuletniego przeszło starca, dźwigającego krzepko ciężar całego wieku, ile to razy w ciasnych szrankach Starego Miasta, na niebotycznym poddaszu, w pracy i wstrzemięźliwości rozwija się dzielna, podziwienię wzbudzająca fizyczność; na religii wsparta siła moralna, umysł pogodny od żądź i zazdrości daleki, utrzymują to zjawisko, zasłaniając je niejako przed koniecznym wpływem czasu. Skoro, wreszcie nadejdzie ostatni kres takiego bytu, kiedy kilka pokoleń których on był szczepem światłem i podporą, z czcią i rozrzewnieniem otoczy śmiertelne łóżko starca, a on z słodką ufnością pogładając w niebo, błogosławi tych co po nim na ziemi zostają,

i w jedynej puściznie, zostawia im dobre imię,  
pokój duszy i zamiłowanie pracy, któż wtedy

zapyta, gdzie to i na czém spłynęło to życie,  
tak pięknym uwieńczone skonem? kto nie przy-  
zna że sumienne wykonywanie podrzędnych  
nawet obowiązków, chlubnym jest i szanownym?

Tak więc wracając do pierwszego zdania mo-  
jego, powtarzam, że w Starém Mieście równie  
jak i gdzie indziej, można żyć poczciwie, długo—  
i szczęśliwie, komu taka przypadnie dola.

Zajrzyjmy tymczasem do jednej z najstar-  
szych kamienic, tuż przy rogu Starego Miasta  
położonej, przypatrzmy się jój mieszkańcom,  
a będziemy mieli zbliżony do podobieństwa  
obraz fizycznego i moralnego staromieszczan  
życia.

Kamienica ta stała już za Zygmunta Augusta;  
za panowania siostrzeńca jego Zygmunta III  
była w posiadaniu niejakiego Walbacha przy-  
byłego tu z Bawaryi, od którego nabyła ją czy  
najeła słynna z wpływu swego na króla Ur-  
szula Mejerin. Cała budowa składa się z trzech  
oddzielnych części, schodami i sieniami prze-  
dzielonych, a połączonych bocznymi, wazko  
w murze wykutymi kurytarzami, które choć  
w części zamurwane i zniszczone, miały się  
kiedyś jak twierdzi podanie łączyć aż z króle-

wskim zamkiem. Pierwsza część frontowa, na  
cztery piętra wzniesiona i wysokim dachem po-  
kryta, widocznie przeznaczoną była na pańskie

mieszkania; przekonywa o tem sień dość obszerna z murowaną dla dworskich ławą, szerokie kamienne schody z żelaznemi poręczami, sale wysokie i widne z kosztownemi ozdobami. Część druga, naprzeciw pierwszej stojąca, połączona z niakrytém przejściem, oknami do podwórza zwrócona, była pewnie przybocznej służbie oddana, bo prostsza tych mieszkań budowa, wyjście z nich na tylne wązkie schody i maleńkie podwórko prowadzące, nasuwają ten domysł.

Trzecia nakoniec część, prostym kurytarzem z środkową złączona, z żelaznemi u okien kratami, z kamiennym gankiem u pierwszego piętra, ciemna, obszerna, zdaie się że służyła na składy i podrzędnej służby schronienie; obie te części po trzy tylko piętra mają, ale nad niemi wznoszą się obszerne poddasza, a wyżej jeszcze, czworokątna budowa, niegdyś szklannemi szybami opatrzona, i rzucająca światło na schody w obszerny ślimak kręcone, po których bez téj latarni nie bardzoby bezpiecznie było postępować.

Dom ten, kiedyś ledwie dla jednéj rodziny, jój przyjaciół i domowników wystarczający, na kilka lat przed chwilą w której to piszę, bardzo miał licznych mieszkańców.

Na czwartém piętrze, pod samém poddaszem, w dość dużej izbie o dwóch oknach na rynek wychodzących, mieszkała wdowa po jakimś prywatnym officyaliście; kobiéta około lat pięćdziesięciu licząca, która w smutnym, opuszczonym stanie swoim, wyrabianiem waty utrzymywała własne życie i zachowywała ostatnie dni niewidomego starca, którego całą była podporą.

Starzec ten, ojciec jój, żołnierz za dawnych

czasów, od wielu lat wzrok straciwszy nie stracił pogody umysłu, coraz słabszy na siłach fizycznych nie upadał na duchu, i nieraz jakby wywdzięczając się córce za jój wierne starania, rozweselał ją opowiadaniem przygód swoich, ożywiał zniechęconą oznakami żywój ufności w Bogu, własném nieustanném zajęciem nieraz upadającą usilność jój w pracy podniecał.

Otulony w barani kożuszek skrajką od sukna przepasany, w starój watowanej czapce zimą i latem siedział sobie staruszek na tapczanie, siennikiem i wełnianą kołdrą opatrzonym; rano

posiliwszy się garnuszkiem grzanego piwa, odmówiwszy zwyczajny różaniec zabiera! Się do roboty, plótl z rzyneków sukiennych wierzchy na owe zimowe trzewiki krajczakami zwane, których tyle tysięcy każdej zimy potrzebuje Warszawa; mały to wprawdzie zarobek, ale pewny, bo mu go zimą i latem dostarczano, — prócz tego, dla odmiany i zabawki wyrabiał słomiane pudełka i koszyki, nie zaletne trwałością ani ozdobą, ale dla lekkości i prostoty swojej poszukiwane. Przy pracy, to pieśń pobożna, to dawna światowa śpiewka drżącym głosem nucona, nieraz przerywała ciszę. Nieraz też pocziwa waciarka, która jeszcze nie zupełnie się zgodziła z przykrém położeniem mawiała:

— Zkąd téż tatulo i pieśni, i ochoty do nich bierze ?



— Albo co? albo to nam źle z łaski Boga?  
— A czyż dobrze? toż i zimno, i słotno, a do tego ten klój od waty aż w głowie zawraca.  
— To! to! to! piwko dziś było, i kartofelki będą; nie grzesz moje dziecko! Albo to na woj.-nie codzień tak bywa? klój choć nie pachnie ale zdrowo nim oddychać, to posila, a co do

zimna, mnie staremu ciepło, a ty młoda! Wstydz się!

I młoda sześćdziesięcioletnia blisko córka uśmiechała się na takie napomnienie, z weselszą myślą wracała do pracy.

- Ot! — tam to bieda: niema co mówić; dawał niewidomy przyciszonym głosem wskazując ku alkierzowi przytykającemu do izby.

W alkierzu tym, bez pieca, jedném oknem oświetlonym, od kilkunastu już lat mieszkała panna Anna, znana kiedyś Warszawie ze szczególnej zręczności w praniu blondyn i koronek; nikt jój nie wyrównał w nadaniu śnieżnej białości tym kosztownym tkankom któremi kobiety tak się zawsze otaczać lubiły, nikt tak zręcznie nie spajał pajęczych prawie niteczek pękających tak snadnie — to też póki trwała moda blondyn i koronek, panna Anna miała bardzo dostateczne utrzymanie, ubierała się przyzwoicie ale zawsze skromnie, nie wynosiła się z swego alkierzyka na trzeciem piętrze, i jak ludzie szeptali — składała pieniądze.

Niestety! nadszedł czas zepsutego smaku. Kobięty tak lekkie i urocze w śród przezroczy-  
stych koronkowych fałdów, poczęły u sukien,  
wstążek, kołnierzy, nosić ciężkie jedwabne  
frendzle; znikły gazy, muśliny — miejsce ich  
zastąpiły grube atłasy i aksamity — pannie Annie  
zabrakło roboty. Zapóźno było pod ciężarem  
piątego już krzyżyka nowy zawód rozpoczy-  
nać; prócz tego, wzrok zmordowany ciężką  
drobnowidzową pracą, osłabiony wyziewami  
siarki i chloru tak koniecznie do prania koro-  
ek potrzebne, niepozwalał już trudnić się  
tak nazwaną delikatną robotą. — Przez jakiś  
czas, biedne pannisko szyło, prało proste tiu-  
lowe czepki mieszczanek, utrzymywało się  
z dawnego zapasu — ale on znać był nie wiel-  
ki; nie tyle widać pamiętała panna Anna o cho-  
waniu grosza ile ludzie przypuszczali, bo po  
ciężkim roku w braku roboty przebytym, po-  
kazało się, że prócz tego co przez ręce ubogich  
Bogu dała, i o czém nikt prócz biorących nie  
wiedział, o czém może ona sama nie pamięta-  
ła, z dłużej, mozolnej pracy jedynym owocem  
zostało miejsce zakupione w Szpitalu miejskim  
u Panny Maryi, na którego zajęcie, podług

miejscowych przepisów przyjmujących dopiero  
osoby lat życia mające, jeszcze lat parę  
czekać należało.

Jak one przeszły — nie będę opowiadać; co

tylko życie ubogiej i osamotnionej kobiety może mieścić ucisku i przykrości — ile tylko jest cierpieli w nędzy głębokiej a ukrytej, to wszystko przeszła biedna koronczarka — a powiernikiem, a pociechą jej jedyną była cicha modlitwa. Nie miała ona przyjaciół; — pracowita, małomówna, nie szukała nigdy towarzystwa; nieśmiała między obcymi, o Bogu tylko i pracy mówić umiejąca nie była nigdzie pożądaną. Pragnąca kochać i dobrze czynić a pozbawiona od dzieciństwa rodzinnych związków, nieraz chciała wychować sierotę, przytulić ją do serca, wyuczyć robót, i zatrzymawszy przy sobie stworzyć luby, przyjazny stosunek któryby jej wewnętrzne szczęście zapewnił. Czy to nieszczęśliwy wybór, czy zbytńia charakteru łagodność; czy może w końcu pewna niezręczność obejścia, tak często najlepszym chęciom towarzysząca, sprawiły, że kilka jej wychowanek niewdzięcznością wypłaciwszy tkliwe poświęcenie, zraziły nadal biedną od prób

podobnych, a broniąc się przed zarzutem opinii ogólnej tak często sprawiedliwej na jakim-bądź stopniu społeczeństwa, potwarzą dziwactwa odpłaciły Anny dobrodziejstwo.

Sama więc, smutna opuszczona liczyła miesiące i tygodnie zbliżające ją do celu najgorętszych życzeń, do Szpitala na przytułek starcom przeznaczanego, gdzie mając pierwsze, konieczne potrzeby zabezpieczone, mogłaby przecież jakąś znaleźć opiekę — a opieka w duchu bożym udzielona tyle dla pokornych ma

uroku!

Dorywkowém zatrudnieniem panna Anna zarabiała tyle, że mogła jeszcze opłacić najem swego alkierzyka — żal jój go było opuścić - tyle chwil czynnego życia zeszło jój w tych ścianach że choć teraz puste i smutne, choć kominek zawsze tak wesołym ogniem jaśniejący, dziś nawet zimnego nie zachował popiołu, jój tu lubo, ona się tu jeszcze u siebie czuła, a u siebie tak jeszcze miłe każdemu, choćby bez wdzięku i wygody! Ktoś co dawniej pannie Annie wiele dostarczał roboty, obdarzył ją raz na zawsze biletem na obiady pięciogroszowe, nie wiedziała komu winną była to dobrodziej-

stwo, przysłano jój bilet w kopercie, co miesiąc opiekun cyrkułowy go potwierdzał, odowiadając na wszystkie pytania tem tylko, że opłacony — ale niewiadomość nie umniejszała jój wdzięczności, i może już jedyną ziemską myślą Anny, było pragnienie poznania dobroczyńcy swego.

W taki sposób powoli włókł się czas; ale że w leniwym nawet biegu nie zatrzyma on się nigdy, coraz bliższą była chwila w której panna Anna miała na zawsze opuścić swój alkierzyk, i wolna starań, kłopotów, przenieść się do Panny Maryi. Czas też już było — zima coraz ostrzej zaglądała przez źle opatrzone drzwi i okna, nędza pod wszystkiemi postaciami wyciągała ramiona swoje ku stariej koronczarce. Otulona w grubą chustkę wełnianą siedząc w starem krzeselku, już tylko-dni pobytu swego w dotychczasowym mie-

szkaniu liczyła, już gotowała się do potrzebnych formalności, towarzyszących przyjęciu nowej osoby do szpitala starców — już nawet kilkakrotnie oglądano jej alkierzyk, który waciarka uprzedzona przez pannę Annę, chciała nowym lokatorom wynająć.

Alić jednego dnia, po powrocie z obiadu staruszka zmieniła zupełnie postanowienie; — oznajmiła waciarce, że jeszcze do Szpitala nie pójdzie, że zatrzyma nadal alkierzyk, tylko że w nim wspólnie z jedną swoją znajomą mieszkaczką będzie. Nic przeciw temu nie mieli mieszkanki pierwszej izby, uważając ten krok tylko za dowód oszczędności koronczarki, i z ciekawością wyglądali nowej współmieszkanki.

Jakież było ich podziwienie, kiedy pewnego wieczora, dwóch tragarzy wniosło na czwarte piętro siedzącą w starém słomą wplecioném krześle, średnich lat niewiastę, ubogo ubraną, bladą, trzymającą maleńkie zawiniątko w ręku i pozbawioną władzy w obydwóch nogach.

Byłaż to przyjaciółka, byłaż to dawna Anny znajoma? — Tak, widywały się od jakiegoś czasu przy stole Dobroczyńności. Anna z zajęciem patrzyła zawsze na tę kobietę bladą, słabą, milczącą, której głosu nie słyszał dotąd żaden z przytomnych, spojrzenia żaden nie spotkał; czuła tajemny jakiś pociąg do téj zimnej powierzchowności, pod którą domyślała się boleści głębokiej.

Raz, wychodząc na ulicę, nieznajoma silnym wiatrem owiana padła bezwładna; przeniesiono ją do szpitala, Anna odwiedziła ją parę razy, i dowiedziała się, że to już po raz trzeci taką ją niemoc napada, że biegli lekarze przepowiedzieli jej ten wypadek, i zapewnili iż nieuleczoną zostanie. Zgodził się na to zdanie i lekarz miejscowy, a ponieważ u nas nie ma schronienia dla chorych nieuleczonych — namyślano się gdzieby umieścić osobę, niemającą ani rodziny, ani przyjaciół, ani stałego zamieszkania?

Wtedy Anna, ta prawdziwie niewieścia dusza, na widok tak ciężkiego opuszczenia uczuła raz jeszcze pragnienie kochania i poświęcenia się bez granic, a wraz z niemię wzmagała się siła i odwagę. — Przyjęła smutną kalekę nietylko do mieszkania swego, ale do głębi poczciwego serca; wyrzekła się jeszcze na czas jakiś spokoju, zaczęła starać się o robotę, i dla nieznajomej sobie lecz prawdziwie nędznej istoty, objęła na nowo ten rodzaj życia, który się już dla niej samej zbyt ciężkim wydawał.

Kto zna nędzę — nie z nazwiska, temu opisu nie potrzeba — kto się wzdryga spojrzeć na nią z bliska, temu żaden obraz nie przedstawi ogromu poświęcenia poczciwej Anny, dzielącej czas swój i siły między pracę, której na szczęście dostarczała jej powracająca moda noszenia koronek, i między starania o nieszczę-

śliwój kalece.

Obiadu dobroczynnego połowa zawsze w ma-  
leńkie złożona naczynie dochodziła niezmien-  
nie nieznanomój — dla niej lepsze krzeselko -  
cieplejsze okrycie — dla niej było łóżko jedyne,  
Anna sypiała na materacu na ziemi ułożonym,  
a szlachetne i tkliwe jój serce, coraz silniej  
w miarę poniesionych ofiar przywiązywało się  
do nieszczęśliwej — chociaż ona za to wszyst-  
ko ledwie ściśnieniem ręki, ledwie dłuższém  
nad zwyczaj dziękowała spojrzeniem.

Przeszło tak pół roku, mimo drobnych a pię-  
knych robótek kaleki, mimo wysilającej pracy  
koronczarki, słusznie mówił niewidomy:

— Ot! tam to bieda!

Nigdy przecież niebo nie odmówi pomocy  
szlachetnym usiłowaniom; zdarzyło się, że mie-  
szkająca w tym samym domu majątna panien-

ka, zapragnęła nauczyć się trudnej sztuki pra-  
nia koronek, Anna niezazdrosna przyjęła chę-  
tnie młodą uczennice, i odtąd ciężki niedosta-  
tek powoli zaczął ustępować od progu dwóch  
niewiast.

Panna Zofja nie była znać pojętną, bo na-  
uka szła długo, płacono za godziny regular-  
nie, a prócz tego, za każdym choćby małym  
postępem Zosi, zjawiała się w alkierzyku no-  
wa oznaka wdzięczności jój babki, wielkiej lu-  
bowniczkii koronek.

Zgadywała i czuła to Anna, że głównym  
Zosi celem było wsparcie dwóch nieszczęśli-  
wych, ale każda drobnostka, każda przysługa  
z taką serdecznością była ofiarowana, że ani

urazić, ani zawstydzić przyjmujących nie Mogła; a przecież w przeciągu kilku miesięcy, już w mieszkaniu panny Anny ani śladu nędzy nie było. Zosia spieniężała pracowite perełkowe wyroby kaleki, dostarczała praczce roboty, pomagała im w pracy, lub czytywała dla ich rozzerwania i nie raz w nagrodę spotykała głębokie spojrzenie nieznajomój zwrócone na nią z tkliwością, nieraz biegnąc przez sień usłysza-

ła pieśń pobożną śpiewaną przez obie niewiasty niedawno tak ponuro milczące.

Komuby poświęcenie Anny przesadzoném się zdało, niech mi wierzy, że w okolicy Starego Miasta dziś jeszcze żyje stara panna, utrzymująca się sama jedynie z wsparcia dobroczyńnych osób, która przecież przyjęła nieznaną sobie kobietę, i od lat kilku pielęgnuje ją tkliwie nie przyjmując umieszczenia w Inst. To w. Dobr. dla tego jedynie, że dla téj nieszczęśliwej cierpiącój wielką chorobę, prócz jój litości, nie ma innego schronienia.

## II.

### MALARZE.

Trzecie piętro jak już mówiłam, równie z dwoma niższými dzieliło się na trzy części, i na tyle też mieszkań rozłożoném było. W frontowój części mieszkał sam gospodarz domu, dawny rzemieślnik, wdowiec bezdzietny, skąpy i nieczynny., którego mieszkańcy domu widywali tylko w kwartalnych okresach, gdy wypadało odbierać zapłatę za najém mieszkania,



bo całe dni spędzał na czytaniu gazet w cukierniach, restauracjach i billardach, uważając ten sposób życia za najprzyjemniejszy i najtańszy. Środkowe mieszkanie drzwiami

do schodów, oknem do podwórza obrócone, zajmował młody, bogaty człowiek, jak mówiono lekarz, który przed kilkoma miesiącami całe pierwsze piętro najął dla matki swojej, mającej co chwila nadjechać z dalekiej podróży.

Nieraz zastanawiali się nad tem współmieszkańcy jego, że mając wielkie i piękne pokoje na pierwszém piętrze, wyniósł się aż tak wysoko, nieraz żartowali sobie, że albo widzialną z swego okna dzwonnice po-Jezuicką maluje, albo gabinet anatomiczny u siebie zakłada, do którego to domysłu upoważniały niejako zawsze białemi firankami zasłonięte okna jego mieszkania — nikt tam nie zgadywał, że człowiek duchem i umysłem żyjący potrzebuje cichego osobnego kącika, gdzie mógłby być sam z sobą, myśleć, marzyć, wspominać nie przeszkadzony niczém i nie przeszkadzający nikomu; że kącik ten im dalszy od ludzi, im cichszy skromniejszy, tém miłszym się staje; — że w końcu, tylko istoty płytkiego umysłu lub wielkiego poświęcenia zdolne są żyć wiecznie pod spojrzeniem drugich, i zawsze wzrok pogodny, uśmiech na ustach zachować, nie pragnąc ani na chwilę odosobnić się od całego

stworzenia, by myślą ku Stwórcy podążyć,  
— Tego wszystkiego nie domyślali się ciekawi  
— ale że pan doktor był spokojnym mieszkańcem,  
że ani w ubiorze, ani w postępowaniu niczym  
się widocznie nie odznaczał, że ubogim przy-  
chodzącym do niego po radę, nie tylko przepisu  
ale często i pomocy na lekarstwo nie odmawiał,  
przestano mu się dziwić, a nieznacznie i szano-  
wać go zaczęto,

W ostatniej wreszcie, najmniejszej, najcie-  
mniejszej części tego piętra, mieściła się uboga  
rodzina malarza, niegdyś niby portretowego,  
teraz przy starganych pracą i wiekiem siłach,  
ledwie pokojowe ściany malującego,

W pierwszej izbie, kuchnią, bawialnią i ja-  
dalnią razem będącą, zebrała się cała familja:  
— przy szerokim kominie na którym jakby na żart  
tliło się kilka wiórów, sześciolatnie dziewczę  
w podartej sukience stało z łyżką w ręku, zrzu-  
cając pilnie szumowiny z niewielkiego gar-  
nuszka zawierającego zapewne ważną część  
obiadu — na ławie pod ścianą, przed szerokim  
i gładkim kamieniem siedział sam malarz z far-  
tuchem u pasa, rozcierając starannie jasno zie-

loną farbę, która mu pewnie do blizkiej pracy  
służyć -miała. — Żona jego w starym watomym  
szlafroku, z okularami na nos wciśniętymi sie-  
działa pod oknem, zatopiona w naprawianiu bie-  
lizny, a w kącie izby, zasłoniony cokolwiek  
siostry postacią, pięcioletni może chłopczyk ma-

zał węglem po białej ścianie najdziwaczniejsze  
ludzi i koni postacie.

Milczenie panowało w izbie.

Nagle drzwi się otworzyły — sługa pocztowy wychylił się z po za nich pytając:

— Czy tu pan Mazalski?

— Tu, proszę pana! proszę bliżej; mówił poprawiając szlafmocy malarz.

— List z Rzymu!

— Jezus! Marya!

Zerwali się starzy jedném poruszeniem,  
dziewczynki oczy zajaśniały jak dwie iskry,  
chłopak rzucił węgielek, i wszystkich ręce pod-  
niosły się ku listowi jeszcze nie wydobytemu  
z torby.

— Od Józia!

— Niech mu Bóg błogosławi!

— Dawaj pan żywo! wołano.

— Pięć złotych i groszy dwanaście! rzekł  
podając spory pakiecik.

Wyciągnięte z oczekiwaniem ręce opadły  
smutnie ku ziemi, starzy spojrzeli na siebie  
z rozpaczą; od dawna już tyle razem pieniędzy  
nie było w ich posiadaniu; po chwili, malarz  
powolnym krokiem postąpił ku swojej ławie,  
i z boleścią spojrział na roztarte farby, pomyśla-  
wszy, że gdyby nie pośpiech i akuratność,  
mógłby był powierzonými sobie na materiały  
pieniędzmi wykupić list od ukochanego syna,  
od tego syna który z pierwszych już lat dzie-  
ciństwa, serdeczną mu radość sprawiał pilno-  
ścią w naukach i niezwykajną do malowania  
zdolnością; który po roku pobytu w Rzymie,  
tyle ważnych rzeczy donosił mu zapewne.

Matka z załamanemi rękami odwróciła się ku oknu, a z czarnych oczu dziewczynki puściły się dwa łez strumienie.

— Pięć złotych i groszy dwanaście? Potóczył niecierpliwie pocztowy sługa.

— Nie mamy teraz! rzekł stłumionym głosem malarz.

List wpadł znowu do torby, drzwi się zamknęły i grobowe milczenie na nowo izbę zaległo.

Długo tak, długo rodzice w bolesnych zatapiali się myślach; nakoniec skrzypienie węgla po ścianie wyrwało staruszkę z ciężkiego zadumania.

— Już znowu Józiu? rzekła z surowym wyrzutem; nie pamiętasz — to coś mi przyobiecał?

— Ależ moja żono! przemówił wstawiając się za dzieckiem malarz.

— Nie! nie! wykrzyknęła kobiéta; dość już malarzy, dość już nieszczęścia mamy w domu. Józiu! jeżeli pamiętasz matkę, jeżeli babkę kochasz, przysiąż mi, że malować ani rysować nie będziesz.

Chłopczyk przestraszony utulił się za siostrę.

— Bądź czém chcesz, mówiła staruszka, pracuj ciężko, ale nie bądź malarzem; to głowę zawraca.....

Józio zbliży? się nieśmiało, i płacząc całował ręce niewiasty.

— Tak! pieść, płacz! a jak cłę łzami i życiem wykarmię, wychowam, to pójdiesz jak poszedł Józio, daleko! po sławę! Mój Boże! co to sława? czy to nie jedno, żeby jego robota wisiała w ubogiej kaplicy, czy w pańskim pa-

łacu. A ten list! czemuż go nie opłacił? mówiła z wrastającą goryczą.

— Znać że nie można było; rzekł smutnie malarz; a może biédak i nie miał czém opłacić.

— Po cóż więc do tego Rzymu pojechał? toż mnie łudził że ztamtąd i uczonym i bogatym powróci, że na stare lata przy nim przytułek znajdziemy?

— Ależ on się dopiero uczy.

— Czego się ma uczyć? toć on daleko lepiej od ciebie malował; a przecież póki był dobry wzrok i siły, miałeś dla nas wszystkich chleba podostatkiem.

— Zapewne; ale też tylko chleba.

— Czyż lepiej kiedy i tego nie ma?

— Już tam ten czas jakoś przekończymy; a za to jak Józef powróci

— A kto nam zaręczy że wróci? a ich ojciec wrócił? rzekła wskazując na dzieci; przecież tylko za Kraków pojechał. Biedna moja Kasia z rozpaczy umarła, a te sieroty nie wiedzą nawet jaki był koniec ich ojca!

Malarz potrząsnął głową.

O! tak! wszyscyście wy tacy! mówiła dalej rozżalona kobiéta; wynieść się, wyuczyć, wsła-

wić gdzieś tam między ludźmi, co wam szkodzi że żona umrze z zmartwienia, że dzieci sierotami zostaną, że starym rodzicom chleba zabraknie!

— Moje dziecko! nie żalujmyż cośmy z dobrego serca dla Józia zrobili.

— Ach! któżby żałował? zawoła staruszka wybuchając płaczem; ale widzisz ten list mieć go prawie w ręku, i nie wiedzieć co on pisze, co się z nim tam dzieje o! to serce pęka!

— Przepraszam kochana pani Mazalska! Zawołała w téj chwili wchodząc do izby młoda i ładna panienka; brieftreger zostawił u nas, zapewne przez zapomnienie list do państwa pisany, aż z Rzymu.

I położyła paczkę na oknie.

Chwyciła ją staruszka, drżącą ręką rozłamała pieczęć, lecz pismo było drobne jak prawie zawsze bywa, kiedy do swoich piszemy z daleka, a oczy matki tak łzami radości zaćmione, a dłonie tak jój drżały, że ani pomyśleć mogła o przeczytaniu tych słów tak dawno, tak go-

raco, tak boleśnie upragnionych. Stary ojciec co rzadko czytaniem się bawił, postąpił przecieź ku żonie, bardziej z niecierpliwością, niż z zamiarem udzielenia pomocy, kiedy młode dziewczę które tyle już radości biednej rodzinie sprawiło, patrząc z współczuciem na to rozrzewnienie, rzekło:

— Może państwu przeczytać?

Matka z uśmiechem wdzięczności podała pismo panience; czarnooka dziewczynka przysuñnęła jój szybko stołek drewniany i stanęła za jego poręczą, starzy oboje wsparli się na oknie, a mały rysownik klękawszy przed czytającą, położył kędzierzawą główkę na jój kolanach

i błyszczące źrenice utkwiał w jój obliczu.

Dwa były listy. W pierwszym Józef opisywał rodzicom prawie cały czas pobytu swego w Rzymie, trudności jakich doznał, znajomych których znalazł; w końcu donosił, że bogaty ziomek bawiący we Włoszech od dawnego czasu, podał mu pomocną rękę, i że przy takim wsparciu spodziewał się jeszcze przynajmniej dwa lata w Rzymie zabawić.

— Dwa lata! przerwała smutnie matka załamując ręce.

Jakby w odpowiedź jój wykrzyknienia, panienka czytała dalej:

„Widzę jak czoło matki zachmurza się na tę wiadomość; może i ojciec wcześniej potrzebowałby mojego ramienia; ależ kochani! pomyślcie, że jeżeli pragnę jeszcze zostać na tej pięknej ziemi, to dla tego żeby nie z próżna powrócić ręką, żeby wasze trudy, wasze poświęcenie jak można najlepiej zawdzięczyć. Wolelibyście widzieć mię dzisiaj mażącego znaki do sklepów, niż za lat parę wracającego z pojęciem prawdziwem o sztuce; mówią tu że na zdolności mi nie zbywa, pracy nie żałuję, może też Bóg pobłogosławi szczerym usiłowaniom. O matko moja! skoro pomyślę że Ty kiedyś wraz z ojcem staniesz przed dziełem méj ręki z takim uczuciem, z jakim ja przed utejszych mistrzów obrazami staję; że obraz Matki Bożej, który tu za godny kościoła uznają nad swoim łóżkiem zawieszisz, i co wieczór przed nim modlić się będziesz; to mi tak serce rośnie, że nie dwa, ale dziesięć lat życia i ciężkiej pracy nie zdawałoby mi się

wielką takiego szczęścia opłatą,”  
Starzy łzami radości splakani podali sobie

ręce. Rozumieli oboje wyrazy syna; ona sercem matki, on nie tylko sercem, ale i umysłem człowieka co nieraz w życiu czuł polot duszy ku wyższemu pojęciu, tęsknotę za niem, pragnienie udoskonalenia ściśnięte, skrepowane, przytłumione zawsze brakiem umysłowego wykształcenia i dobrego kierunku.

Drugi list mniejszy inną był ręką pisany, inne téż wywołał uczucia.

„Dziesiąty już miesiąc mija Kasiu ukochana! (pisano), jak żadnej od ciebie nie mam wiadomości; nie odpisałaś na list mój z Krakowa przesłany; gniewałaś się, nie! bolało cię, że tak bez uprzedzenia ciebie rozrządziłem częścią mojego życia. Rozumiem to, ale wiesz przecię, że nie obawa twego oporu spowodowała mnie do tajnego wyjazdu; ja się bałem walk, które z twoimi, z matką szczególniej staczaćby trzeba było; bałem się ich dla ciebie! Wiem żebyś potwierdziła mój zamiar, ale w każdej smutnej chwili musiałabyś znosić wymówki, z rozżalonego już wyjazdem Józefa serca pochodzące. O moja droga! ten wyjazd jego postanowił o naszym rozłączeniu. Nie mogłem znieść téj myśli, że on, mój towarzysz od dzieciństwa.

on mój brat, bezemnie stąpać będzie po włoskiej ziemi, bezemnie będzie patrzy! na arcydzieła do których przez cafe życie wzdychaliśmy razem. — To była zazdrość — powiesz;



ja sam tak myślałem, ale dziś widzę że to natchnienie było. Odżyłem tu i odmłodziłem; znikła ta ponurość i niechęć, z jaką od pewnego czasu do pędzla się brałem, kiedy pracując dla chleba, rozumiejąc a raczej domyślając się jak malować potrzeba, w pośpiechu i bezsilności nędzne, dziwne -, nieżywe kreśliłem postaci; spadła zasłona z moich oczu za pierwszym zwiedzeniem pracowni wielkiego tutejszego mistrza; poznałem że co ja od ręki żądałem, tego w duchu szukać potrzeba. Uniżyłem się w prochu przed obrazami dawnych malarzy; ja, zazdrosny każdej mniejszej wyższości, szczęśliwym się dziś czuję, że mi wolno poznać i uwielbić te nieśmiertelne dzieła.

„Chciałbym żebyś mnie teraz widziała Kasiu moja droga! odmieniłem się zupełnie, dawna gwałtowność moja, upór w drobnych nawet rzeczach, rozliczne wady, które ty z tak anielską słodyczą znosiłaś, wszystko to stopniało pod wpływem tego zaspokojenia, tego światła

co tu moją duszę zalało. Jedna tylko z moich dawnych wad została — żądza sławy — ale sławy nie dla mnie! — Wierz mi Kasiu, ile razy pomyślę, że mógłbym kiedyś dobrym zostać malarzem, to już nie roją mi się laury na mojej skroni, ale myślę o tobie, o naszych dzieciach, o radości z jaką tybyś moje pochwały słyszała, o dumie mojej Tereni — o wsparciu jakimby sława ojca dla Jasia być mogła. — O! bo to dusza artysty! nie krępuj jej Kasiu, nie tamuj wrodzonych jej popędów, otwierajmy mu owszem przystęp do wszystkiego co piękném,

co wzniosłem jest na ziemi. Gdyby tak ze mną byli postępowali!— Ale moja dusza zmalala w ciągłym przymusie, ja najczęściej nawet wątpię o prawdziwym dla siebie postępie, czuję jakąś ciasnotę charakteru co się przez lat tyle podług konieczności zwyczajnego życia układać musiał."

„Ale dość o tém — nieprawdaż droga, że się nie myślę licząc na przebaczenie, nie! na potwierdzenie twoje?— Cierpliwości! Przyjdzie czas, że wrócę do was lepszym, szczęśliwszym; — nie żałuj tych lat kilku które przeżyłbym wśród was przytłoczony smutkiem, roz-

paczą — kto wie? — w poniżeniu może roztańnienia, odurzenia się szukając."

„Spodziewam się że to co ci w domu zostawiłem, wystarczyło przy twojém staraniu na jakiegokolwiek utrzymanie — załączam tu weksel który spieniężysz w każdym banku, co trzy miesiące wraz z listem taki sam odbierzesz. Nie pytaj skąd te pieniądze — przecież kto dla wydoskonalenia się w sztuce zdolny był z najśłodszych wyrwać się związków, potrafi godnie i uczciwie dostarczyć chleba rodzinie swojej.”

Jakie wrażenie sprawiło to pismo, łatwiej zrozumieć niż opisać — potrzebaż było, aby ów papier co z Krakowa niósł Kasi wiadomość o postanowieniu męża, w prywatne powierzony ręce, zaginął w drodze! Młoda, zbyt tkliwa i słabego zdrowia kobiéta, przez kilka miesięcy walcząc z niepewnością, przypuszczając na przemian to myśl o śmierci męża, to o zmianie uczuć jego, pozbawiona pociechy jakaby w ser-

cu brata była znalazła, — boleśnie dotykana uwagami pocziwych ale nieukształconych rodziców, wstydła powoli; ukrywała cierpienia swoje, żeby przeciw opuszczającemu ją mężowi

przykrego nie wywołać słowa, nie śmiała pieścić dzieci, żeby ich do pytań o ojca nie upoważnić — słowem, umarła chodząc, z uśmiechem na ustach — umarła na miesiąc przed nadejściem listów z Rzymu.

— Mój Boże! zawołał stary malarz, kiedy żyje — czemuż wcześniej nie pisał?

Matka padła na kolana — w jej sercu z całego listu te tylko utkwily wyrazy:

— Bałem się dla ciebie matki wymówek.— I pewnie stanęło jej w pamięci niejedno wyrażenie, mimowolne może, które dziś jako ciężką winę wyrzucała sobie, bo zakryła spłakane oczy rękami i przez chwil kilka, znać Modliła się za przeszłość, a potem, wyciągając ręce ku wnukom przycisnęła ich do serca, i całując rumiane Jasia policzki, rzekła stłumionym głosem.

— Rysuj sobie kiedy chcesz moje dziecko, już cię za to nigdy łajać nie będę!

Skoro przeszło głębsze wzruszenie, skoro staruszkowie zdolni już byli porządnie słowy przemówić, kiedy chcieli podziękować panie Zofii za jej uprzejmość, już jej dawno w skromnym mieszkaniu nie było.

— Ja za to dwa razy pociągnę jój pokoik zieloną farbą — rzekł malarz w uczuciu wdzięczności; nie domyślając się, że nietylko przeczytanie, ale i otrzymanie listu od Józia jój winni byli.

### III

#### NA DOLE.

W całym rynku Starego Miasta nie ma podobno jednego domu bez sklepu, a czasem bywa ich obok po kilka; jak we wsaystkiem, tak i w tych sklepikach odbija się jeszcze to piętno różnaitości, które rynek, ten w dawnych czasach główny punkt miejskiego życia nosić na sobie musiał. Sklepy korzenne, z wódką, chlebem, drobiazgami, z drzewem i solą — apteki, cukiernia, słowem wszystko znaleźć tu można co tylko w granice zbytku nie wchodzi.

I w naszej kamienicy, oprócz stawianego codzień przed sienią straganu, istniał maleńki,

nie zbyt widny sklepik. Mieściła się w nim wdowa po ubogim tokarzu, i przy usilnej pracy starszej swojej córki i własnej oszczędności, nie tylko że się utrzymywała o własnych siłach, lecz nawet młodszego syna posyłała do szkół publicznych.

W sklepiku, maleńkiem tylko oknem i drzwiami oświeconym, stał na przodzie stół do prze-

daży i szafka, w której nici, igły, tasiemki, słowem wszystko czego do kobiecych robót potrzebować można, porządnie ułożone czekało na kupców. Pod oknem białą firanką przysłonioném, i zastawioném rozmarynem i gieranią kwitnącą, siadywała zwykle młoda Anusia, z robotą w ręku, i gotowca na usługi gości; w głębi stała wielka staroświecka komoda, której spodnia szuflada wysuwając się daleko służyła za łóżko Stasiowi. Wązka kanapka na której persowém pokryciu chociaż łatek i cer bez liku, ale dziury lub plamy nigdy nikt nie dostrzegł, dwa także krzeselka i mały stoliczek tworzyły niby salon, a papierowym parawanem od reszty mieszkania odgrodzone, lecz niezupełnie ukryte ogromne stare łóżko z firankami, najgłówniejszy sprzęt stanowiło. Tu matka i córka sy-

piały; kotara z starego persu była ścianą téj sypialni, a kołdra zeszyta z tysiąca różnobarwnych w różne kliniki krajanych perkalów, ozdobiona szeroką muszlinową falbaną, świadczyła o pracowitości gospodyń.

Za drewnianą ścianą ciasna ciemna kuchenka służyła za kuchnię, pralnię, spiżarnię i garderobę razem, małe w drzwiczkach okienko, muszlinową firanką zapuszczone, udzielało światła temu kącikowi, a matka i córka tak zręcznie z czasu korzystać umiały, że nigdy ani kupujący, ani rzadko się zdarzający goście, nie dojrżeli najmniejszego nieporządku.

Tuż do kuchni pani Koprowej (tak się nazywała tokarka), przytykała jedną ścianą obszerna izba z piecem i kominem, z oknem na po-

dwórze wychodzącém, ale że podwórze ledwie na dwadzieścia stóp jest rozległe, a sześć komórek na drzewo zmniejszyło jeszcze tę przestrzeń; nic więc dziwnego, że w tém mieszkaniu ledwie przez pół dnia, i to tylko w okolicy okna widno być mogło.

Przy tém oknie siedziała prawie ciągle młoda, hoża kobiéta, zajęta robotą bawełnianych guzików, a obok niéj bawił się trzyletni synek,

podczas gdy młodsza jego siostrzyczka spała spokojnie w kołysce nogą matki poruszanej.

Ubogo, ale czysto było w tém mieszkaniu, przez cały dzień cicho i spokojnie tu było, czasem tylko kwilenie dziecięcia lub matki piosenka, przerywały milczenie; ale wieczorem za to, kiedy ojciec, pracowity cieśla wracał z roboty do domu, kiedy dziadulo, krzepki jeszcze mężczyzna, rzuciwszy w kąt izby pęk sit, przetaków i koszałek, obliczał dzienny zarobek z sprzedaży, kiedy gospodyni na biało wyszorowanym stole zastawiała wieczerę, a chłopczyna to ojcu, to dziadkowi u rąk i szyi się czepiał, kiedy drobne trzaski paląc się na kominku oświecały te pogodne twarze, to tak lubo, tak wesoło w ciemnej izbie było, że patrzącemu serce rosło, i łzy do oczu się cisnęły.

Kiedy tak raz za stołem siedzieli, a gospodyni sprzątnąwszy misę po barszczu, zastawiła kawał mięsa z sałatą, gorącym octem i słoniną zaprawną, otworzyły się drzwi wchodowe, i młody człowiek dorodnej postaci, śniadój cery lecz miłego wejrzenia, w ciemną płócienną bluzę ubrany, z lekką czapką w ręku, stanął w pośród rodziny.

— Dobry wieczór ojczy! zawołał. Jak się macie Michale, i wy pani bratowo?

— Zdrowi wszyscy! Ale znasz przysłowie Jerzy: „Kto późno przychodzi, to sam sobie szkodzi,” barszczu już nie dostaniesz! rzekła pani Michałowa.

— Siadajże przynajmniej do tego co jest, dał ojciec, po takiej pracy jak u was w fabryce, wieczerza nie zawadzi.

— A porządnie się zmęczyć musiałeś, kiedy tak długo szedłeś do nas; przymówił Michał z uśmiechem.

— Jakto, długo? spytał zmieszany Jerzy.

— Oczywiście! wychodząc z Jezuickiej ulicy, widziałem cię na rogu Świętojańskiej, miałeś prawda z dziesięć kroków więcej odemnie do naszej sieni, alem ja też już od półgodziny w domu.

— No, no! nie dokuczajże Michałku biednemu chłopcu; pewnie wstąpił do pani Koprowej Jerzy? zagadała bratowa.

— Zapewne! to zacna, poczciwa kobieta, braciszku; rzekł Michał żartobliwie; ale nie wiem czy wiesz, że ma wcale nie brzydką córeczkę?

— Nie zawracaj jej głowy chłopczy! prze mówił ojciec, bo choć to ubogie, ale to perłka nie dziewczyna, ta Koprówna; takiemu tylko godzi się spojrzeć na nią, kto się żenić myśli.

Jerzy, który chcąc ukryć pomieszenie swoje, jadł spieszenie mięso, i zapijał cienkie piwo z dzbankiem na stole stojące, na te słowa ojca, położył nóż z widelcem na talerzu, od-

sunał się cokolwiek ze stołkiem, i poglądając na wszystkich obecnych:

— A czemużbym nie mógł się żenić, gdyby mnie Anusia chciała, i ojciec nie miał nic przeciwko temu? Kiedyć już wiecie co mam w sercu, to się i zapierać nie będę, że kiedyś pierwszy raz wszedł do sklepiku Koprów po bawełnę do waszych guzików bratowo! Kiedyś Anusię zobaczył, to mi coś szepnęło do ucha: to będzie twoja żona!

— Tylko się nie spiesz Jerzy! czekaj przynajmniej do mojego wieku; ja się w dwudziętym szóstym roku ożenił.

— A może tego żałujesz? rzekła z przymieleniem Michałowa.

— Moje dzieci! mówił ojciec: rannego wsta-

nia, wczesnego ożenienia, nikt podobno nie żałował.

— Przecież nie dziecko! mam dwadzieścia dwa lata, zarabiam dziennie cztery złote w żelaznej fabryce, to już i z tego z rządą gospodynią można się uczciwie utrzymać; a wszakże nie przy samym młocie i pilniku człowiek życie trawi; uczyłem się rysunku, pracuję gorliwie i zasługuję się mechanikom, żeby mnie też do iewie bliżej przypuszczali, za parę lat mogę być czemś więcej jak prostym robotnikiem.

— Daj ci to Boże! mój chłopcze! Przerwał rozczulony starzec; a braterstwo uprzejmym spojrzeniem powtórzyli życzenia ojca.

— Tylko mi poradzcie! mówił znowu Jerzy; wy znacie całą rodzinę Koprów, wiecie jak oni żyją; powiedźcież mi ojcie czyby Anusia była



po waszém sercu synową? czybyście i wy ży-  
czyli sobie takie bratowój? Powiadają że kiedy  
serce kocha to mu wierzyć nie trzeba, ale mnie  
się zdaje, że kiedy młoda dziewczyna nie dba  
o stroje i zabawy, to się z niój dobrej gospodyni  
spodziewać można; kiedy córka ani czynem  
ani słowem matki nie zasmuci, kiedy dla jój  
odpoczynku snu się pozbawia, a braterską

łagodnością niesfornego chłopaka poskromić  
umie, to poczciwy człowiek śmiało może w jój  
ręce swoje szczęście złożyć.

— Amen! przemówił ojciec.

Michałowie powtórzyli wszystko co tylko do-  
brego Jerzy o Anusi powiedział, dodając mnó-  
stwo szczegółów, których tylko żyjąc pod je-  
dnym dachem dowiedzieć się można. Odchwalić  
się nie mogli jój pobożności, niezmordowanej  
pracy, oszczędności i przemyśłu z jakim co-  
raz to coś nowego do przedania w sklepiku zna-  
lazła ; bo dopiero szyła kołnierzyki i czepki, to  
woreczki i sakiewki wiązała, to wełną różne  
wyszywała drobnostki, i w końcu stanęło na  
tém, że w niedzielę, w sam dzień świętej Anny,  
Jerzy oświadczy się Koprowój z prośbą o rękę  
jój córki.

Nigdy Jerzy tak wymownym nie był jak tego  
wieczora; parę godzin zeszło na projektach, już  
się umawiano by nająć porządne mieszkanie  
gdzie cała rodzina wspólnie żyć miała, boć i  
Karol najmłodszy z trzech braci, dotąd uczeń  
ale wkrótce mający zostać towarzyszem, po-  
trzebować będzie własnego kącika.

— Nie wiem czy to tak dobrze wypadnie!

żartował ojciec, bo: gdzie dwa koty, jeden szczur, dwie gospodynie a jeden dwór, tam o zupełny pokój trudno!

Michałowa rachowała kredą na stole, ile to wydać będzie potrzeba na wyprawę pana młodego, na urządzenie nowego gospodarstwa? sprzeczano się trochę; Jerzy chciał żeby dla jego żony wszystko było pięknem, bratowa prze-myślała żeby było oszczędnie; on koniecznie chciał komody i stolika przed kanapą, bo jakżeby Anusia u męża mniej znaleźć miała, niż się w ubogiem jój matki mieszkaniu mieściło? Michałowa przekładała że lepiej trochę grosza zostawić.

— Temu się zaradzi! zakończył ojciec; Michał dostał odemnie sto złotych na zapomogę, i dla Jerzego tyle się znajdzie; a jeżeli Bóg da doczekać ożenienia Karola, to się może i dla niego dozbiera.

Ani spostrzegła szczęśliwa rodzina że to już była godzina jedenasta. Jerzy pożegnawszy ją wesoło, wyszedł; lecz sień była zamknięta.

Trzeba było budzić stróża. Stróżem tym w domu był dziwak osobliwy; znało go całe Stare Miasto. Litwin z urodzenia, z imienia Krzy-

sztof, a nazwiska jego nikt nie wiedział; był to człowiek liczący lat przeszło pięćdziesiąt, rysy miał piękne, chociaż zbytnia chudością i błędnym oczu wyrazem zeszpecone, czoło wydatne, postawę wysoką; nigdy nie nosił innego ubrania jak wazką siermięgę karmelickiego koloru, nogi w lecie bose, w zimie w drewnianych sandałach, na głowie zaś szeroki góralski kapelusz. Całe to ubranie zawsze w najgorszym było stanie, bo Krzysztof pra-

cowicie dopełniwszy obowiązków swoich, spieszył co prędzej do sklepu z wódką, żeby jak mówił: zmartwienie utopić, a utopiwszy je wraz z przytomnością umysłu, nie wybierał miejsca spoczynku.

Zwykłym jego mieszkaniem, była ciemna drewniana komórka w długim korytarzu prowadzącym na podwórze, i prawie na Prost drzwi cieśli; tam wszystkie chwile wolne od pracy i topienia zmartwień, przesiedziały Krzysztof na słomie, wsparłszy łokcie na kolanach, i łysą głowę zanurzywszy w dłonie; czy spał, czy rozmyślał, któż to zgadnie? Życie tego człowieka obejmowało ciężką jakąś tajemnicę; służące i ubożsi mieszkańcy domu żartowali

niego nazywając go waryatem. Krzysztof z uśmiechem wszystkie ich nawet dotkliwe, nawet dotykalne żarty przyjmował, chociaż jedno poruszenie silnej jego dłoni mogłoby ich należytym natchnąć uszanowaniem. Przed każdym dzieckiem zdejmował zawsze swój szeroki kapelusz, i wtedy tylko można było dojrzeć przelotnego! uśmiechu na wązkich, bladych jego ustach.

W chwilach szczególnego ożywienia wymawiał bez związku łacińskie, francuzkie i hiszpańskie wyrazy — w smutnych, rzadko przypadających momentach, tarzał się po swojej komórcie wołając — śmierci! — o śmierci! — Czy ten człowiek o pięknych rysach i szlachetnej postawie zajmował kiedy wyższe stanowisko? czy cudzoziemskie wyrazy, były zabytkiem stannego wychowania, czy bezmyślnym powtarza-

niem słyszanych gdzieś dźwięków? — czy  
teraźniejsze życie było dobrowolną pokutą, czy  
dziwactwem słabego umysłu? nikt się nie do-  
wiedział, bo całą rozmową Krysztofa było po-  
twierdzenie, to! to! to! — i zaprzeczenie — nic  
z tego!

Jerzy zastawszy drzwi domu zamknięte po-

/

wróci! do komórki stróża, i silnie we drzwi za-  
pukawszy zawołał:

— Otwórzcie-no Krysztofie!

— Nic z tego!

— Dam piątkę na wódeczkę?

— Nic z tego!

Ale drzwi otworzył, i chociaż zupełnie by-  
ło ciemno, Jerzy usłyszał stąpanie bosych nóg  
jego po kamiennój podłodze, niedługo zaskrzy-  
piał klucz w zamku, drzwi się otworzyły, światło  
latarni jasną smugą wpadło do sieni, a kiedy Je-  
rzy stanąwszy na progu dobywał obiecaną piątkę:

— Nic z tego! zawołał Krysztof i drzwi sil-  
nie zatrzasnął.

Jerzemu przykro się zrobiło; — lubo znał dzi-  
wactwa stróża, to zaprzeczenie po trzykroć rzu-  
cone w chwili, kiedy on o tak ważnym zamy-  
ślał przedsięwzięciu, ochłodziło zapał szczęścia,  
rozwiąło słodkie marzenia, i przy niepewnym  
błysku gasnących latarni, mimowolnie smu-  
tny, wrócił do mieszkania które wspólnie z In-

nymi robotnikami, blisko fabryki przy Święto-  
Jerskiej ulicy zajmował.

#### IV

#### PAŃSTWO MOŚCICCY.

— Czego oni tam tak długo światło palą?  
mówiła zbudziwszy się ze snu pani Mościcka  
mieszkająca wraz z mężem po drugiej stronie  
podwórza, naprzeciw okna Michałów.

— A czemuż to Jejmość nie spisz? Zapytał  
pan Mościcki troskliwy o zdrowie małżonki.

— Jakżeż spać — kiedy ci ogień przed oczami  
błyszczący? — ci młodzi, to, to takie nieroz-  
ważne! wielka łaska boża, że oni jeszcze do-  
mu nie spalili! — Toć już zegar dwunastą wy-  
kukał.

— To też i zgasili świecę — śpijże Jejmość,  
bo to jutro piątek, rano wstać wypadnie.

— Prawda — ale już to Jegomość sam poj-  
dziesz na targ — bo ja jakoś nie domagam.

— Czy znowu nie szum w głowie?

— Nie, nie, jak się prześpię i wypocznę, to  
mi lepiej będzie.

— To śpijże Jejmość!  
— Tylko jeżeli zaśpię — to może lepiej za-  
wczasu uradzić co to na jutro potrzeba?  
— Już ja będę wiedział — sera owczego ze  
cztery krążki, bo się wszystko sprzedał w tym  
tygodniu.  
— I polskiego, mój Jegomość! tylko żeby  
był mądry, żeby znać było kresę jak odłamkiem  
po straganie pociągniesz.  
— Masła wezmę od Michałowój.  
— Tylko dbać a przykładkę, bo jak przyj-  
dzie na trzygroszniaki dzielić, to zamiast zy-  
sku strata.  
— Groszku i wisienek by się zdało.  
— Pewnie! ale po to, wartoby iść na ordy-  
nackie bo tam taniój.  
— To na mnie za daleko! już to starość nie  
radość!

— Prawda! prawda!  
— A pracuje się dzień cały!  
— Oj i to prawda!  
— I po co? — Bóg nam dzieci nie dał, nam  
samym przecie nie wiekować na świecie!  
— Co Jegomość wiesz! moja matka sto dwa  
lata żyła, a ja do niój podobniutka.  
— Choćbyśmy też jeszcze dwadzieścia pięć  
lat pożyli, toć dzięki Bogu jest z czego żyć  
— Cicho! jeszcze dziewczyna usłyszy!  
— Młody sen twardy! — ale powiedzże Jej-  
mość sama, czy to nie lepiej dać grosz na ja-  
ki taki procent, i żyć sobie spokojnie chwaląc  
Pana Boga, niżeli tak się kłopotać jak młokosy  
jakie?

— Wiesz Jegomość że cudzemi rękami, to dobrze węgle wygarniać — ale nie ciężko zapracowany pieniądz im powierzać.

— Niech i tak będzie! — aleć to tam już coś przybyć musiało od Świętego Onufrego, kiedyśmy ostatni raz rachowali?

— Oczywiście że przybyło, ale jeszcze nie ma co w pończochę zawinąć.

— Już to Jejmość jesteś prawdziwym exemplum porządku i kalkulacyi!

— No! no! różnie się próbowało, ale widzę, że tak najlepiej jak teraz robię. — Póki nie mam stu złotych, to noszę pieniążki przy sobie w kieszeni — jak się setka zbierze zawijam ją w parę pończoch i kładę w szafkę między inną bieleznię, a dopiero kiedy z dziesięciu takich par rek jest co wytrząsnąć, to się bierze świeczkę i schodzi do piwnicy.

- Bo też to jakby umyślnie dla nas ta piwniczka zbudowana: tuż pod naszą izbą, schody z kuchenki — choćby nawet kto wiedział o naszym grosiwie, to go bez pozwolenia nie dostanie.

— Otóż rozgadaliśmy się — mnie na prawdę coś nie dobrze. — Marynko! Marynko!

— A czego Jejmość od niej potrzebuje?

— Najprzód żeby wstała.

Pan Mościcki podniósł się z łóżka, zarzucił na siebie barani kożuszek, buty włożył, i po ciemku wyszedł do malutkiej kuchenki poprzedzającej izbę, gdzie sypiało trzynastoletnie dziewczę, sierota z miłosierdzia przyjęta.

Po kilkakrotném wołaniu, obudziła się Ma-

rynka, przetarła oczy, i weszła do izby.

— A co pani każe?

— Skrzesz ognia, nałóż ze dwie garstki wiórów, i wstaw mi wody na rumianek— tylko w kamiennym garnuszku!

Niezbyt prędko szła usługa— i dobre pół godziny upłynęło zaczem pani Mościcka siedząc na łóżku mogła się rozgrzać ciepłymi ziólkami; Marynka, w lekkiej spódniczce, z bosými nóżkami uwijała się jak mogła, ale sen przerwany coraz silniej praw swoich się domagał, kleiły się oczęta, a jeszcze trzeba było wszystko na miejscu ustawić, to pani pierzynkę na nogi położyć, to wreszcie ogień do najmniejszej iskierki wygasić; dziewczę wykonywało to wszystko machinalnie, bo rzadko która noc przeszła bez podobnych posług; i nic dziwnego — państwo mało sypiali; tylko młodzi i silni Ludzie potrafią spać od mroku do świtu; pani Mościcka zaś miała lat siedmdziesiąt i ośm, a jój małżonek o dwa lata był starszym.

— Marynko! Marynko! wołała Jejmość, skoro zegar w izdebce trzy razy zakukał, wstań niebożę, bo to już dzień!

Wstała dziewczeczka, zwinęła swój sienni-

czek do kąta, umyła czerstwą twarzyczkę studzienną wodą, jeszcze wczorajszego wieczora przyniesioną, uczesała gładko ciemne gęste włosy, i przyrządziwszy dla państwa wszystko cze-



go do ubrania potrzebowali, ogarnąwszy się trochę weszła do izby.

— Pójdźno tu bliżej! mówiła pani — tu do okna; ściśnij się mocniej fartuszkiem — tak! i chusteczkę sprostuj na szyi — bo to widzisz kto się w drobnych rzeczach porządku nauczy, to mu i większe składnie iść będą. Pokażno ręce — dobrze! kto nie próżnuje, nie będzie miał woskowych rączek, ale też po palcach dziewczynki nikt nie powinien się domyślać, że mogły być nieczyste. Idąc za Jegomością włożysz trzewiki, tylko proszę je wyczyścić — nie rachuj na to że się w drodze zakurzą, z domu to jak z pudełka wyjść trzeba.

Po skończonym przeglądzie, który regularnie codzień się powtarzał, pani Mościcka rzekła.

— No dobrze! a teraz pacierz.

Knęła Marynka przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej zawieszonym nad łóżkiem cpani, i złożwszy ręce, odmawiała głośno pacierz codzienny, potem litanję do Matki Boskiej,

potém dla piątku modlitwę do pięciu ran pańskich, w końcu z oczyma wzniesionými w górę dodała:

— Panie! Boże mój! oddaję w opiekę i miłosierdzie Twoje moich rodziców; Panie zmiłuj się nad nimi, i nad ich duszami!

Tak się rozpoczynał każdy dzień sieroty od pięciu lat, to jest od chwili, w której pani Mościcka wracając z piątkowej wotywy od fary, spostrzegła w kąci ciemnej kruchty dziecię w płachtę uwinięte, zziębłe, splakane, które na jój zapytanie odpowiedziało, że wypędzone od

babuli, przez cały dzień wczorajszy błąkało się po mieście, a przespawszy się w ogrodzie Krasieńskich, przyszło do kościoła.

Wzruszona staruszka wzięła dziecię ze sobą, ogrzała, posiliła, i wyrozumiawszy z jej mowy że ani rodziny ani schronienia nie ma, postanowiła zatrzymać ją u siebie, raz z miłosierdzia, a powtóre w nadziei lekkich posług, których wiek jej i zdrowie coraz więcej potrzebowały.

Pan Mościcki jak zwykle, zgodził się na zamiar żony; lecz napróżno chcąc dopełnić wymaganych formalności, żądał objaśnień od Marynki, dziewczę nic o przeszłości wspomnieć

nie chciało, bo babula wypędzając ją, zagroziła ciężką karą gdyby się ośmieliła wskazać komukolwiek jej imię i mieszkanie.

Ledwie w kilka miesięcy, pod wpływem poważnego i łagodnego razem charakteru pani Mościckiej, poznało dziecię, że pod taką opieką, może być spokojnym; — wtedy ze zgrozą usłyszeli staruszkowie jak okropne życie pędziła Marynka przy zgrzybiałej żebraczce, która się jej babulą nazywać kazała.

Szczypana tajemnie by wzbudzić litość przechodniów nad płaczącym dziecieniem; bita, gdy wieczorem zbiór jałmużny małym się okazał; głodna zawsze, łajana nieustannie, biedna sierota sypiała latem i zimą w ciasnej komórcie na końcu Nowogrodzkiej ulicy, łachmanami odziana, w strasliwym towarzystwie kobiet, które nie-

tylko charakter płci swojej, lecz nawet pamięć o nim straciły. Dziecina znękana, i drażliwie tkliwa, doznając od wszystkich szyderczego i grubego obejścia, usuwała się w najciemniejsze kąty by uniknąć nawet spojrzenia tych, co dla niej zawsze tak twardymi byli, zbudzona nieraz ze snu szalonemi krzykami, zatykała uszy by nie słyszeć tych głosów, które na każde jój przymi-

lenie odpowiadały obelgą; pojęcie jój powolne, zdrowie nie dość silne, strudzenie i niewygoda, obawa ciągła kary, wszystko to zamykając Marynkę w ciasnym obrębie własnej osobistości, chroniło ją od zepsucia; i oprócz prostych, Grubych wyrazów pani Mościcka nic naganego w nowej swojej wychowance nie znalazła.

Dowiedziawszy się wszystkich szczegółów jój życia, opiekunowie Maryniu udali się w wskazane przez nią miejsce zamieszkania żebraczki, bo z wielu okoliczności opowiadania sieroty, z jój cery i przekłótych do kolczyków uszu wnosili, że nie była jój wnuczką, i bacznym na przyszłość dziewczynki chcieli się o jój pochodzeniu wywiedzieć

Krok ten był zapóźny, żebraczki ani jój śladu znaleźć już nie było można.

Tak więc Marynka została u państwa Mościckich, służyła im chętnie, nie zrażała się bynajmniej zrędną akuracją staruszki, która większą połowę życia jako klucznica w zamkniętych domach spędziwszy nadzwyczaj była wymagającą; bacznym dozór, surowe ale nie ostre obejście, ciągła zachęta i przykład pracy i oszczędności zbawienny wpływ wywierały na

sierotkę. W domu wprawiała się w czynność i porządek, przy straganie który staruszkowie codziennie przed domem ustawiali, pomagając państwu w kupnie i sprzedaży, nabywała wyobrażeń o ludziach, i ich życiu, a mając tylko sposobność poznawania najniższej warstwy społeczeństwa, której mowa i obejście zbyt jej babulę przypominało, chroniła się wszemkich bliższych stosunków z osobami, z położenia jej podobnymi. Ale niechże przypadkiem zatrzymał się u stragana ktoś wytworniej ubrany, lub dobranej wyrazami myśl swoją wydający, Marynka rumieniła się z radości, stawała się usłużniejszą jak zwykle, i widocznie błogie jakieś uczucie budziło się w jej sercu. Nie było w tym zapewne nic nadzwyczajnego; bo litość, współczucie, łagodne przemówienie, nieraz nawet pieszczota, słowem wszystko co w nędżnym życiu zebrzącego dziewczęcia pociechą być mogło, pochodziło najczęściej od zamożnych i ukształconych osób, kiedy prości i ubodzy, od pierwszych chwil istnienia, cierpienie jej byli przyczyną. Pani Mościcka jednak inaczej to sobie tłumaczyła. Baczna na wszystko, spo-

strzegła różnicę zachodzącą w obejściu Marynki, i nieraz mawiała do męża:

— Przysięgłabym, że to szlachcianka! Poznaje swoich z zamkniętymi oczyma.

— Bo jej Jejmość może czem takim głowę nabiła?

— Broń Boże! już ja wtenczas poznałam że to nie żebracze dziecko, kiedy w kruchcie u Fary w płachcie płakało, i pewna jestem że dla chłopięcia albo mieszczucha, nie byłoby mi tak serce zadrżało.

— Co tam! szlachcic czy nie, to każdy człowiek, bliźni chrześcijanowi.

— Jużci; ale Jegomość sam wiesz, że szlachcic szlachcicowi jeszcze bliższy!

Niech to nie dziwi nikogo, że staruszkowie nad straganem siedzący, gotowi na usługi każdego kupującego u nich bułkę za grosz lub pierniczek, czuli się wyższymi nad mieszczan zamożnych i niezależnych; często bardzo spotkać się daje, tak między drobnymi handlarzami jak i rzemieślnikami, drobną szlachtę, która przyjmując wszystkie warunki i korzyści bytu mieszczanina, wywyższa się w własnym przekonaniu wspomnieniem, że wzięła życie na oj-

cowskim zagonie, lub pierwsze lata dzieciństwa na usługach sług pana jakiego spędziła. Co dziwniejsza, to, że kobiety skłonniejsze są do podobnej pychy; mieszczanki warszawskie od dawna zamożne, nie wynoszą się nigdy z majątku zebranego pracą uczciwą, ale rzadko która zapomni, że jej ojciec służył, a przynajmniej widywał którego z znacniejszych panów; że jej matka lub ona sama, gdzieś tam w Garderobie, lub nawet na folwarku pańskim się wychowała.

Taką też była i stara Mościcka. Poważana powszechnie dla poczciwych obyczajów, po-

bożności, a może trochę i dla grosiwa, którego się u starych domyślali ludzie; wyobrażała sobie, że tym talizmanem uszanowanie dla niej nakazującym, było jój szlachetne urodzenie. Tém tylko od wielu innych prawdziwie wyższą się okazywała, że prawość i pracę uważała za konieczne warunki bytu każdego człowieka, i w tych zasadach wychowywała téż Marynkę. Nie dość na tém było, że dziewczę pomagało w ustawieniu i sprzątnieniu codziennem kramu, w ugotowaniu obiadu; nie należało jeszcze tracić pozostałych godzin; Marynka posługiwała

nieraz i u pani Koprowej, a za to Anusia uczyła ją chętnie szyć i cerować. Wesoła i wyrazista twarzyczka dziewczęcia, ujęła dla niej, córkę bogatego złotnika mieszkającego w tym samym domu na drugiem pięttrze; od pojedynczych wyrazów, od przypadkowych przysług, przyszło w końcu do tego, że biedna sierotka codzien po parę godzin spędzała w domu złotnika, i tam pod tkliwym kierunkiem młoděj Zofji, nabywała pierwszych wiadomości; uczyła się czytać i pisać, kształciła serce i rozwijała umysł długo skrępowany smutnemi okolicznościami dzieciństwu jój to warzyszącemi, lecz budzący się za to z podwójną siłą w nowém, i o tak wiele szczęśliwszém położeniu.

— Ucz się moje dziecko! mawiała stara Mościeka, kiedy ci Bóg sposobność zsyła, bo my nie mamy za co posyłać cię do szkoły; a odwdzięczaj się jak możesz!

Nie trzeba było powtarzać tego sierocie; najtkliwsze, najsilnijsze jój uczucia odnosiły się

do tych trzech osób, których opieka wspierała i uzacniała jęj życie.

Z głębką wdzięcznością i poszanowaniem poglądała na straganiarkę; z ochoczą i czynną

Anusią łączyło ją mimo różnicy wieku pogodne przyjaźni uczucie, a dla Zofji która rozmową i trafnym dobozem książek, otwierała przed nią coraz szerzej krainę światła i czucia, która ją braterską otaczała troskliwością, nosiła w sercu najtkliwsze przywiązanie; z czcią prawdziwą zbliżała się do nięj, ze łzą w oku wspominała jęj imię.

V.

## SALON MIESZCZANINA.

Nie określam bynajmniej tym wyrazem owych obszernych, świecących, w wielkich tylko okolicznościach używanych pokoi, o które starają się ludzie bogaci, już to z położenia swego, już z braku ukształcenia skazani na poglądanie tylko zdaleka na dobre towarzystwo i powierzchownie tylko potrzeby jego rozumiejący; owych ścian ciężkimi bronzami jaśniejących, podłóg krzyczącymi dywanami zasłanych, słowem, nie wspominał tu owych przybytków złęgo smaku, gdzie wszystko, od olbrzymionędznych malowideł w złocone ramy ujętych,

aż do pospolitych drobnostek na kominku ustajonych, świadczy, że same pieniądze w jakiegokolwiek ilości sypane, nie zastąpią nawet lekkiego pomysłu uzacnionego ducha ludzkiego. Salonem mieszczanina nazywam po prostu miejsce, jakkolwiek zgodne z położeniem właściciela swego, gotowe w każdej chwili na przyjęcie obcych; miejsce, gdzie po ukończonym zajęciu dziennym zgromadza się rodzina, by sobie nawzajem doznanych wrażeń udzielić, by swobodniej umysłowo odetchnąć życiem.

Taki salon, choć w każdym domu inaczej urządzone, znajdziesz u niezamożnych kupców, u urzędników z małej pensji siebie i rodzinę utrzymujących, u rzemieślników, których praca nie na samej tylko sile rąk polega; słowem, w każdym domu, gdzie chwile wolne od starań o fizycznego życia potrzeby, poświęcają ku rozwinięciu władz moralnych.

Takim też był pokój, w którym były złotnik Wyżewski, zazwyczaj gości przyjmował. Na pierwszy rzut oka znać było, że salonu tego nie urządzone od razu, że sprzętów jego nie skupowano hurtem w magazynie; nie było tu owej rażącej jednostajności, która w najmniej-

szych nawet drobnostkach usiłuje tę lub ową przypomnieć epokę. Obok modnych w gotyckim niby kształcie skórą zieloną wybitych krzeseł i kanapy, stał stary ogromny, miękko wysłany i utrechtskim aksamitem pokryty fotel,



w którym zazwyczaj siadywała stara matka złotnika; przed nią, zaczęta siatka do kościoła, otwarta książka nabożna i szyldkretowe okulary leżały zwykle na małym staroświeckim stoliku, którego blat tysiącem gatunków drzewa wykładany, i nogi pracowicie rzezane, zdawały się żartować z tych kwiatków i arabesków z jednej sztuki wrykrawanych i widejanych w terażniejsze nasze sprzęty, niby nowo wynalezione ozdoby. Na kominku, pod ogromnym zwierciadłem w grube dębowe ramy oprawnym, ustawiano prześliczne brązowe i porcelanowe naczynia, nie tyle materyałem, ile kształtem i wykończeniem szacowne; na gładkich z czarnego marmuru kolumnach, stały w dwóch rogach pokoju trzyramienne kandelabry z matowego srebra, których wyrobienie, za arcydzieło uważać było można; przy ścianie fortepian Warszawskiej fabryki Buchholtza, cienką tylko niteczką brązową ozdobny; u okien podwójne

firanki, jedne z cieniutkiego muślinu wążką ale prawdziwą koronką oszyte, w niezliczonych fałdach spływając od wysokiego sufitu, czepiały się o łokieć od podłogi, za ślicznie z ciemnego brązu wyrobione gałązki bluszczowe; drugie firanki z zielonej jedwabnej materyi przy samych szybach okna zawieszzone, urządzone w taki sposób, że za pociągnięciem sznurka można było urządzić sobie do woli pewien stopień światła lub cieniu. Każde z trzech okien tego pokoju w grubym murze wykute, tworzyło głęboką framugę, i każde na inny użytek było przeznaczone.

W pierwszym od wnijscia, przed małym staroświeckim biurkiem pokrytym rozlicznymi utworami rzeźby, siadywał najczęściej sam Wyżewski.

Człowiek ten, syn zamożnego złotnika, z upodobaniem obrał stan ojca; wychowany bogobojnie, spędził młodość swoją nieskaziwszy jęj żadnym z owych namiętnych wybryków, które zazwyczaj przebacząją młodzieży, niepomną jakie to one nawyknięcia wprowadzają w życie dojrzałego człowieka. Pod przewodnictwem ojca kształcił się w obranym zawodzie, w towarzystwie tkliwej rozsądnej matki nabywał coraz

obszerniejszych pojęć o przeznaczeniu i powinnościach człowieka. Odrzucony od szczerze ukochanej dziewczicy, z upoważnieniem rodziców puścił się na wędrówkę po obcych krajach, w podwójnym celu: rozerwania trawiącej go tęsknoty i smutku, i doskonalenia się w sztuce złotniczej. Po pięciu latach podróży, wezwany do owdowiałej matki wrócił nakoniec do rodzinnej ziemi, nie tęsknym i nieśmiałym młodzieńcem, ale światłym, gotowym do zapasów z życiem mężem.

Nabywszy w Niemczech gruntownej znajomości swęj sztuki, we Francyi zdobywszy tajemnicę zewnętrznej piękności, prawdziwego jęj pojęcia poszedł szukać we Włoszech, w Florencyi, patrząc na nieśmiertelne dzieła Celliniego, w Pompei, odgrzebując cudne etruskie posagi i naczynia. Oprócz sztuki, zgłębiał równie pilnie warunki bytu tych co się jęj poświęcają; uważał ile to jeden człowiek właściwym kierunkiem nadanym pracy drugich, słówkiem zachęty, objaśnieniem stosowném, lekką materialną pomocą, ile to mówię machinalnych ro-

botników do godności sztukmistrza podnieść, ile

zagrzebanych zdolności odkryć, ile dusz od poniżenia i nędzy uchronić można.

Pierwsze prace jego po powrocie do kraju, różne zupełnie od wszystkiego co dotąd u nas widziano, z podziwieniem przyjęte zostały; lecz wkrótce ocenione przez znawców, przez znakomite osoby nabyte, zjednały mu niesłychaną wziętość. Wyżewski nietylko że sam wydołać nie mógł licznym żądaniom, ale wkrótce nie mógł już nawet znaleźć tylu zdolnych pomocników ilu ich potrzebował; można wprawdzie było niewielkim kosztem sprowadzić z zagranicy umiejętnych złotników, ale on wolał zrzec się zysków własnych dla dobra ogółu. Zaczął sam kształcić robotników, a kształcił nie same ręce lecz razem i ducha; nie żałował pracy, nie zrażał się niepowodzeniem, w własném tylko przekonaniu nagrody szukając; i patrzcież! Zamiast strat materialnych na które się obojętnie gotował, powiększały się jego korzyści; wyroby jego pracowni im mniej liczne, tém bardziej cenione były; przepłacano, wydzierano je sobie; majątek złotnika rósł olbrzymio, dom jego wzrastał, a stara matka nie mogąc już wydołać

wszystkiemu, coraz mocniej nalegała na syna by się ożenił.

Trudny był wybór; bo gdzie serce do zwią-

zku nie nakłania, tam umysł wiele, zbyt wiele wymaga. Jednakże po jakimś czasie Wyżewski pojął w małżeństwo córkę znanego z poczciwości mieszczanina; nie czuł wprawdzie dla niej tej miłości głębokiej, jaką poczciwe dusze raz tylko w życiu czuć są zdolne; ale tkliwe przywiązanie, coraz większym szacunkiem wzrastające, wystarczało do zupełnego szczęścia tego stadła. Może czasem pani Wyżewska znająca historię pierwszej męża swego miłości, żałowała pocichu, że nie ona była jej przedmiotem; może smętną powagą jego charakteru dawnym wspomnieniom przypisywała; ale te wszystkie myśli jak powstawały, tak i umierały wyłącznie w jej duszy nie spostrzeżone od nikogo. Na jej twarzy zawsze widziano pogodę, nigdy żadna sprzeczką nie zasępiła domowego pożycia złotnika, a przecież była to tylko jedność dusz i uczuć; jedności pojęć nie było! W skromnym wychowana ustroniu, gospodarstwu i rodzinie oddana żona złotnika, na drodze umysłowego rozwinięcia nie do-

sięła męża, i więcej do jego matki przystawała.

Osamotniony pod tym względem Wyżewski, mocniej niż kiedykolwiek czuł całą wielkość skarbu, jaki w wykształceniu ducha posiadał, coraz goręcej pragnął go przelać na jedyne swoje dziecko, ukochaną Zosię. Dziewczynka jakby zgadując myśl ojca, przystała do niego duszą i sercem, i te chwile za najszcześniejsze uważała, które jej na rozmowie z ojcem spędzić było wolno.

Kiedy po kilkunastu latach pożycia złotnik utracił żonę, postanowił poświęcić się wyłą-

cznie wychowaniu córki; pracownię swoje przekazał najzdarniejszemu z ukształconych przez siebie złotników, znaczny majątek zabezpieczył tak, że mu tylko dochód bez kłopotów przynosił, i w cichém domowém szczęściu, w oględném wspieraniu potrzebnych, w ciągłym postępie za ogólnym umysłowym ruchem, zupełnie znalazł uspokojenie.

Pod jedném więc oknem salonu siadywał Wyżewski kiedy się lekkim zabawiał czytaniem ; tu przeglądał książki które w ręce Zosi przejść miały, nie w celu wycinania lub wy-

kreślenia z nich zdań mniej upowszechnionych, lecz w zamiarze zrozumienia dążności pisarza, w chęci sprostowania wyobrażeń, których dziewczę nabrać ztąd mogło.

Okno środkowe ulubioném było babuni; stąd ona w piątki i niedziele wyglądała na ożywiony targiem rynek, ztąd odkrywała nowe zapasy dla swojej spiżarni, tu wreszcie, patrząc na figury N. Panny i Świętej Anny stojące na dachu przeciwległego domu, odmawiała wieczorne pacierze.

W ostatniém wreszcie kątowém oknie, zastawioném starannie utrzymanými kwiatami, była ulubiona Zosi siedziba; trzcinowe krzeselko, takież stolik z koszykiem, na stoliku bursztynowe po matce pudełko i hebanowa szkatułka, której srebrne ozdoby ojciec własną wyrobił ręką, a w nich narzędzia do rozmaitych robót kobiecych, to były całe téj framugi sprzęty. Tak każde siedząc w swoim kąciku nieraz długie przepędzali godziny, szczegółowe zajęcie

ogólną umilając rozmową.

Powiodło się Wyżewskiemu wychowanie córki. Zosia stała się taką, jaką on zawsze marzył kobietą. Tkliwego serca a mocnego

ducha dziewczyna, zdolną i gotową była do każdej pracy, do każdego rodzaju poświęcenia. Od pierwszych chwil dzieciństwa widziała ojca zajętego polepszeniem bytu współbraci, zatapiającego się w nauce, w sztuce szukającego wytchnienia; ona też starała się każde spotkanie cierpienie złagodzić, udzielane nauki zgłębiać o ile było można i w nich się doskonalić; a sztukę, natchnienie i dar szczególnie odebrawszy od natury, ukształcona w niej od najlepszych mistrzów, sztukę poświęcała na uweselenie dni ojca, na chwałę Stwórcy.

Zosia cudny głos miała z dzieciństwa; małeńkie jeszcze dziewczę dziwiło sąsiadów szczególną siłą i rozciągłością dźwięków, znawców zdumiewała uczuciem z jakim gminne a smętne wygłaszała piosenki; nieraz matka siedząc nad robotą ocierała łzy z oczu słysząc śpiewy Zosi; nieraz babka żegnała się w zadumaniu, a ojciec promiennym wzrokiem patrząc na jedynaczkę, zawczasu obmyślał środki należytego pielęgnowania tego daru bożego. Nie brakło ich bogatemu mieszczaninowi; krajowi nauczyciele i przejeżdżający obcy artyści, doskonalili nie tylko głos Zosi, lecz udzielali jej głębokiego,

świętego, że tak powiem przejęcia się sztuką, wcześniej rozbudzali natchnienie któreby może bez ich pomocy, dopiero szczególne okoliczności życia sprowadzić mogły.

Z własnego pociągu, i dla dogodzenia pobożnej babce, Zosia nad wszystkie rodzaje muzyki, przenosiła poważny uroczysty śpiew religijny; na tej trudnej drodze nabywała coraz więcej tej rozcią-

głości głosu, tej czystości dźwięków i prostoty wzniosłej, które wkrótce śpiew jej do wielkiej doskonałości doprowadziły.

Zosia śpiewała nieraz w kościele, ale było to zawsze bez poprzedniego oznajmienia komukolwiek; w towarzystwie babki zasiadała w kąciku chóru, i zakrywszy twarz czarną zasłoną, modliła się śpiewem jak kto inny modli się słowami, nie domyślając się, że liczni słuchacze głos jej podziwiać i zdolność głosić będą. Nieraz w domach z którymi Wyżewski bliższe miał stosunki, córka jego śpiewała najtrudniejsze utwory dawnych i terażniejszych mistrzów, nie domyślając się nawet dawno już pokonanych trudności; nieraz w chwili rozrzewnienia siadłszy do fortepjanu, wygłaszała bez słów doznane wrażenie i tęsknotą, smutkiem, bo-

leścią przejmowała zdumionych słuchaczów.

Wszystko to było dla niej prostą, naturalną rzeczą; ale po Warszawie, a nawet i dalej coraz głośniejsz rozchodziła się sława panny Wyżewskiej, coraz goręcej pragniono usłyszeć ją publicznie.

Pewnego wieczoru w salonie mieszczanina, przy okrągłym stole zarzuconym książkami i ry-

cinami, zebrało się małe towarzystwo; babunia przez okulary robiła nieskończoną swoją siatkę, przysłuchując się rozmowie; Zosia z pomocą drewnianych gałeczek i srebrnych szczypczyków, wyrabiała z kolorowych papierów kwiaty do kościoła; dobra jej znajoma Józia, dziergając szydełkiem kobierczyk wełniany, żartowała serdecznie z swego brata, który udając znakomitego botanika, dowodził dziewczętom ile to żyłek powinno być w każdym listku, i o ile naśladowane kwiatki Zosi od natury odstępują; a w końcu niewprawną ręką począł jej z zielonego papieru wzory wystrzygać.

Na kanapie, matka obojga rodzeństwa rozmawiała z Wyżewskim, o nowościach które

jeżdżąc do Niemiec na kurację spostrzegła, o wspólnych znajomych których tam spotkała.

— Mój Antosiu! zawołała Józia; zamiast karykaturować biedne listki, przeczytałbyś nam lepiej co nowego.

— Naprzykład? u nas wszystko tak lekko, tak powierzchownie piszą! Prawdziwie, zdaje mi się że żartują z czytelników biorąc ich za dzieci.

— Nie śmieję się Zosiu! on biedny jeszcze zapomnieć nie może, że w Berlinie patrzył na ciężkie kursą filozofii.

— Patrzył! przecież posiadając język niemiecki

— Mogłeś i słyszeć; nie przeczę, tylko nie w mówisz we mnie., abyś co rozumiał.

— Moja Józiu!

— Co tam! dajmy pokój ciężkim rozumom;



poświęć się dziś dla nas, i przeczytaj co lekkiego; ot, ostatni tom Sfinxa naprzykład, bo trzy jużśmy czytały.

— Czy to warto? jak mogą być dobre te dzieła co to rodzą się, gdyby z rękawa wytrąsane? potem—  
wszyscy krytycy nasi zgodzili się,

że Sfinx, choć niby o sztuce traktuje, lekko tylko i niedokładnie ją dotyka.

— Niestety, wtrącił Wyzewski: przejmując tyle od obcych, nie uchroniliśmy się również mieszania do powieści naukowych przedmiotów; i my pewnie będziemy mieli muzyczne, architektoniczne, może matematyczne romanse, jak we Francji lub Niemczech.

— Alchemiczny już mamy, przerwała Józia,

— Ja w powieści szukam tylko ludzkich charakterów, rzekła Zosia; szukam obrazów z życia prawdziwego, patrzę na wzruszenia serca w drobnych na pozór zdarzeniach, a im bardziej pisarz wnika w głąb duszy swoich bohaterów, im dokładniej ich odmaluje, tém więcej przyznaję mu zalety.

— Pod tym względem powinien cię był Sfinx zadowolnić.

— O zupełnie! to dzieciństwo i młodość Jana, owego sztukmistrza w duszy, tak pełne gorzkich choć zwyczajnych boleści — ciężkie życie jego matki siłą charakteru i macierzyńską miłością dzieci swoje od wpływu z zwierzęco-

nego ojca broniącój; spotkanie osierociałój mat-

ki i pełnego nadziei syna; są to cudownój naturalności obrazy!

— Tylkoż daruj pani, że Jana dziwne unika nie od Miss Rozy, wychodzi z granic naturalności.

— Wcale nie braciszku! przerwała Józia; czyż dla tego że jój się podobał, miał ją zaraz pokochać? dla tego że była bogatą, miał się dla niój wyrzec całej od tak dawna wymarzonój przyszłości?

— Jedno tylko nie podoba mi się w Sfinxie; dorzuciła matka Józi i Antosia, to: że Jan przy całym swoim talencie, nie umiał żonie i dziecku utrzymania zapewnić.

— O pani! prosiła Zosia; smutnéni to jest ale prawdziwém zjawiskiem. Jan miał talent, ale nie miał gienjuszu; to tłómaczy wszystko co w jego charakterze nienaturalném się zdaje; z potężném gienjuszu natchnieniem, byłby wszystkie zwycięzył zawady, byłby się wzniósł wśród współczesnych, a niedbał o ich zdanie; z talentem tylko i z słabym, okolicznościami spaczonym charakterem, razem za sławą i za domowém szczęściem gonił; dla tego się i z jedną, i z drugiém ominął.

— Niech i tak będzie! ale darujcie panie że Sfinxa czytać nie bede; za wiele sie o nim nasłuchałem.

— To przerzucć które z pism czasowych; od pół roku nie czytałeś nic w Polsce wydawanego, i ja także.

— Kiedy mię strach zdejmuje tak tego dużo; aa! Biblioteka Warszawska! ja przed każdą biblioteką z uszanowaniem uciekam. Dzwon literacki! Przegląd naukowy! I niechże mi kto powie, jakie owoce przyniosły te pisma?

— Panie Antoni! rzekła milcząca dotąd babunia! a znasz Waćpan ową ewanieliczną powieść o ziarnach posianych?

— Oh! to żart był tylko; rzekł Antoś zarumieniony; któżby nie przyznał zasługi pismom które najlepsi nasi pisarze wspierają; ktoby nie uwielbiał powieści Gabryelli?

— Książki pamiętek, tego obrazu tak wykończonego, tak Umiejętnie z najodrębniejszych charakterów złożonego.

— W którym, dodała Zosia; nie tylko siła ducha, świetna wyobraźnia, ale i tkliwsze głębsze autorki uczucia spotykamy.

— Podług mnie, przerwał Antoś, ta powieść za blada

Dziewczęta zapatrzyły się w robotę; a w tém drzwi uchylono, i czarno ubrany służący rzekł:

— Pani hrabina Przyjemaska!

Babunia spojrziała z pod okularów na syna, mówiąc — Prosić!

Jeszcze zapowiedziany gość nie wszedł do pokoju, gdy tenże sam służący wróciwszy, za-

wołał :

— Pani baronowa Zmijewicz!

— Prosić! odpowiedziała jeszcze babunia, ale i jej i wszystkich obecnych oczy zwróciły się ku drzwiom, bo te podwójne odwiedziny nie były zwyczajną rzeczą.

Wkrótce, razem prawie obie panie weszły we drzwi salonu. Zosia powstawszy podbiegła ku starszej z nich, niewiasty lat średnich poważnej postawy i miłego wyrazu twarzy, i powitała ją jako dawną i cenioną znajomą; takiegoż przyjęcia doznała ona i od innych członków rodziny Panią Baronową, młodą wytworną choć nie ładną kobietę, powitano zwyczajną uprzejmością, i po pierwszej chwili kie-

dy wszyscy miejsca swoje zajęli, rozpoczęła się rozmowa.

— C'est singulier! rzekła baronowa, że dziś już po raz drugi niespodziewanie się spotykamy!

- Poczęści moja w tém wina, odpowie hrabina, miałam tu być dopiero jutro rano; ale kiedy mam co na sercu, to mi trudno całą noc przeczekać. Otóż , kochana nasza kasztelanowa (u której spotkałyśmy się dziś rano) dała mi przy pożegnaniu zlecenie.... do ciebie Zosiu!...

— Cóż mi pani kasztelanowa każe?

— Widzisz kochanko! postanowiono i oznajmiono już, że w przyszły wtorek śpiewasz w koncercie na ubogich.

— Ach! przerażasz mnie pani; myślałam że to tylko w zamiarze zostanie.

— Comment? Panna Wyżewska z swoim tak powszechnie uznanym talentem, tyleby była nieśmiałą? mais c'est un charme de plus!

— Pani Baronowa zbyt na mnie łaskawa, ale choć ja zwykle dość śmiało śpiewam między znajomymi a miłymi, drzę na samą myśl, że tyle obcych osób słuchać mnie będzie.

— To też przewidując twoją trwogę, kaszte-

lanowa chce, żebyś była u niej jutro; naradzą się co masz śpiewać, a w sobotę lub w niedzielę, przy większym jak zwykle zebraniu, odbędzie się próba, nie śpiewu, ale odwagi twojej kochanko!

— Nietylko więc w jedném miejscu, ale nawet w jednym celu spotykamy się hrabino! rze kła baronowa; bo i ja chciałam prosić pannę Wyżewska, żeby jedną z koniecznych prób przed koncertem u mnie odbyć chciała.

— Wdzięczni jesteśmy pani, wymówił nie bardzo chętnie złotnik.

— ! takby mi było przyjemnie usłużyć Zosi; tembardziej, że w czwartek jak zawsze, zbierze się u mnie małe grono prawdziwych znawców muzyki; może przed wielką próbą u kasztelelanowej, spróbowałaby na mniejszym polu swego męztwa Zosiunia?

Kłopotliwa dla wszystkich chwila milczenia nastąpiła. Hrabina ciekawie wyglądała odpowiedzi. Baronowa mimo całą umiejętność pokrywania swych myśli, ledwie mogła utaić niecierpliwość i gwałtowną żądzę dopięcia swego zamiaru ; babka i ojciec Zosi zgadzali się myśla

na odmowną odpowiedź, ale wydać musiała ją panienka sama.

— Daruje pani, rzekła bez przymusu Zosia, że jój uprzejmości przyjąć nie mogę, bez poprzedniego uwiadomienia pani kasztelanowój.

— Dla czegóż to?

— Pierwszy pomysł użycia mego głosu ku wsparciu nieszczęśliwych, powstał u kasztelanowój; ona zajęła się tém szczerze, i z serdeczną życzliwością kieruje tym pierwszym krokiem moim w nieznanie dotąd położenie; ubliżyłabym jój zatem, wyprzedzając lub krzyżując jój zamiary.

— C est vrai! A ja zupełnie zapomniałam, ile panna Zofja winna kochanój kasztelanowój.

— O! wiele, zapewne! jój dobroci winną jestem nietylko tę trochę zewnętrzną ogładę, którój się w lepszym nabiera społeczeństwie; ale poznanie tylu ludzi szanownych i światłych, i to słodkie przekonanie, że im kto wyższy prawdziwą zasługą, tém snadniej do maleńkich się zniża.

— Zbliża, chciałaś powiedzieć.

— Dobrze mówisz; bo zniżenia, ani ja, ani tyle młodych osób co się pod okiem kasztela-

nowój rozwinęły, zniżenia żadna w niej nie spostrzegła. Owszem ona wszystko ku sobie podnosi.

— Więc jeżeli kasztelanowa pozwoli, to mogę się spodziewać, panno Zofjo? wycodziła ba-

ronowa przez białe ząbki.

Zosia odpowiadająca wdzięcznym wzrokiem na ściśnienie ręki uweselonéj hrabiny, otwierała usta do odpowiedzi.....

— Gdyby mój głos znaczył co u ciebie Zosiu, rzekła Józia, to jedną tylko odbyłabyś próbę.

— Et pourquoi s'il vous plait?

— Bo śpiew twój do wtorku jest własnością ubogich, i nie należy niebacznie nią szafować; domówiła figlarka nie patrząc na baronowę.

— Qui est cela? spytała zcieha baronowa, z pańską bezczelnością mierząc Józję lorynetką.

— Panna Sędzicka, przyjaciółka moja; odrzekła Zosia głośno i poważnie.

— A to? zagadnęła elegantka dla pokrycia zmieszania i niechęci swójej, widząc wchodzącego do salonu młodego mężczyznę; ale skoro

się zbliżył dla powitania gospodarstwa, zarumieniła się gwałtownie.

— Jakto panie Zagórski! zawołała zmuszając się do uśmiechu; aż tu cię spotykam? Wyznaj że to niegrzecznie; cały tydzień jestem już w mieście i nie pokazałeś się

— Właśnie wracam od pani, chciałem jój oddać listy od mojej matki.

— Kiedyż przyjeżdża? pytała hrabina witając szczerze młodzieńca.

— Co chwila jój się spodziewam.

I zaczął rozmowę z siedzącými bliżej stołu.

— Que fait il ici? pytała baronowa hrabiny; on co się nigdy między nami ani pokaże, tu domowym się być zdaje.

— Mieszka w tym samym domu.

— I cóż to tłómaczy?

— Znać że mu się tu lepiej jak z nami podoba.

— O! nie wątpię! i złośliwie błysnęła siemi oczyma na Zosię, swobodnie z nowo przybyłym rozmawiającą.

— Cóż się z panem dzieje kuzynku? Dodała głośno i uprzejmie; zagrzebałeś się podobno w naukach, aż nas straszą twoją mądrością!

— Nauka bywa wprawdzie drogą do mądrości, ale ja dopiero rozpoczynam tę podróż.

— Ale, powiedzże mi szczerze; chcesz być uczonym dla sławy?

— Broń Boże! nigdy nie chciałem być uczonym!

— To czegoż tak pracujesz, zagrzebujesz się w książkach?

— Pracuję, dla dopełnienia obowiązków człowieka.

— Par exemple! jakież obowiązki zmusza hrabiego Zagórskiego do pracy?

— Czyż nie ludzkości należy się danina z tego cośmy od niej wzięli? czyliż ziemi co nas piastuje, ziomkom co wraz z nami i dla nas pracują, nic winni nie jesteśmy?

— To pięknie ! Jużci mieliśmy między sobą uczonych, Ossolińskich, Mostowskich, Raczyńskich; rozumiem, że protegować pracujących godzi się nam, ależ o panu mój kuzynie, dziwne rzeczy prawią

— Naprzykład? moja baronowo! rzekła z uśmiechem hrabina.

Powiadają że został doktorem?



— Żarty kochanie! poszlij po niego w czasie migreny, zobaczysz czy przyjdzie.

— Może pan Zagórski migreny nie leczy; ozwała się prostodusznie babunia, ale ja znam kilkanaście osób, które z tyfusu, ospy, prawie z suchot uzdrowił.

— Co? bez żartu chodzisz do tak ciężko chorych? rzekła otwierając flakonik hrabina.

— Ależ to jest oryginalność niepojęta! Powiedziałam już, robisz to pan dla sławy?

— Tysiące ludzi życie temu zawodowi poświęca, a przecież imienia ich potomność znać nawet nie będzie.

— Ale współcześni?

— Chorzy, i to póki nie wyzdrowieją.

— Zawsze to co innego; boć przecie pan za leczenie nie przyjmujesz wynagrodzenia?

— A czemużby nie? zapytała babunia.

— Jakże? gdybym twojej porady zażądała, przyjąłbyś?....

— Krewnych w jakimkolwiek stopniu nie leczymy sami; rzekł z uśmiechem młodzieniec.

— Czyliż wynagrodzenie sumiennój pracy UJ-

muje jój wartości? spytała pani Sędzicka.

— I jestże kto, coby za trudy swoje nie żądał, nie spodziewał się w ten lub ów sposób nagrody? dodał jój syn.

— I jestże kto co by jój nie przejął, szepnęła Zosia; kiedy tą nagrodą jest łza lub modlitwa uratowanego? A oczy jój z takim wyrazem spoczęły na twarzy lekarza, że pewnie za trudy całego życia nie pragnąłby miłszego wynagrodzenia.

Pani baronowa zbita z toru, nie chciała przecież wychodząc sama uznać się za zwyciężoną, przedłużała zatem ile mogła rozmowę.

— Wolałabym jednak widzieć pana jakim artystą, to nas jakoś nie tyle razi; czemuż, kiedy tak koniecznie pracować chciałeś, nie oddajesz się malarstwu, muzyce?

— Przydałby się na czwartki, szepnął złośliwy Antoś.

— Zbyt jestem prozaicznym, odrzekł Zagórski, by inaczej jak prostym czynem lub słowem współzucie moje malować; chociaż podziwiam utwory pędzla kiedy nim natchnienie kieruje (dodał pochylając się przed Józią), chociaż....

i spojrzał głęboko w oczy Zosi — chociaż wdzięk harmonii w głębi duszy czuję.

Nagle zabrzmiała pocztowa trąbka od przeciwniej strony rynku, odgłos jej i turkot powozu zbliżał się ku domowi, młody lekarz podniósł się szybko, pożegnał wszystkich jednym ukłonem.

— To moja matka! rzekł patrząc na Zosię, i w chwilę już go w salonie nie było.

— Czy i pani Zagórska tu mieszka? pytała baronowa?

— Syn razem dla siebie i dla matki najął mieszkanie, którego sobie oddawna życzyła, rzekł Wyżewski.

— To patryarchalnie! pewnie ją dawne więzłą wspomnienia. Partez vous comtesse?

— Pamiętajże Zosiu, rzekła wstając hrabina: jutro wracając od Fary zajadę po ciebie.

— Żałuję że panna Zofja nie przyjęła mojej propozycji, ale proszę już tą drobnostką nie trudzić kasztelanowej: przemówiła baronowa, ukrywając gniew i żal, że jej się znów nie udało zaćmić zewnętrzną świetnością, prawdziwego bo z serca płynącego światła, które dom

sędziwój matrony roztaczał szeroko; że plebeje, mieszczenie, nie przyjęli zaszczytu jaki im zrobić chciała!

## NIC Z TEGO.

Pomimo złowrogich wykrzykników stróża Krysztofa, w chwili kiedy robotnik z fabryki żelaznej o ożenieniu się zamyślał; oświadczenie Jerzego mile przez panią Koprowę i jej córkę przyjęte zostało, i po wielu namysłach i naradach, w brew bratowej, która przedstawiała że na wiosnę, kiedy ani opału, ani zapasów tyle nie potrzeba łatwiej nowe gospodarstwo urządzić; stanęło na tém, że w ostatnią przed adwentem niedzielę odbędą się zaślubiny.

Powiedział ktoś, że nadzieja jest najwyższym szczytem szczęścia ludzkiego; a zdanie to

sprawdzało się codziennie dla młodych narzeczonych; nigdy Jerzy tak gorliwie nie pracował w swojej fabryce, nigdy Anusia ochotniej nie krzątała się koło domu, nigdy zwawiej nie przeciągała igielki jak od chwili zaręczyn; bo też prócz zwyczajnego zatrudnienia, trzeba było o jakiej takiej wyprawie pomyśleć, trzeba było matce i bratu wszystko w największym porządku zostawić.

Poczciwa Koprowa dobywała z szuflad i kuferków różne stare chusty; tu się znalazł dawny fartuch rąbkowy, z którego można było z sześć czepeczków dla młodej mężatki wykroić; tam odwieczna ale wcale jeszcze nie zła perkalowa kotara, przeznaczono ją na potrzebniejsze poszewki; od rana do wieczora poczciwe matczysko przemyślało tylko, coby jeszcze dać, czémby się jeszcze z Anusią po-

dzielić mogła; w kuchence swojej przy gotowaniu posiłku wykrawała tajemnie kolorowe trójkąty z rozmaitych kawałków, i zszywała je z pomocą Marynki, bo w braku świetniejszej, taką samą jak u matki kołdrę musiała mieć Anusia.

Roztrzepany ale serdecznie siostrę kochający Stasio, za kilkanaście groszy które sobie

tygodniowo zbierał ucząc synka szewca, sąsiada z drugiego domu, nic już nie kupował tylko tekturę a papiery, żeby Anusi na wszystkie jej drobnostki ozdobnych pudełek dostarczyć.

Jerzy oprócz zwyczajnych godzin, pracował osobno pod kierunkiem fabrycznych mechaników, bo chciał doskonalać się. okazać wdzięczność swoją właścicielowi zakładu, który przyrzekł oddając mu sprawiedliwość, umieścić go na liście najzdalniejszych robotników, i przedstawić to zdanie swoje dla wyłączenia młodzieńca od wojska. Zawsze jednak znalazło się tyle czasu, że Jerzy co wieczór kilka godzin przepędził wśród przyszłej swojej rodziny. Wtedy u Koprowej zbierali się bracia i ojciec Jerzego, rozmowa szła żwawo, żwawiej jeszcze robota kobiet, bo ręce ich tak nawykły do czynności, że każda radość, każda nadzieja, podwyższając moralne władze, i fizyczną żywość podwajała. Często także, jeśli wieczór był piękny, Anusia z Jerzym i matką, lub kiedy ta była zajęta, ze Stasiem tylko szli ku zamkowému tarasowi, i tam czystém oddychając powietrzem, poglądając ze wzgórza na Wisłę i brzeg jej przeciwny, układali całą

przyszłość swoją. Jerzy obawiał się czy Anusi nie będzie za mało tego co on zarobi; ona żartowała dowodząc jak jój teraz mało potrzeba.

— Jednak mogą przyjść chwile braku: ja - czasem tak się czuję zmęczonym, że dzień i dwa odpoczywać muszę, a za dni odpoczynku nie płacą!

— Czyż to moja igielka u matki na pamiątkę zostanie? mówiła śmiejąc się dziewczyna, małe to narzędzie, ale przy pilności wiele nią zrobić można i lekko, nie męczy.

I tak gwarzyli wywołując nawet smutne na przyszłość obrazy, żeby je zatrzeć co prędzej, i rzucali ciężkie, smutne pytania, żeby na nie słodką usłyszeć odpowiedź.

Kiedy czasem Jerzy coś o ślicznych czarnych oczach Anusi powiedział:

— A gdyby się zamknęły? pytała.

— Broń-że Boże! ale czyż to ja oczy, czy duszę panny Anny kocham?

— Biedna dusza! żartowała Anusia, jakby nie miała którejdy wyjrzeć, to by ją zapomniano!

— Czy tak? więc zapomniałabyś i porzuciła mnie także, gdybym jak ten żebrak chodził o szczudle i kiju? odpowiadał mszcząc się Jerzy.

A Anusia ściskając rękę narzeczonego, odpowiadała więcej wzrokiem jak głosem:

— Nigdy!

Stasio zaś goniący za motylami lub ptaszkami, usłyszawszy co podobnego, śmiał się na cały głos mówiąc:

— W głowie im się poprzewracało! to jak-  
bym ja powiedział, że jutro sto lat mieć będę.

W święta i niedziele, obie rodziny wybierały się na odległe przechadzki. Od rana pakowano w koszyk przyrządzony na cały dzień posiłek: zimną pieczeń, bułkę chleba, serek, masła garnuszek, słowem co się zabrać dało; Pani Michałowa z maleńkim synkiem na ręku, który jój wcale w wesołej zabawie nie przeszkadzał; dziadunio prowadził starszego wnuczka za rękę; Marynka od pani Mościckiej i wnuczka malarzy, zawsze na podobne uroczystości zapraszane niosły naprzemian koszyczek. Stasio z wędką lub siatką zwykle się wybierał, mężczyźni zabierali z sobą fajki, i tak wesoło, ochoczo, szli pieszo aż do Marymontu, i siadłszy pod laskiem przy kaskadzie spoczywali po zmęczeniu, rozbiegali się po lesie szukając grzybów lub orzechów, potem zaś posi-

liwszy się należycie wracali do domu szczęśliwi z siebie i z wszystkiego co ich otaczało, nie zazdroszcząc rozpartym w wygodnych powozach panom, nie pragnąc mantyl ani sukien ozdobnych, pań postrojonych. Czasem zamiast do Marymontu, schodzono Nowym zjazdem ku Wiśle, albo piękną Jerozolimską drogą spuściwszy się na Solec, wsiadano w czółno, które za małą opłatą przewoziło całe towarzystwo na Saską kępę, do tego rajy mniej zamężnych warszawskich rzemieślników. — Nowa uciecha! — Kołysanie czółna wywołuje na przemiany śmiechy i przestachu wykrzyki; niktby się zamaczać nie chciał, a jednak każ-

dy prawie ślad wodnej podróży na ląd z sobą zabiera, prócz Anusi, która szczególnym trafem, zawsze pod swými nogami suchą deseczkę znajduje.

Na Saskiej kępie jada się zwykle mleko lub śmietanę, których u każdego z niemieckich kolonistów dostanie, słucha się warszawskiej muzyki; owoce znaleźć można za opłatą, słowem tak tam czysto, ludno, wesoło, że pewnie nikomu z gości nie przyjdzie na myśl, jak też biedni tutejsi mieszkańcy przepędzają w wiosnie

i jesieni owe chwile, w których Wisła zalewa domy aż po dachy, kiedy drzewa z częścią Gałęzi w wodnej stoją topieli?

Myśl ta jednakże często przebiegała główkę Anusi, i dla tego namawiała wszystkich żeby do najuboższej zachodzić chatki, bo wytworniejsi goście zwykle porządniejszych gospód szukali.

W tej najbiedniejszej na ustroniu stojącej chałupce, mieszkała wdowa z dwojgiem dzieci, i utrzymywała się wraz z niemi, z maleńkiego ogródka i trzech krów, ostatniego zabytku większego kiedyś gospodarstwa. Tam zawsze wstępowali nasi znajomi, a oprócz opłacenia należytości, zawsze coś, to dla matki, to dla dzieci przydatnego zostało kolonistce, bo przy dobrém sercu i szczerzej chęci, znajdzie się i sposobność dopomożenia biedniejszym.

Już się jesień zbliżała, zdawało się nawet że to już ostatnia w tym roku tak odległa przechadzka będzie, i dla tego z większą jak zwy-



kle ochotą postanowiono z niej korzystać, tém bardziej że to była wigilja urodzin Anusi.

Wysiadłszy na kępę zapuścili się wszyscy w niewielkie zarośla, w których jeszcze prze-

glądając gdzieniegdzie rumiane grzyby nęciły oczy gospodyń; lecz wnet mężczyźni zniknęli z oczu reszcie towarzystwa; zaczęło wołać, hukać, a nie otrzymując odpowiedzi, domyśliły się kobiety że je wyprzedzono, by przygotować jakieś zbytki, może miodu z obwarzankami, albo kawy z ciastem!

Nie spiesząc się zatem żeby nie popsuć niespodzianki, szły sobie zwolna ku znajomej chałupce, lecz dochodząc, z podziwieniem ujrzały drzwi do niej zamknięte i ani śladu gości. Anusia ciekawsza od innych, otwiera drzwi do sieni, a widząc izbę zamkniętą przebiega sionką do ogródka, lękając się jakiego nieszczęścia gospodyni; tu ze zdziwieniem spostrzega jedyną uliczkę prowadzącą ku małemu wzgórkowi, z którego po nad płoty można było patrzeć na błękitne wody Wisły, spostrzega więc uliczkę żółtym piaskiem wysypaną starannie; coraz bardziej zajęta biegnie na wzgórek, a tam pod starą rozłożystą gruszą, widzi kamień zwykle za siedzenie służący świeżą darnią pokryty; po obu stronach drzewa, świeżo ścięte i powtykane w ziemię gałęzie, tworzyły cienistą altanę, a na żółtym piasku na ziemi, z mchu i je-

siennych kwiatów ułożono zręcznie duże A. K.,

cyfrę solenizantki. Zdziwiona i rozczulona po-  
gląda do kola, chcąc podziękować wszystkim  
co jej tak miły dowód życzliwości złożyli; gdy  
z za gałęzi, występuje dwoje dzieoi kolonistki  
w białych koszulkach niedawno od Anusi otrzy-  
many, i otacza ją wieńcem z aster i georgin;  
a w téj saméj chwili, odzywają się skrzypce  
dziadunia, zbliżają się wszyscy, obsypując ser-  
decznie życzeniami i uściskami Anusię., która  
spłakana i śmiejąca się razem z całej duszy im  
za nie płaci.

Pewnie nie jeden uśmiechnie się litośnie na  
obraz téj niespodzianki bez kosztu i zachodu,  
bez gości i darów sprawionéj, ale wiercie mi,  
Anusia i jej rodzina szczęśliwszą tern była, niż  
ci, których w dniu urodzin tysiącem gładkich  
zimnych biletów, mnóstwem w sklepie kupio-  
nych fraszek zarzucają.

W taki sposób, płynął czas zbliżający chrze-  
ścijan do adwentu, narzeczonych do ślubu; wszy-  
stko już prawie było gotowe, skromne mieszka-  
nie najęto i urządzono, pani Koprowa co Mo-  
gła oszczędzała na dziennych wydatkach, byle  
w dniu wesela córki kawą z babkami swojéj

roboty i pieczoną gęsią poczęstować nielicznych  
gości; już Anusia uszyła muszlinową białą suk-  
nię, w którą przybrana za tydzień stanąć miała  
przed ołtarzem, gdy pewnego wieczora Jerzy  
nie tak wesół jak zwykle przyszedł do Ko-  
prowej.

— Co ci jest? czy zmartwienie, czyś słaby?  
pytano go na przemiany.

— To przejdzie! przedwczoraj korba od ma-

chiny raptownie spuszczone uderzyła mnie w nogę, i gniewam się że może kulejąc będę musiał iść do ślubu.

— Ale mój panie Jerzy! z takimi rzeczami nie żartować! Pokaż no wasan tę nogę! I pomimo oporu przyszłego zięcia, Koprowa przy dzielnej pomocy Stasia, zmusiła Jerzego do zdjęcia obuwia. Z przerażeniem ujrzała ślad ciężkiego stłuczenia w mocnym zczernieniu i opuchnięciu nogi; zwołała Michałowój, roztarto i owinięto spirytusem zbolące miejsce, i po lekkiej kolacyi dorożką odwieziono go do mieszkania, gdzie Stasio pozostał na noc do pilnowania chorego, który mimo dokuczliwego bólu żartował z obawy ukochanych, żeby ich ospokoić.

Nazajutrz wezwano lekarza, który bez ogródki oznajmił, że w najlepszym razie przynajmniej przez miesiąc chory z łóżka nie wstanie, i że tak dla pilniejszego dozoru jak dla dzielniejszej lekarskiej pomocy, należało go przewieść do szpitala.

Oburzyła się na to Koprowa; ona, co przez długie lata chorego męża w domu pielęgnowała pracując na jego i dzieci utrzymanie; ścisnęło się na tę myśl samą serce Anusi, i postanowiono: że jednego dnia Koprowa, drugiego Michałowa, trzeciego Anusia ze Stasiem, pilnować będą Jerzego.

Ale młodzieniec rozmyślił się inaczej; pierwszego zaraz dnia z mowy lekarza i własnego cierpienia poznał, że rzeczywiście na długą zanosiło się chorobę; obliczył, że przy wydat-

kach i nieczynności, nie tylko jego zasobów nie starczy, ale wszyscy co go ukochali ciężkie ofiary ponieśćby musieli; małżeństwo jego chociażby rychło wyzdrowiał z powodu samego adwentu spóźniłoby się aż do początku następnego roku; miałże przez zbytnią dla siebie tkliwość rozpraszać wszystko co już z takim zebrał staraniem? miałże, przyjąwszy poświęcenie drogiego jój czasu, tego jedyne ubogich

skarbu, wprowadzić potem Anusię w opustoszałe ściany, wciągać ją w ciężkie koło koniecznej na chleb pracy? — Nie!

Jako robotnik w znakomitej fabryce, od dawna już, szczęśliwie przyjętym zwyczajem składał co tydzień część zarobku swego do wspólnej kasy, na opłacenie wrazie potrzeby lekarskiej pomocy; miał więc prawo do miejsca w szpitalu, do wszystkich starań jakich w nim doznać można.

Zaraz drugiego dnia choroby, umówił się po cichu z odwiedzającym go towarzyszem, otrzymał upoważnienie wejścia do szpitala Dzieciątka Jezus, i wieczorem, wyprawiwszy pocztową bratową do dziecka, pod pozorem, że dwóch zacnych robotników z fabryki, na przemiany przez tę noc pilnować go będą — kazał się przenieść na plac Warecki, zostawiając klucz u gospodarza, by go nazajutrz wraz z zapieczętowaną karteczką do pani Koprowej odesłano.

Nazajutrz Anusia przededniem jeszcze, tak leniwym w końcu listopada, szła dość pewnym krokiem obok małego brata na Święto-Jerską

ulicę; myśl o cierpieniu Jerzego i o świętości

własnego poświęcenia uzbrajała ją w odwagę; ale im bliżej była tego domu do którego dopiero na rękę małżonka oparta wniść się spodziewała, tém bardziej znikaly jej siły i pomieszanie wzrastało, kiedy nakoniec weszła już na trzecie piętro i w ciemnej stanęła sięni, a Stasio ujął za klamkę od drzwi Jerzego, serce tak jej mocno biło, nogi tak drżały, że musiała usiąść na schodach. Staś, by nie budzić chorego nie stukał dłużej, zbiegł ze schodów, odebrał klucz od stróża, i drzwi otworzył; na ten szelest machinalnie podniosła się Anusia i szybko, lekko weszła do izby.

Domyślcie się, jakie uczucie ścisnęło jej serce, kiedy w miejscu ukochanego chorego, Pustki tylko i okropny nieład przy rannym zmroku ujrzała; nie zemdląła przecież, miała siłę doczekać póki Staś świecy nie zapalił; przeczytała przy niej karteczkę Jerzego, padła na kolana przed drewnianym krzyżem u wezłowie prostego łóżka zawieszzonego, i po krótkiej ale gorącej modlitwie wyszła, nie rzuciwszy ciekawym wzrokiem po mieszkaniu, które przecież miało prawo do jej zajęcia; zamknęła drzwi

starannie, i jak śmierć blada ale bez łzy w oku, pewnym krokiem wróciła do matki.

Pojeła poświęcenie Jerzego, rodzaj zgryzoty przytłoczył jej duszę, ale prędko obliczyła się

z sobą, prędko uznała co ona jeszcze zrobić dla: niego może, i dla tego nie upadła pod ciosem.

Ciężkie dni zaczęły się dla tak szczęśliwej niedawno rodziny. Stan Jerzego pogorszał się i w tydzień po przeniesieniu go do szpitala, osądzili lekarze że nogę lub życie stracić będzie musiał.

Oprócz wszystkiego co własna młodzieńca rodzina czyniła dla niego, codziennie rano i wieczór Anusia u drzwi szpitala błagała o dokładną wiadomość o jego zdrowiu, nie zrażając się, nie słysząc nawet żartów którymi przytomni obsypywali młodą dziewczynę, trwożącą się tyle o życie nie brata! Wszystkie chwile w które chorych odwiedzać wolno, Anusia u wezłowania Jerzego spędziła, nie widząc tych ciał skaleczonych, nie słysząc tych jęków, które się w sali rannych rozlegają nieustannie. Gdy w końcu nadszedł ów dzień straszliwy, dzień operacji. Anusia przekonawszy się że żadne prośby nie wyjedną jej pozwolenia znajdowania się wtedy przy Jerzym; że tę okropną chwilę

przeżyć będzie musiał w ręku obcych, bez tkliwej dłoni, coby mu pot śmiertelny z czoła otarła, bez przyjaznej twarzy, na której wzrokiem spocząłby mógł w męczarni; Anusia poszła do szpitalnej kaplicy, i tam w łzach i modlitwie padłszy twarzą na ziemię nie podniosła się aż póki bracia i ojciec Jerzego pilnujący wyjścia lekarzy, przyszli jej powiedzieć że najgorsze przebyte, że po sile i czerstwości młodzieńca spodziewają się wszyscy rychłego wyzdrowienia. Nie mały czas upłynął nim chorego po opatrzeniu w spokojniejsze przeniesiono miejsce; sen długi, ciężki nastąpił po bolesnym cierpieniu; wieczór się już zbliżał? kiedy Jerzy po raz pierwszy oczy otworzywszy, pytał sam siebie czy on jeszcze

żyje? i wodził do koła osłabionym wzrokiem; wtedy u stóp łoża ujrzał łagodną twarz siostry miłosierdzia, która palcem do ust przyciśniętym nakazywała mu milczenie, a po drugiej stronie na kolanach, ze ziożonými do modlitwy rękami, z twarzą łzami boleści i nadziei zalaną spostrzegł wierną Anusię.

— A więc jestem bez nogi; i ty przy mnie! wymówił słabym głosem; o! dotzymałaś słowa. Więcej zakonnica mówić nie dozwoliła.

Po okropnej obawie o życie Jerzego, dni, w których przestano się o nie lękać spokojniej schodzić zaczęły; nie można było pomyśleć o prędkiem wyjściu jego ze szpitala; doznawał tam najtroskliwszych starań; pobożność i pogoda jego umysłu, zjednały mu serdeczną zakonnicy przychylność, wiadomość o szlachetnym jego charakterze, a może i prośby właściciela fabryki w której pracował, ujęły dla niego lekarzy i dozoruujących; prócz tego nie minął dzień jeden w którymby nie odebrał oznaki przywiązania od swoich; można więc już było bez trwogi i goryczy myśleć o tém że jest w szpitalu i już to prawie nikogo nie bolało. Wprawdzie nie raz jeszcze bracia i ojciec Jerzego, czasem sama Koprowa z żalem mawiała:

— Biedny, bez nogi!

Ale Anusia nie dzieliła tych żalów, nie odpowiadała na nie; bo czuła w swoim sercu takie skarby miłości i poświęcenia, gotowała się otoczyć Jerzego tak tkliwą troskliwością, że niepodobieństwem byłoby, żeby przy niej o swoim kalectwie pamiętał.

Szczęśliwi bogaci! im wolno płakać, smucić się, wolno im dni i noce na rozpamiętywaniu boleści swojej przepędzać; nic się przez to do koła nich nie zmieni; mogą nie dbać o siebie, bo drudzy tém baczniej wszystkie ich potrzeby i wymysły zaspokoją, drudzy którzy te starania za rzemiosło swoje przyjęli; — ale niechże łyżką zaćmią oczy ubogiego, niechaj załamie ręce w rozpacz, cóż wtedy poczną ci, którzy z tych oczu, od tych rąk pomoc odbierać nawykli?

Dopóki trwało uniesienie boleści, dopóki uzbieranych na wesele zapasów starczyło, obchodzono się jak było można; ale teraz zima ciężko pukała do mieszkania Koprowej, handel zaniedbany trochę upadał, ubranie Stasia przy nadzwyczajnym bieganiu prędej jak zwykle się zniszczyło, nawet zdrowie staruszki coraz wątlejszém się stawało; słowem, nie ubóstwo już ale nędza zagrażała całej Anusi rodzinie.

Ależ ona stała silna na nowo ufnością w Boga, silna przyszłego szczęścia nadzieją; ona marząc o wszystkiém co dla Jerzego zrobić będzie mogła, nie założyła rąk od chwili w której o życie narzeczonego lękać się przestała. Teraz należało wynagrodzić matce za cały ten

czas, który bez pomocy rozpaczającej córki w ciężkich trudach przetrwać musiała, trzeba było dostarczyć wszystkiego co słabe jój zdrowie wesprzeć mogło, należało Stasia i matkę



tak we wszystko zaopatrzyć, żeby nie uczeni braku, gdy ona dach rodzinny opuści; a jeszcze! trzeba było i o tym pomyśleć, że wyszedłszy z szpitala o szczydle, Jerzy nie zaraz będzie mógł wziąć się do pracy, że trzeba będzie szanować siły wracające po tak ciężkim przejściu, że przydałoby się na przyszłe gospodarstwo jakiś zasób zebrać.

Wszystkie te myśli snuły się po głowie Anusi, podczas gdy igła z nadzwyczajną szybkością przesuwała się po płótnie lub muszlinie. Nie było roboty którejby się Koprówna nie podjęła; w dzień szyła cienką bieliznę lub haftowała owe modne chusteczki, co to tym cenniejsze im ich użyć trudniej, i za to płacono dobrze; trzy do czterech złotych dziennie zarobić mogła Anusia! Zostawały jeszcze długie grudniowe wieczory; i tych użyć było trzeba, tym bardziej, że jeszcze odwiedziny chorego nie jedną w tygodniu zabierały godzinę; wieczorami więc Gruba dla wyrobników bielizna, proste czepki na

przedaż robione, watawone czapki kolorowe strojące głowy wszystkich staromiejskich przekupek, wszystko to z niepojętą szybkością wychodziło gotowe z rąk Anusi, chociaż jej pracy jedna tylko łożowa przyświecała świeczka, a przy niej matka skarpetki na sprzedaż robiła i Staś uczył się zadaną na dzień następny lekcji.

Tak zszedł grudzień z smutno obchodzonym świętem Bożego Narodzenia, tak i styczeń przechodził. Karnawał lubo nie tak jak zwykle wesoły brzmiał po wszystkich Warszawy zakątkach, tańczono w świetnych pańskich salonach, ba-

wiono się ciszej w mieszkaniach średniej klasy, hulano w rzemieślniczych zebraniach, a u Koprowej pracowano dniem i nocą. Ale już też tej pracy nie raz i uśmiech przyświecił, już nędra silną dziewczycy dłonią odparta nie śmiała ohydnych swoich rysów ukazać, matka do sił wracała, Jerzy już na łóżku siadał, za kilka tygodni szcudła miał próbować, słowem, choć nie różowe ale też i nie żałobne obrazy stawały na tle przyszłości.

— Wiesz co Anusiu! rzekł raz Staś wróci-

wszy ze szpitala Dzieciątka Jezus; możesz sobie powinszować że Jerzy dwóch nóg nie ma.

Anusia surowo na chłopca spojrzała.

— Nie marszcz-że się tak na mnie! Dziś zastałem szwagierka w sali przychodzących do zdrowia z nim razem przeniesiono tam młodego mechanika, który rękę utracił; i wiesz co robią? tamten tłumaczy mu teorią swojej nauki, a Jerzy rysuje figury, które w gorączkującej jeszcze głowie mechanika powstają.

— Nie rozumiem czegoś winszował?

— Tego, że zamiast prostym robotnikiem, Jerzy mechanikiem zostać może, a z czasem i nadzorcą fabryki; słyszałem jak ten bez ręki mówił: co to za głowa! a ile praktyki; za pół roku będziesz mógł złożyć examini!...

Staś nie przesadzał; jak tylko gorączka ustąpiła i rana goić się poczęła, czynny umysł Jerzego zwrócił się ku przyszłości; czuł, że ten wyższy stopień ukształcenia w swoim zawodzie, który powoli tylko osiągnąć zamierzał, należało teraz zdobyć nagle, należało obrócić na ten cel

W roku , znacznym nakładem znanego z dobroczynności męża, urządzono w szpitalu Dzieciątka Jezus osobne sale dla przychodzących do zdrowia.

cały czas, przez którą ręką nie będzie mógł pracować. Opatrzność zdarzyła mu sąsiada, który mógł i chciał dopomódz na tej drodze równemu sobie kalece, mieli z sobą zostać przynajmniej dwa miesiące; po wyjściu ze szpitala obydwaj do jednej mieli wrócić fabryki; a czując rozwijające się coraz obszerniejsze pojęcia, widoczny postęp swój widząc, już nieraz Jerzy patrząc na swoją nogę, i na rozwartą a niedawno niezrozumiałą dla niego książkę, mawiał z uśmiechem:

— Dobrze mówi mój ojciec: „nie ma nic złego coby na dobre nie wyszło!”

Słyszając to Anusia z uniesieniem dziękowała Bogu, i ślubowała sobie tajemnie na wiosnę pójść do Częstochowy, i w tym miejscu najgłębszej czci każdego Polaka chrześcijanina, u stóp Boga-Rodzicy złożyć to głębokie uczucie wdzięczności, które co dzień silniej zalewało jej duszę. Czemuż; o! czemuż tak snadno z jednej ostateczności przechodzimy w drugą; czemu niebaczni za każdym nadziei promieniem? Zakładamy na niej całej przyszłości budowę; czemu w chwilach uniesienia rzucamy nierozważne słowa, jakby wyzwanie losowi, które on nie-

stety! zbyt często przyjmuje, i zbyt ostro mści

się za zuchwalstwo nasze.

Wieczorem w ostatni - wtorek Anusia długo siedziała przy robocie. Kończyła ostatni czepek z powierzonych jej od wyprawy modnej damy; matka już dawno spać poszła, Staś głęboko uspiiony już nawet mocniejszym oddechem nie przerywał głębokiego milczenia, tylko jeszcze za okiennicą odzywał się turkot dorożki odwożącej gości z hucznej zabawy, lub katarynka ostatnich dośpiewywała tonów. Anusia ostatni ścieg skończyła i złożyła robotę, bo też od ciągłego schylania i krew jej uderzyła do głowy, i ognisty rumieniec oblał twarz całą; świeca dogorywała, zgasła ją dziewczyna, rozebrała się po cichu, zmówiła pacierz i położyła się przy matce.

Długi czas zasnąć nie mogła, czerwone płateczki migwały jej przed oczami, a mimo natężenia wzroku nie mogła dojrzeć najlżejszego odbicia latarni przez otwór w okiennicy wycięty; nakoniec, młodość i znużenie zamknęły jej powieki.

Ale nazajutrz niebyło dnia dla Anusi; silne krwi uderzenie skutkiem moralnych wstrząśnień i natężonej pracy przypadłe, pozbawiło ją wzroku!

## VII.

### TRZYDZIEŚCI LAT TEMU.

Wielkie to było święto.—Rynek Starego miasta uroczystą przybrał postać; wszystkie sklepy tak w kamienicach dokoła stojących, jak i do starożytnego ratusza poprzyczepiane zamknięto; każdą sień zdobiły gałęzie, - w każdym oknie wiązki kwiatów lub tataraku jaśniały, gdzie nigdzie z piętra powiewrały spuszczone oknem dywany, lub bogate materye; na ratuszowym

ganku liczna kapela gotowała swoje narzędzia; nawet lichey bruk uliczny popruszony tatarskiem zieleń i listkami poskubanej piwonji lepiej niż zwykle wyglądał.

Najświetniejszą jednak ozdobą rynku były cztery ołtarze wspaniale przybrane w drogie tkaniny, obrazami i zwierciadłami, kwiatami i zielonością przystrojone; stały one po pod domami, po każdej stronie rynku jeden; znakomite panie i bogate mieszcanki ubiegały się w dostarczeniu najkosztowniejszych przedmiotów do przybrania tych chwilowych przybytków, które miały być świadkami poważnej, wielkiej w katolickim świecie uroczystości, obchodu Bożego Ciała.

Południe się zbliżało; już pobożni Warszawianie w świąteczne szaty przybrani zaczęli napełniać rynek; poważne matrony w szerokich persowych spódnicach i haftowanych muślinowych chustkach, z koronkowými czepkami na głowach, obszedłszy ołtarze poobierały sobie dogodne miejsca pod domami; młodsze niewiasty w powłóczystych jedwabnych szatach z krótkimi a wyciętymi stanikami, z rękawami ciasnymi, owiane lekkim rąbkiem, zasłaniały wachlarzami świeże twarzyczki, wyglądające z pod ogromnych ryżowych kapeluszy; mężczyźni we frakach, kontuszach i kapotach; z lorynetką, laską, lub paciorkami w ręku przechadzali się

poważnie, o tém i owém gawędząc; a miejskie chłopaki pomyte, jeżeli nie poubierane, czato-

wały na żydków, gdyby z nich który niepamiętny na przeszłe lata, ośmielił się w tej chwili ukazać w Starem mieście.

Ku największemu podziwieniu pobożnego zgromadzenia, właśnie w chwili kiedy dzwony katedry i odgłos muzyki na ratuszowym gan-ku oznajmiły że processya ma wychodzić z kościoła Świętego Jana — od zamkowej strony, prawie z za ołtarza, bo z sieni przytykającej do niego kamienicy wyszedł porządnie i nawet bogato ubrany żyd; czarna raczymorowa długa suknia, aksamitna czapka z sobolem, a nadewszystko poważna postawa, wskazywały w nim kupca, lub przynajmniej faktora wielkiego pana; znać nie rachował na tak spóźnioną porę, bo ujrawszy tyle ludzi zgromadzonych na czworokątnym rynku, zmieszał się widocznie i przez chwilę wahać się zdawał czy wrócić do otwartej sieni, czy się przemknąć pod domami. Alenie było czasu do namysłu; czarna szata wśród tylu barw jasnych, czapka futrzana między tylu kornie odkrytymi głowami, wydała się

staromieszczanom zuchwałem szyderstwem., najgrawaniem bezbożnem.

— Żyd! żyd! szeptano najprzód cicho, potem coraz głośniej, w końcu z pomocą ulicznej hałastry, chłopców rzemieślniczych, przekupek i dzieci; żyd! żyd! zabrzmiało krzykliwie do koła; tłum rzucił się ku tej stronie gdzie potomek Izraela widząc grożące niebezpieczeństwo starał się wcisnąć między mury kamienic, a stojne postacie mieszczanek opierających się o nie. Nie tak to było łatwo; obrażone kobiety ani

myślały służyć mu za ochronę, i jednomyślnie poprzysuwały się do ściany. „Bij żyda!” zawołał wtedy któryś z śmielszych uliczników, i wnet grad kamieni, kijów, pięści spadł na biednego Izraelitę, nie oszczędzając i sąsiadów jego. Żyd zagrożony ze wszystkich stron, spojrział ku kamienicy z której był wyszedł. Na pierwszym pięttrze w trzech otwartych jeszcze oknach siedziało kilkanaście kobiet, jużto Modlących się po cichu, już rozmawiających z sobą; przezrocyste firanki zasłaniające zazwyczaj szyby ściągnięto, bo dnia tego, lekkie chmury przysłaśniały blask słońca; można zatém było z przeciwnéj strony rynku, równie jak i z pod

ratusza jednym rzutem oka objąć café mieszkanie, albo raczej wielki jeden pokój, ciemném obiciem wyłożony, na którego ponurem tle, rysowały się wdzięcznie te świeże i strojne niewieście głowy, tak spokojne przed chwilą, tak teraz ciekawie ku ulicy zwrócone.

Za wszystkiemi, wysmukła dziewczęca postać w białą obciśniętą sukienkę stała wsparta o krzesło, jakby w głębokiem pograżona dumaniu; okrzyki gniewne rozlegające się po rynku wyrwały ją z zamyślenia; wychyliła się szybko za okno, właśnie wtedy, gdy żyd poglądał ku kamienicy, jakby w zamiarze wrócenia do sieni, podniosła paluszek do świeżego lica, a nad białem czołem przebiegła chmurka niechęci czy obawy. Izraelita zrozumiał ten lekki znak dziewczicy, naciskany zewsząd spojrział w prawą stronę, ku narożnemu domowi na ciasna uliczkę jedną stroną wychodzącemu. W domu tym, jak we wszystkich innych, pełno widzów w oknach było, z pierwszego pietra zwieszono dy-

wany, świadczyły że tam ktoś znakomilszy się mieścił, okna były zamknięte, a za przepalonymi szybami trudno było dojrzeć patrzących; nagle uchylono maleńkie okienko w łoży wysta-

jącój z boku po nad wazką uliczką, które wnosząc z mocnych krat kiedyś pewnie za strzelnicę służyło, i przypadkiem może ujrzano piękną mężką rękę poruszającą się lekko, jakby w znak przyzywania. Żyd patrzący w tę stronę, wyrwał się silnie z przytrzymujących go dłoni, kilku skokami przebił się przez tłumy, i znikł w ciemnej sieni narożnego domu.

Jeszcze czas jakiś trwał gwar wzbudzony tym wypadkiem, jeszcze tu i owdzie roztrząsano, czy ów żyd był faktorem piekarza z pierwszego piętra, czy współnikiem lichwiarza wyżej mieszkającego? czy się ukrył w narożnym domu, czy przebiegł przez sklepik starego Abrahama na Brzozowa ulice? lecz odgłos dzwonów na nowo zabrzmiał z wież kościelnych, na nowo trąby i kotły huknęły, a te tłumy ludu wzburzonego dopiero, z pokorą i nabożeństwem pochyliły się ku ziemi.

Processya wyszła z kościoła; już z Świętojańskiej ulicy wysunęły się chorągwie i obrazy bractw rozmaitych, to przez mężów, to przez dziewice i niewiasty niesione, dalej szły chorągwie cechów rzemieślniczych, z ciężkich materii, bogato złotem i jedwabiami haftowane,

na każdej godło rzemiosła i obraz patrona Zgro-



madzenia misternie wyrobiony, dźwigali je poważni ludzie zamożnością i ogólnym szacunkiem zaszczycający się, w staroświeckim ubiorze, z czerwonymi butami, i pod ręką białą lub granatową czapkę trzymając; za nimi, lżejsze chorągwie nieśli dorodni towarzysze rzemieślniczy. Lekki wiatr wzniosł się od Wisły, i wnet rozwijając ciężkie fałdy bławatów, unosząc długie smugi wstęg na wierzchu chorągwi przytwierdzonych, nadymając przezroczyste u obrazów firanki, pokrył całą przestrzeń rynku świetną różnobarwną falą, wznoszącą się nad lekko rozkołysanem morzem, z kilkudziesięciu tysięcy głów złożonem.

Teraz, najbliżej duchowieństwa postępuje Bractwo literackie; w czarnych sukniach, z zapalonemi świecami w ręku, z poważnym śpiewem w ustach, postępowali ci mężowie, którzy obok rodzinnych i obywatelskich obowiązków, nie zaniedbują gorliwych chrześcijan powinności. W ciężkich habitach, z odkrytymi głowami idą zakony: Kapucynów tak pokornych i dobroczynnych; Bernardynów, Dominikanów tak słynnych z dawnej wymowy; Franciszkanów, ubo-

gich Augustyanów; dwa zakony Karmelitów dalej, bielą się płaszcze Kamedułów, którzy na tak ważną uroczystość opuścili swoją pustelnię w Bielanach; Paulinów, których postać tak nam żywo Częstochowę przypomina; czernią się suknie Bonifratrów poświęcających tak bohaterko całe życie swoje usłudze biednych obłąkanych.

Uroczysty pochód coraz świetniejszy przy-

bierał charakter; młodzi seminarzyści idą zwolna, śpiewając chwałę Boga dobranymi głosami; Missyonarze i świeckie duchowieństwo w śnieżnych komzach poprzedzają baldachin, otoczony prałatami, utrzymywany przez mężów najznakomitszych w stolicy, a pod baldachimem jaśniejącym złotem haftem i frendzlami; szanowny arcypasterz unosi Najświętszą Hostyę, ten chleb życia, tę cudowną postać słowa bożego. Przed nogi jego, dziatki w bieli ubrane rzucają zioła i kwiaty; najznakomitsze w kraju rodziny, mieszczenie, wojskowi różnych stopni, ubodzy wyrobnicy, bogacze i żebracy, wszystko to razem zmieszane otacza, ciśnie się w ślady sługi bożego, we wszystkich ustach brzmi jedna pieśń, sercem jedno włada uczucie: cześć,

wdzięczność boskiemu Mistrzowi, którego miłość otworzyła ludziom ramiona Stwórcy, ludzi ku niebu uniosła.

Ile razy jestem przytomną podobnej uroczystości, zawsze żałuję, że tak zwani postępowi ludzie nie poglądają na nie wraz ze mną, możeby przyznali, że nie wszystkie myśli i formy dzisiejsze od dawniejszych są lepszemi, że na zasadzie miłości chrześcijańskiej łączącej i równującej w każdym kroku wszystkich członków społeczeństwa, tych samych cnót i poświęceń oczekiwać można, jakich się spodziewamy po wyrozumowanym pojęciu praw ludzkości.

Już przy trzech pierwszych ołtarzach odczytano początek Ewangelji według trzech Ewangelistów; bractwa i cechy rzemieślnicze zbliżały się ku czwartej stronie; na odgłos kotłów zapowiadających czwartą część świętego obrzę-

du, chorągwie pochylone ku ołtarzowi powiały silniej w powietrzu, a dwie z nich przypadkiem, czy z rozmysłu, skierowały się widocznie ku kamienicy z której przed rozpoczęciem procesyi wyszedł był Izraelita. Nic nie było szczególnego, że czerwona chorągiew z złotym ob-

warzankiem w środku przez takichże lwów utrzymanym, pochyliła się w oznakę uszanowania, przed mieszkaniem Starszego Zgromadzenia Piekarzy; ale szerokie domniemań pole otworzył błękitny znak Złotników z równą czcią zwrócony ku oknu, w którym posrodka różnobarwnych strojów, jaśniała biała sukienka dziewczicy, hożej, wysmukłej, zarumienionej tak widocznym hołdem. Bliżsi i baczniejsi widzowie tego zdarzenia, zrozumieli je wszelako, bo dnia tego, chorągiew złotniczą niósł dorodny młodzian, niedawno w poczet majstrów wpisany, i ubiegający się wraz z poczciwym Piekar-skim chorążym o przyjaźń bogatego Starszego, i o względy jego córki.

Jakoż, tak jawny dowód współzawodnictwa ośmielił obu młodzieńców; w kilka godzin po procesyi, kiedy piekarz spoczywając po trudach dnia całego rozparł się w wygodném krześle, prawie jednocześnie jeden i drugi przyszedł mu oświadczyć szczere i gorące swe chęci pojęcia w dozgonną przyjaźń panny Maryanny, pięknej jego jedynaczki.

Podziękowawszy im za zaufanie, przebiegły starzec oświadczył najprzód, że w wyborze

męża nie będzie córce swojej żadnej stawiał przeszkody; a potem, nie chcąc by ich rozsiewane przez sąsiadów wieści łudziły, dodał, że majątku nie ma, i córce posagu dać nie może.

— Nie pragnę waszego majątku panie, odrzekł na to młody złotnik, małe po ojcu dziedzictwo i własne staranie wystarczy mi na przyzwoite, a nawet dostatnie utrzymanie żony.

Piekarz potarł się po czole wyznając, że liczył nieco na pomoc przyszłego teścia, lecz dodał zarazem, że woli Marynkę bez szeląga, niż inną choćby posażną dziewczynę.

Piekarz stary prosił o trzy dni czasu do namysłu dla córki, zapewniając że jój wyborowi sprzeciwić się nie będzie; nic jednakże nie wspomniał, że tegoż samego dnia, znakomity pan jeden oświadczył się o Marynię przez faktora.

Przez faktora? Tak jest, i nie mogło być inaczej. Piekarczanka nie miała matki, a surowa przez ojca strzeżona rzadko kiedy wychodziła z domu, i bywała w takich tylko towarzystwach, które do upodobania ojca przystawały; jednakże kibić jój lekka i wyniosła, szlachetne rysy twarzy, płeć delikatna i nieogorzała, a nadewszystko urocze, wielkie błękitne oczy zwraca-

cały powszechną uwagę; nieraz w kościele, na ulicy lub pod oknem jój mieszkania, wytworna młodzież ubiegała się o wejrzenie piekarczanki, nieraz bukiety lub bilety wytworne wciskały się do mieszkania piekarza, ale przez ręce stariej zasmolonej kucharki dochodziły zawsze samego

pana, a wzrok skromnej dziewczyny nie tak łatwo było znieść jak się paniczom z początku zdawało. Między modniami o których mówię, był także hrabia Zagórski, pan goniący resztkami, z majątkiem odłużonym, ale skutkiem usilnych starań trzymającym się jeszcze w całości; pan hrabia widząc że ani jego postawa, ani herby na guzikach jego liberyi, nie wstrząsają widocznie serca Marysi, rozmyślił się inaczej. Cały blask i znaczenie jego stało na uprzejmości coraz inaczej łudzonych wierzyteli, ratunku potrzeba było koniecznie, a ten tylko z posażną żoną znaleźć było można. Na nieszczęście hrabiego w owym czasie nie było w pańskim pokoleniu bogatej panny na wydaniu, a przynajmniej nie mógł się od żadnej spodziewać przychylniej na swoje oświadczenie odpowiedzi; trzeba więc było w inną stronę się obejrzeć. Był to czas gdzie nierówne związki

lubo zawsze rażące okropnie tak zwane wyższe społeczeństwo, coraz częściej się wydarzały; majątki niebaczenie trwonione od lat kilkudziesięciu, znaczenie i powaga rodowa od kilku już pokoleń na zasługach przodków dalekich oparte, gwałtownie chwiać się zaczynały, a lekkość umysłowa i niedołężność charakteru paniąt przy schyłku stanisławowskiej epoki kształconych, nie dozwalała im gdzieindziej jak w pieniądzech szukać podpory. Mało się takich znalazło co by pracą i usilnym staraniem pragnęli powstać do pierwotnej świetności, mniej jeszcze takich, co dla dobra ogółu coraz nowe kładąc zasługi wyrzekli się czczego blasku dla siebie. Ani do jednych, ani do drugich nie nale-

żał nasz hrabia; on by nie upaść ze wstydem, potrzebował się ożenić bogato, a skoro nie Można było inaczej, czemuż nie miał się żenić z piekarczanką? pieniądze jej ojca nie nosiły przecież śladu rzemiosła

Ale jak się dowiedzieć, czy piekarz dumny brzęcząca godnością przyjmie pańskie oświadczenie? czy jego córka przerażona zbytkiem zaszczytu, i olśniona niespodziewanym blaskiem nie odmówi zezwolenia? bo o tyle nie chciałby się

hrabia poniżyć, a z nieśmiało spuszczonego oczu, z rumieńca za każdym zwróconym na nią spojrzeniem, domyślał się, że mimo pozornego ułożenia, panna Maryanna straszną gąską być musiała.

Widząc niepodobieństwo zbadania rzeczy na drodze społecznych stosunków, pan Zagórski postanowił spróbować drogi handlowej, i dla tego sprowadziwszy nieznacznie rozmowę na małżeństwa z mieszczankami, takim się pod tym względem filozofem okazał panu Szmulowi, oddawna kierującemu jego interesami, że żyd uszczęśliwiony podobieństwem ratunku którego już się nie spodziewał, tak zrećźnie pracował nad objawieniem hrabiemu myśli, podług zdania jego pod aksamitną krymką powstałej, tak starannie usuwał mniemane hrabiego skrupuły, tak straszył ruiną, nęcił nowym w przyszłości splendorem, że pan Zagórski zwyciężony, upoważnił Szmula w końcu, by piekarza wybadał.

Żyd w pośpiechu obrał na to wielkie przedsięwzięcie dzień następny, zapominając, ile go kosztować mogło ukazanie się w Starem Mieście w dniu Bożego Ciała. Nie żałował prze-

cież poświęcenia swego, bo piekarz nie odmówił, tylko sobie trzy dni wyprosił, o prawną

-

i formalnej intercyzie nadmienił, a ostateczną decyzję woli córki zostawił.

Wszystko dobrze rozważywszy, piekarz wieczorem wezwał do siebie córkę i oznajmił jej o nadzwyczajnym, bo jednoczesnym staraniu się o jej rękę, aż trzech zalotników.

Marychna bez zdziwienia wiadomość tę przyjęła, bo dwóch pierwszych oświadczyń spodziewała się od jakiegoś czasu, a o trzecich uwiadomił ją tegoż poranku Szmul, dowiedziawszy się że słowo dziewczyny miało także coś znaczyć w tak ważnym interesie; odpowiadając zatem porządnie na zapytania ojca, najprzód i bez żadnego namysłu odrzuciła piekarza niemłodego już i najzwyczajniejszego z ludzi. Zamyśliła się chwilę na wspomnienie złotnika, bo i u ciotki swojej, i u matki jego gdzie czasem z ojcem bywała, nauczyła się cenić wysoko charakter pewny i szlachetny młodzieńca, wiadomości na wiek i stan jego nadzwyczajne; był nawet czas kiedy myśląc o nim, Marychna mawiała sobie:

— Szczęśliwa którą wybierze! — i z uśmiechem i westchnieniem razem pytała siebie, czy nie ona tą szczęśliwą będzie?

Ale dziś zmieniły się wyobrażenia dziewczy-

ny. Był to poczciwy ale nierozwity jeszcze z ciasnych więzów pospolitego wychowania charakter; umysł leniwy, ale zbyt czynna wyobraźnia, czucie zupełnie uspięte wśród zimnych warunków powszedniego życia; jakże się dziwić, że od rana wiedząc o podobieństwie zostania panią, przebiegała już myślą całe szczęście tego błęgiego stanu, że już marzyła o karocie w której miękkie poduszki zatopiona, przejeżdżać będzie z trzaskiem po Warszawie, że uśmiechała się myśląc o podziwieniu poczciwych staromiejskich znajomych, kiedy u Fary lokaj w galonach stanie za jej ławką i z uszanowaniem bogatą książkę poda pani hrabinie. Wolno jej więc będzie stroić się w pióra i aksamity, bywać w teatrze, słowem być panią! Nie troszczyć się o dom, o nudne gospodarstwo, nie mieć żadnych obowiązków, — bo tak Marychna państwo pojmowała!

Jakże się mówię dziwić, że wśród takich nadziei znikł z oczu dziewczyny cichy młodzieniec, że zgasł w jej wyobraźni błyszczący sklep jego, zmałał skromny domek? że na trzecie zapytanie ojca, z uśmiechem pochyliła główkę?

Piekarz z swojej strony rozmyślał i pewnych

zaufanych faktorów wysyłał na zwiady do hypoteki, do notaryuszów, a nawet po żydkach, co to przez ludzkość pożyczają młodym paniom pieniędzy; skutkiem tych wszystkich badań było przekonanie, że pospłacawszy wierzycieli, będzie można na pozostałych dobrach zabezpieczyć posag Marychny, i surowymi warunkami zapewnić jej opłatę procentów; a chociaż staremu smutno się zrobiło na myśl wypu-



szczenia odrazu z rąk tak pilnie i długo zbieranych pieniędzy, to przecież warto było coś poświęcić, by pana z panów zięciem swoim nazwać!

Nie rozwodząc się długo nad formą oświadczeń osobistych hrabiego, nad odwiedzinami równie dla niego jak dla przyszłej rodziny utrudzających, powiem krótko, że w dwa miesiące po Bożem Ciele, Marychna została panią Zagórska: że kościół Świętego Jana natłoczony był ciekawymi w dniu jej ślubu, i że w parę dni potem dziwiono się w Warszawie, jak to prosta piekarczanka umie zręcznie szal turecki zarzucić, i jakby od dzieciństwa do tego przywykła, bez przymusu siedzieć w przepysznym powozie!

Nowe życie Marychny dość się jej szczęściwie zaczęło; hrabia który jak powiadam przygotował się znaleźć w żonie niedorzeczną i ciemną mieszczańkę, z zadziwieniem spostrzegł, ile w tej ładnej główce było zdrowego o rzeczach sądu, ile to dziewczę w ukryciu i pobożności schowane zdolnym było wyższych, a nawet wygórowanych uczuć. Zupełna nieświadomość świata i jego zwyczajów nowym była wdziękiem w oczach człowieka nawykłego do zbytku przebiegłości i wyrachowania; a przywiązanie które czuła i którego nie myślała ukrywać dla męża, co ją w tak czarowną krainę wprowadził, co ją otaczał uprzejmością i względami o jakich nigdy nie marzyła, coraz bardziej ujmowały pana Zagórskiego, i w kilka tygodni po ślubie, widząc że przy całej prosto-

cie swojej nie popełniła ani wymówiła nic niedorzecznego, że o niektórych przedmiotach nawet z wdziękiem i zapałem mówić umiała, postanowił pokazać ją światu.

Ale tu biedna Marychna natrafiła na skałę, o którą rozbił się cały urok otaczający ją w oczach męża. — Powiedzcie panie i panowie którym znane są sztywne formy salonów na-

szych przedtrzydziestoletnich, czy wśród wyprostowanych postaci dam starszych, przy romantycznej exaltacyi młodszych, wśród arystokratycznej rozmowy o związkach i kolligacjach rodzin, wśród francuzkiego szwargotu i blasku lorynetek eleganckich panów zwróconych ku nowo-przybyłej; powiedzcie — czy proste dziecię ludu wdzięczne i ujmujące w kółku rodzinném, mogło się korzystnie ukazać?

Pokazało się z licznych spostrzeżeń, że nowa hrabina ani chodzić wspaniale, ani się oprzeć z wdziękiem, ani niedbale siedzieć, ani wytwornie mówić nie umiała: francuzki akcent miała okropny, obuwie nie od Smólskiego, kapelusz nie od Lazarewiczowej nosiła, słowem, była śmieszna!

Któż kiedy przeciw temu nieszczęściu poradził? Z każdego zarzutu się oczyścisz; złośliwość i nienawiść godnością swoją odeprzesz, pozbędziesz się wszelkich wad, usprawiedliwisz nawet złego czynu przed światem; ale śmieszności, kiedy raz rzucą ją na ciebie, nie zetrzesz, chyba wielkiem nieszczęściem lub wielkiemi czynami.

Wielki czyn w oczach świata, jest to coś

takiego czegoby nikt z sądzących nie uczuł się zdolnym ; wielkie nieszczęście — którego ogrom da się nawet obojętnemu wymierzyć i obrachować. Marychnę taka nie spotkała niedola; jój się tylko czasem zdarzało, że wracając zkad ujrzała aksamitną swoją salopę ubieloną mąką; że kiedy jejej przed teatrem zdejmowano płaszczyk, bułeczka z jego kapturka wypadła, lub nad herbem u powozu ukazał się kredą narysowany obwarzanek; nikt nie wiedział zkad pochodziły te pomysły, ale wszyscy mówili o nich, żartowali z dowcipnych wynalazków, przesadzali się w opisach przerażenia za każdym takim wypadkiem malującym się na twarzy nowój hrabiny, co i bez tego tak już była śmieszną!

Prędko też ów piękny wielki świat stracił swój powab w oczach młodej kobiety; coraz rzadziej ukazywała się w towarzystwie, coraz bardziej zamykała się u siebie, otaczała się zatrudnieniem, a mniemając że tylko niedostateczne wychowanie o tyle ją niższą od drugich czyni, poczęła się uczyć serdecznie, uczyć wszystkiego co tylko kobiecie przystępném być mogło; ale kiedy się po niej jakim czasie obej-

rzala w kolo siebie, spostrzegła niestety! Że w oczach świata była śmieszną pedantką, a mąż znudzony zmianą jój humoru i charakteru, zra-

żony drwinkami znajomych, odczarowany co do jęj tkliwosci nadzwyczajnej, uważał ją jako istotę niepotrzebnie w życie jego wplecioną, zawadzającą mu na dalszej drodze.

VII.

O WIELE PÓŹNIEJ.

Przeszło lat wiele, wiele rzeczy zmieniło się w świecie, poprawili i pogorszyli się ludzie, zmieniło się wszystko. Zmieniła się i hrabina Zagórska; — znikła zupełnie owa niezręczna, trwożliwa Marychna, co tyle w swoim czasie żarcików wywołała; czasem tylko wspomnienie nietrafnego jęj znalezienia się, lub zabawnej przygody rozweselało wyższe towarzystwo; ona zakopała się na wsi, i pod pozorem wątłego zdrowia swego i słabości syna, łatwo otrzymała od męża pozwolenie, niepokazywania się wcale w Warszawie. Jak żyła sama wśród

prostego ludu, z pracą za towarzystwo, z pieśczołą dziecięcia za jedyną pociechę; jak na łonie natury, rozwinęła się szlachetna jęj dusza uśpiona przez czas długi, jak gorąca żądza oświecenia ciemnych kmiotków, pragnienie wykształcenia syna swego na człowieka przynoszącego zaszczyt i pożytek swęj ziemi, roz-

szerzały wyobrażenia Marychny; — to wszystko nie do tych obrazków należy. Dość powiedzieć, że kiedy na żądanie męża ukazała się po kilku latach w stolicy, dla ukończenia jakiegoś interesu koniecznie jęj obecności wymagającego, - kiedy z równie koniecznej przyzwoitości weszła na nowo w towarzystwo, tak dla nięj niegdys surowe, juź hrabina Zagórska pod żadnym względem śmieszna nie była.

Wyższa o cały ogrom szlchetnych wyobrażeń od wszystkiego co ją otaczało, obojętna na przyjęte formy, uprzejma a poważna, światła a skromna, z upodobaniem rozmawiająca z uczonými, z poszanowaniem wspominająca lud, i chlubiąca się że do niego należy, była tak nadzwyczajną, odrębną istotą wśród wygładzonego świata, że ją przyjęto z podziwem, poszanowaniem prawie.

Sam hrabia który co jesień jeżdżąc na polowanie do dóbr swoich widywał wprawdzie żonę, ale nigdy tyle na nią nie zwracał uwagi by spostrzedz stopniowo zachodzące w jęj charakterze zmiany; z zdumieniem na nią poglądał, nie rozumiejąc zkad odrazu nabyła tak dobrego tonu, takiej grandezzy, i serdecznie pragnął wmówić w siebie, że to wpływ jego ukształcenia tak cudowne przyniósł owoce.

Pomimo pochlebnego przyjęcia w Warszawie, pani Zagórska rzadko do nięj zajeżdżała; lubiła przebywać u siebie na wsi, gdzie wolno jęj było czasem podług upodobania rozrządzać? i z zatrudnień i upodobań swoich nikomu nie zdawać sprawy. Zawiedziona w marzeniach,

rzuciła się z zapalem w rzeczywistość; zajęła się czynnie gospodarstwem, zakładała ogrody, wznosiła potrzebne budowle, majątek hrabiego rosł pod jej okiem i ręką, polepszał się widocznie byt kmiotków, a nadewszystko, pod macierzyńską, serdeczną i światłą zarazem opieką wzrastał i rozwijał się szczęśliwie syn jej jedyny, którego moralnego wychowania, mimo nalegań męża i żartów znajomych, nikomu powierzyć nie chciała.

Otoczyła go osobami z których każda przykładła się do ukształcenia jego umysłu, które rozwijały w nim talenta, udzielały potrzebnych nauk; ale dusza w ręku matki pozostała; a ona choć mało znała świata, jednakże skutki bezczynności i próżności tak się jej nikczemnymi okazały, że wszelkiemi siłami pragnęła go uchronić od tej zarazy. Nie trudno było dokażać tego na wsi, gdzie w każdej chwili ciężka praca rolnika tak silnie nas uderza, gdzie każdy o tyle tylko ceniony, o ile pracą i doświadczeniem nad innych wyższym się stanie; w pierwszej chwili rozwagi Adam powiedział sobie: — i ja będę pracował! — a każdy dzień życia sprawdzał to jego postanowienie.

Nadszedł jednakże czas, gdzie ojciec widząc podrastającego syna, pomyślał, że i jemu należało przecież coś dla jego udoskonalenia zrobić;

oświadczył zatem żonie, że koniecznie potrzeba zawieść Adama na jaki rok do Warszawy, dać mu francuza lub angiaka za towarzysza, pozwolić mu przyjrzeć się towarzystwu, a potem wyprawić w podróż za granicę.

Po dojrzałej rozwadze hrabina zgodziła się na zdanie męża, ale umyśliła je wykonać odwrotnie.

Wiedziała że do podróży przyjdzie koniecznie; — niechże więc (myślała sobie) jedzie zaraz, z czystą duszą, z niespaczonem wyobrażeniem, z gorącym zamiłowaniem wszystkiego co swoje, niech zobaczy u obcych, że praca i własna zasługa wiele znaczy, niech się przyjrzy temu co lepsze, niech pozna i to co gorszym niż u nas być może; a za powrotem nie tak łatwo da się wplątać w siatkę dziwacznych przesądów, które pewną klasę ludzi, koniecznie w niegodnym próżniactwie utrzymać usiłują.

Hrabiemu uśmiechnęła się oryginalność pomysłu żony, zgodził się na jej postanowienie, i kierunek podróży jej woli zostawił.

Tak więc w szesnastym roku życia, pod przewodnictwem zacnego, pełnego cichój zasługi męża, który w sąsiedztwie z małej żyjąc pensyjki, często przebywał w domu hrabiny, i w nie jednym przedmiocie syna jej kształcił; pan Adam Zagórski wyjechał z kraju, by przez całe Niemcy, Szwajcaryę, Włochy, tu i owdzie po drodze nauk w publicznych uczelniach słuchając, dostać się do Francji, a z tamtąd do Anglii.

Matka zaś, z listów syna i przewodnika jego świadoma każdego wzruszenia tego serca które w niej nieograniczone pokładało zaufanie, sama ufna w pomoc Boga, który jej nigdy czystym, szlachetnym dążeniom nie odmawia, pozostała na wsi z córeczką, drugi dopiero rok życia zaczynającą, i wychowaniu jej z równym poświęciła się zapałem, z równą gorliwością chroniła ją od obcego wpływu, równem a Może większém jeszcze niż syna otoczyła ją staraniem.

W wychowaniu syna, tylko dobre ogółu miała na względzie; szczęście, powinien był Adam znaleźć przykładając się z całych sił ducha do szczęścia bliźnich, braci. Córce swojej Maryi, najprzód szczęście zapewnić chciała; widziała w niej swój obraz, chciała ją uchronić od wszystkich cierpień i zawodów jakie ją w życiu spotkały, otoczyć wszystkiém czego sama nie znalazła; słowem, dla córki znowu marzyć zaczęła.

Nie ma też w ludzkiej mocy starań którychby Maryi Zagórskiej zabrakło; wykarmiona przez matkę, wypiastowana na ręku szlachetnej i tkliwej niewiasty, którą pani Zagórska w najsmutniejszym wdowiém sieroctwie przytuliła do ży-

wo na cierpienia drugich bijącego serca, i w której nieograniczoną wdzięczność znalazła; Marynia pod najszczęśliwszą wróżbą zdawała się wchodzić w życie. Matka na wszystko baczna i troskliwa, zawczasu już gotowała środki świętego jej ukształcenia, liczyła wiele na powrót



tego który dziś z Adamem podróżował, a po-  
zegnawszy innych jego nauczycieli, uprosiła je-  
dnego by został w jej domu, dopóki Marynia  
starań jego potrzebować nie będzie.

Pan Krysztof Cerański przy końcu zeszłego  
wieku wydalili się z ojcem swoim za granicę,  
w siedmnastym roku życia znalazł się w Hisz-  
panii, ztamtąd przez Francję do stał się do  
Niemiec, gdzie jako professor umieszczony  
w akademii, ożenił się z piękną, tkliwą niem-  
ką, i przez lat parę naukom i domowi odda-  
ny najszcześniejsze pędził życie; ale okropna  
epidemia grassująca naówczas, w jednym  
dniu prawie żonę i dwie maleńkie córeczki mu  
zabrała: wtedy Cerański upadając pod tak cięż-  
kim ciosem, porzucił miejsce co jego szczęścia  
i niedoli świadkiem było, i po jakimś czasie  
zaprażył ujrzeć rodzinne ściany, a przynaj-  
mniej ślady gdzie się wznosiły.

Wrócił do kraju; z czasem uspokoiła się cięż-  
ka boleść jego, ale nie wróciła pogoda umysłu;  
jakiś cień melancholji padł na jego życie, zo-  
bojętniało mu wszystko, tylko jeszcze widok  
małych dzieci zdolnym był uśmiech na jego usta  
wywołać, tylko postać tkliwej matki zwracała  
jego uwagę, przypominając ubiegłe niepowro-  
tnie szczęście.

Kilkanaście lat przepędził w różnych stronach  
Polski jako domowy nauczyciel, w końcu, przez  
dwa lata był przy Adamie głównie dla wydo-  
skonalenia go w językach obcych, których siedm  
czy ośm posiadał, a ujęty wdziękiem maleńkiej  
Maryni, z chęcią pozostał w domu jej matki;  
siadywał nad kolebką dziecięcia, piastował je,  
i nieraz śpiewając jaką tęschną hiszpańską pion-  
kę, zapominał się zupełnie, i imieniem swoich

straconych dzieci nazywał.

Tak ubiegł rok od wyjazdu Adama, rok błogiego pokoju i nadziei, gdy hrabia, coraz bardziej znudzony, coraz węższego zdrowia, postanowił przeciw zwyczajowi całe lato na wsi spędzić. Przygotowano wszystko co tylko Mogło uprzyjemnić mu ten pobyt, bo żona wdzięczna za swobodę jaką jój w ciągu całego poży-

cia zostawił, litująca się tój straszliwój próżni i odmętu, w który cały byt swój rzucił, pragnęła wciągnąć go w cichsze ale pełniejsze, szczęśliwsze istnienie, chciała rozpogodzić o-  
-statnie dni tego życia, którego przez czas tak długi nie mogła wydobyć z pomroki nasuniętój dobrowolnie. Uśmiechała się, myśląc jak-to mu dobrze będzie w tём ustroniu, które dotąd wygnaniem nazywał, jak przy jej staraniach i pieśczo-  
czotach Maryni, zabłyszczą na nowo zgłuszone od tak dawna rodzinne uczucia.

Tylkoż zawsze ogromna, nieprzebyta przestrzeń, marzenia od rzeczywistości przedziela!

Hrabia już nie zdrów wyjechawszy z Warszawy, w połowie drogi zapadł tak ciężko, że wezwani lekarze nie pozwolili oddalić się z miejsca, przynajmniej przez czas jakiś.

Bez chwili namysłu pani Zagórska pospieszyła do męża, czuła całą świętość obowiązku swego, tём bardziej, że to była pierwsza sposobność zrobienia dla niego ofiary. Pobłogosławiła swoją Marynię, okryła ją tysiącem pocałunków, i oddając ją w ręce Żerańskiego i Karolowój, rzekła:

— Strzeżcie mi jój przyjaciele! to mego szczę-

ścia połowa; więcej nawet, bo czuję że bez niej niczembyśmy się już cieszyć nie mogła. Cerański wyciągnął rękę nad główką dziecięcia, jakby jej przysięgał opiekę; zacna piastunka; rzytuliła z płaczem uśmiechającą się Marynię, a hrabina, ze łzami w oku, lecz spokojną myślą wyjechała z domu, przesyłając ręką i wejrzeniem ostatnie pożegnanie rozkosznej dziecinie. Pan Zagórski ciężko chorował, obawiano się zupełnego paraliżu, starania i bacność żony mogły o życiu jego stanowić, bez żalu więc, bez oznaki utrudzenia przepędzała dni i nocy u wezłowania męża; ale w chwilach snu lub większej jego spokojności, tęskno było matce za pieczyotami jedynaczki, zazdrościła tej troskliwości, którą kto inny otaczał Marynię; i kiedy jeszcze przynajmniej cały miesiąc pobytu nakazywano hrabiemu w małym miasteczku gdzie dotąd chorował, napisała do Karolowej, by przy świetnej czerwcowej pogodzie przywiozła jej córkę.

Z nieopisaną przezornością wybrano się w drogę; hrabina wydała rozporządzenia podróży aż do najmniejszych drobnostek, sumienni stróże jej skarbu, stosowali się do nich ściśle; jechano

tylko po kilka mil na dzień, żeby nie utrudzić dziecięcia, stawano w miejscach wskazanych, słowem, najszcześliwiej zajechano do miejsca, z kąd już tylko kilka godzin drogi przedzielało córkę od matki.

Była-to niewielka wioseczka; porządna, dobry byt wieśniaków znać było z całej ich powierzchowności; podróżni nasi unikając nazwyczaj wiejskich karczem, stanęli w najzamożniejszej wiejskiej chacie, dowiedziawszy się wprzód od gospodarzy że im dzieci zdrowe. Rozpakowano powóz lekkiój naprawy potrzebujący, obiecując sobie kilkogodzinny wypoczynek, gdy nagle za zbliżeniem południowój godziny uderzono w dzwony na kościółku stojącym trochę opodal wsi, i tłum ludu z kilkumilowego okręgu na odpust przybyły rozsypał się po wsi i zaludnił, ożywił ją nad miarę. Nie było chałupy gdzieby gość, kum, sąsiad, pokrewny nie zawitał, izdebka w której się dotąd Marynia bawiła napełniła się nowo przybyłemi, gospodyni ucztowaniem ich zajęta nie myślała już o pannach, którzy przecież podług jój mniemania prędzój sobie przy pieniądzach radę dać mogli,

jak pobożni sąsiedzi postem, pieszą podróżą i długa modlitwa znużeni.

Przeniesiono zatem Marynię do maleńkiój, czysto umiecionój i próżnej jeszcze stodółki, i podczas gdy Ceraiiski pobiegł do kowala by naprawę powozu przyspieszyć, Karolowa z młodą do usług wziętą dziewczyną, pilnując śpiącój Maryni, tu pozostać miały.

Śliczna dziecina u winieta w miękki jedwabny płaszczyk, spoczywała na dywanie którym kilka snopków słomy pokryto, pulchne rączki z koralowými bransoletkami podłożywszy sobie pod głowę; jasne włosy wydobywające się z pod aksamitnej czapeczki przysłaniały cokolwiek miłą, świeżą twarzą, a cienka koron-

kowa chusteczka lekko na wierzch rzucona, chroniła słodki sen dziecięcia od much natrętnych.

Czekając spokojnie przybycia powozu, pani Karolowa poczęła sobie odmawiać stosowne na ów dzień modlitwy, gdy krzyk przeraźliwy od chaty pochodzący przerwał jój zajęcie; wysłana dziewczyna wróciła z odpowiedzią, że dziecina chora na odpust przyniesiona, w okropnych męczy się konwulsyach, a matka która już sze-

ścioro dzieci w ten sposób straciła, w najokropniejszej rozpaczycy krzyczy i ręce załamuje.

Wzruszyło się litością serce zacnej kobiety na obraz tak głębokiego strapienia, przymknęła drzwi stodoły, i polecając dziewczynie ani na chwilę nie odchodzić od dziecięcia, wybiegła; ufna w wiadomości lekarskie jakich przy pani Zagórskiej nabyła, spodziewała się dobrą radą, lub chwilką starania usunąć niebezpieczeństwo tak często dzieciom grożące.

Słowo wolniej niż myśl przebiega, czyn nie zrówna słowu w szybkości, i ta pomoc co le dwie chwil kilka zająć miała Karolowój, przedłużyła się nad jój zamiar.

Dziewczyna sama z dzieckiem w stodółce zostawszy, z początku oganiała muchy z panienki, potem znużona cichością i mrokiem odwróciła się do ściany w której szerokie szpary dozwalały jój patrzeć na pola i ogrody; w krotce głosy bliskie uderzyły jój ucho, a postać starzej zgarbionej niewiasty wróżącej z ręki dwóm wiejskim dziewczętom, tuż pod samą stodołą, całą jój uwagę zwróciła.

Tymczasem, uchylono wrota stodoły, i kobiéta łachmanami okryta, w proszácój postawie zbliżyła się do dziecięcia, lecz wnet spostrzegłszy że przy niem nikogo nie było, bo pilnująca niby, idąc za popędem ciekawości, w najdalszy kąt budynku się odsunęła i wzrok z słuchem razem na zewnątrz natężyła; kobieta ściąga po mału koronkę z twarazy Maryni, kryje ją po cichu pod swoją odzież — ale jakże zostawić (tyle jeszcze bogatych rzeczy jeśli je zabrać można? nagle, szczęśliwa myśl jój przychodzi, zdejmując ubranie obudzi dziecę, a krzyk jego zwabi niezawodnie kogo co tylko przypadkiem musiał się oddalić; podnosi więc lekko dziewczynkę, tuli ją szybko do siebie, okrywa płachtą, i spieszy przez ploty i pola do lasku, gdzie pozdejmuje wszystkie kosztowności, a dziecko posadzi pod drzewem, żeby go sobie zabrali znalazłszy.

Nie trzeba było długiego czasu na wykonanie całego tego zamiaru; tylko w zaroślach, żebraczka na inny pomysł wpadła; nie wypadało bawić w pobliżu w takim natłoku ludu, szła więc coraz prędzej i dalej, a w głowie jój rosły coraz nowe myśli. Po co zostawiać to dziecę? ona znana w okolicy mało już użebrać mogła, można było w dalszój obcój stronie,

z piękną dzieciną na ręku, niby wnuczką ukochaną, więcej litości obudzić, więcej uzbierać; i Marynia kołysana chodem żebraczki oddalała się coraz prędzej od szczęśliwego swego dzieciństwa, wchodziła, nie czując tego, na drogę boleści, niedoli i ponizenia.

Nie ma słów na opisanie przerażenia Karolowej i Ceraińskiego, gdysza powrotem przekonali się o zniknięciu Maryni, nie było nic w władzy ludzkiej czego by nie użyto dla jej wynalezienia, ale w tym tłumie ludu krzyżującego się po wszystkich ścieżkach, w zgiełku i rozruchu samym pośpiechem poszukiwań zrządzonym, znikły zupełnie ślady dziecięcia.

Rozpacz hrabiny, tylko w jej położeniu będąc wyobrazić sobie można. Kiedy matka traci dziecko zwyczajnym sposobem, kiedy rozdartym sercem czuje jak duch jego z ziemi ku niebu się wznosi, wtedy do gorzkiej boleści łączy się jakieś łagodniejsze uczucie, myśl podnosi się ku Bogu, i płacze za dzieckiem, uśmiecha się do aniołka; ale kiedy straconego skarbu nie w niebie, lecz na szerokiej ziemi myślać szukać trzeba, kiedy zamiast go widzieć z skrzydłami u ramion, wśród

światła i miłości; trzeba przypuścić że go może wszelkie rodzaje nędzy i cierpienia uciśkają, że to dziecko co pociechą, szczęściem, chlubą matki być mogło; może o! bo któż zgadnie co się stanie z ukradzionym dzieckiem?

Raz jeszcze zupełna zmiana zaszła w pani Zagórskiej; gwałtowna, szalona boleść pierwszej chwili, przeszła własną siłą popchnięta; gorączkowe usiłowania odzyskania córki, porządniej się układać zaczęły; oburzenie żalowi ustąpiło miejsca. W pół roku po stracie Maryni, hrabina nieopuszczając już zparaliżowanego męża, dzieliła serce swoje między Adama, który podług nadanego już popędu

kształcił się na użytecznego człowieka, i Marynię, którą nieszczęśliwa matka ściagała myślą we wszystkich możliwych położeniach, na której odszukanie nie przestawała starań i kosztów łożyć, utrzymując nawet w tym celu, po różnych stronach osoby, mające za jedyny obowiązek sprawdzanie pochodzenia dzieci, żyjących przy osobach do których rodziny nie należały.

Cały czas swój poświęcała mężowi; chciała

teraz przynajmniej zrobić dla niego więcej jak dotąd.

— To kara boża! mawiała; ja tylko dla siebie i dla dzieci żyłam; i dotkniętą jestem w tém co najwyżej ceniłam.

A mówiąc to, drżała w myśli o Adama, bo czuła że teraz więcej go jeszcze kocha; lękała się kochać, by i na niego nieszczęścia nie ściągnąć.

Właśnie kiedy po sześciu latach pobytu za granicą, Adam miał wrócić do kraju, umarł jego ojciec; a matka straciwszy nadzieję, którą zbyt długo się łudziła, poczęła wierzyć że już tylko jedyne ma dziecię, i urządziwszy znakomity majątek, pojechała do syna, by w obcém miejscu zostawić resztę niepewności i nadziei wracającej jeszcze chwilami, i pobudzającej ją do działalności, która zawsze bez owocu zostając w coraz cięższe zniechęcenie rzucała nieszczęśliwą.

Przed wyjazdem swoim hrabina pragnęła zostawić dowody pamięci wszystkim, którzy z jęj rodziną w domowych zostawali stosunkach, ale Karolowej i Ceraińskiego, których od straszli-



wego wypadku wcale widzieć nie chciała, nie

było śladu; mówiono tylko że dawnego nauczyciela widziano przed kilkoma laty jako braciszka w karmelickim klasztorze w Lublinie., ale że nie długo tam przemieszkawszy, oddalił się; o długoletniej zaś towarzyszyki swojej losie nic się nie dowiedziała hrabina. Może znękana nowym ciosem, tym cięższym że nie w nią, lecz przez nią w drugą istotę ugodził, skończyła wątle i nieszczęśliwe życie.

Wracamy w nasze czasy, do znanój przyrodznej kamienicy w Rynku Starego Miasta.

Na pierwszym piętrze od ulicy, przed stołem na którym rozmaite rozłożono papiery, siedzi hrabina Zagórska. Pięćdziesiąt kilka lat i ciężkie zmartwienia przeszły nad jój głową, nic więc dziwnego że czarne, i kruczego połysku włosy, do srebrnej białości się zbliżyły; ale choć wątła postać pochyliła się widocznie, choć z bladój twarzy znikło nawet wspomnienie uśmiechu, siła życia i ducha tłała w czarnych oczach, któremi pani Zagórska wodziła dokoła pokoju. Mało już teraz znajdziesz takich pokoi; byłato

ogromna kwadratowa sala, trzema wysokimi oknami oświetlona, a przecież ciemna i ponura, bo wysokie ściany pokrywał ponsowy niegdyś lecz dziś zczerniały zupełnie adamaszek, drzwi,

okiennice i lamperye z starego dębu, równie ciemną barwę miały, tylko świecące mosiężne klamki, tylko niestarta jeszcze dawnych ram pozłota błyszcząły gdzie-niegdzie na tém tle posepném.

Hrabina poglądała na wszystko zadumanym wzrokiem; każdy przedmiot, każdy kącik przypominał jój dawno minione lata; przy tym ogromnym piecu na którego kaflach najdziwniejsze figury błękitną pokreślono barwą, siadywała nieraz w dzieciństwie, ciekawa zbadać w jakim też kraju żyją te potworne zwierzęta, gdzie takie pałace budują, jakie skrzywiona wyobraźnia malarza fabrycznego na tę glinianą, a przecież już od wieków trwającą lepiankę rzuciła.

Przed tym, dziś już zakopciałym obrazem nad głównými drzwiami wmurowanym, ale widocznie pod pędzlem mistrza powstałym, nieraz także stawała młoda a próżna córka piekarza, podziwiając smak wytworny stroju, w którym przedstawiono pasterki, białej trzódki strzegące,

ani ciemna w małe kwadraty układana posadzka, ani ów sufit płócienny, może jedyny w naszym czasie w domach całej Warszawy, na który patrząc w dzieciństwie drżała często z obawy, nie umiając sobie wytłumaczyć szelestu i dziwnych jego poruszeń, kiedy myszy zwabione do domu zapachem mąki, wesołe po rozciągniętym płótnie wyprawiały gonitwy; słowem, nic tu obojętném hrabinie nie było. Cała jój młodość rozwijała się wybitnie w pamięci starój kobiety, wszystkie dalszego życia wspomnienia stawały w jój umyśle; żyła na nowo minioném życiem, i kiedy doszła do pewnego punktu, gorzkie łzy pomału toczyć się zaczęły, po białej jak murmur twarzy.

Otworzyła niewielką, stojącą przed nią szkatułkę, w której oddawna zawarte były jedyne pamiątki po córce pozostałe, bransoletka koralowa, maleńki kolczyk złoty i trzewiczek jedwabny; wszystkie te przedmioty odzyskała hrabina powoli], skutkiem licznych ogłoszeń w dziennikach, po kościołach, po rynkach miejskich, skutkiem nagród przyrzekanych, za wskazanie śladu dziecięcia. Ile to zawodów przebyła strapiona matka! ile to dzieci przypro-

wadzano jój podstępnie, ile razy serce jój było radosném oczekiwaniem wzruszone; ale zawsze brakowało mniemanój córce znaku, którego prawdziwa stracić nie mogła.

Zostawim panią Zagórską oddaną wspomnieniom szczęścia i cierpienia a zejdziemy o kilkanaście stopni niżej.

Zapomniałam powiedzieć, że to było w jesieni, że już ośm miesięcy upłynęło od czasu, gdy żywe pełne wyrazu oczy Anusi Koprównój straciły uroczę swoje spojrzenie; w mieszkaniu starój tokarki boleść i niedostatek zajęły na nowo miejsce spokojnego choć ubogiego bytu. Matka nie wstając z łóżka już od kilku tygodni, robiła jednakże pończochę, Staś pół roku nie chodzący do szkoły, w podartój odzieży i bez obuwia siedząc za stolikiem, kleił pudelka, które nazajutrz spodziewał się sprzedać na targu, garstka starój słomy i pęczek cienkiego łyiczka, świadczyły że chłopczyna i słomianki pod nogi wyrabiać próbował; bo też teraz na nim spoczywały całe domowe kłopoty, on matce i sio-

strze usługiwał, przedawał w sklepiku co jeszcze z dawniejszych było towarów, bo nowych nakupić już było niepodobna, i z pomocą poczciwej sąsiadki Michałowej, jakkolwiek radził wszystkiemu.

Pod oknem, w zwyczajnym swoim miejscu Anusia z zawiązanymi oczyma, z wybladłą twarzą pracowała gorliwie nad kołdrą z grubiej kolorowej wełny, którą żelaznym wiązała haczykiem, bo ubogiego, ani młodość zbytnia, ani choroba, ani nawet kalectwo nie uwalnia od pracy.

Smutno i cicho było w sklepiku, niedługo wypadało opuścić dotychczasowe mieszkanie, którego opłacać nie można było dalej, a żaden widok utrzymania nadal życia nie przedstawiał się jeszcze. Oprócz trosk zwyczajnych, oprócz głębokiego uczucia własnej niedoli, inna jeszcze boleść szarpała serce Anusi.

Pobożna i wierna chrześcijanka, pomimo nieszczęsnego kalectwa, nie zapomniała ślubowanej pielgrzymki do Częstochowy; wśród lata, wybrała się pieszo, w towarzystwie znajomych i serdecznie jej życzliwych osób, w tę drogę którą tyle już tysięcy ludzi przedsiębrało w je-

dnym celu, w celu złożenia swoich cierpień, smutków i nadziei tam, zkad nikt jeszcze bez ulgi i pociechy nie wrócił.

Młodość, wdzięk, nieszczęście, a nadewszystko ożywiająca ją pobożność, powszechne dla niej wzbudziły współczucie, obsypywano ją do-

wodami życzliwości, kilku przejeżdżających lekarzy badało stan jej oczu, lecz żaden ani słówkiem nadziei nie pocieszył kaleki; ona leż cała w modlitwie zatopiona w Bogu tylko ufająca, niczego już nie spodziewała się od ludzi, a przecież spokojniejsza, mniej nieszczęśliwa powróciła do matki.

Ale tu wielka czekała ją nowina,

Jerzy, który po zupełnem wyzdrowieniu, skutkiem życzliwości przełożonego fabryki i własnych usiłowań, został pomocnikiem mechanika; który choć ciężko i boleśnie uczuł nieszczęście dotykające Anusię nie zmienił się wraz powziętych dla niej uczuciach, i choć biedna dziewczyna z mocnym postanowieniem zapewniała go, że dopóki tak ciężkiem dotkniętą będzie kalectwem, nie zostanie jego żoną, że znękanemu własnem i tak długiem cierpieniem, nie pozwoli przykuć swego losu, do losu na pół tylko żyjącej, bo

nie mogącej pracować istoty; poczciwy chłopiec nie przestawał bywać w domu Koprowej, sprowadzać lekarzy, i spodziewać się w brew ich zapewnieniom uzdrowienia Anusi; otóż, ten Jerzy, w czasie pielgrzymki Anusi, nic nikomu nie mówiąc wyjechał z przełożonym swoim zagranicę, i żadnej odtąd nie dał o sobie wiadomości.

Zrazu niepewność, a później rozpacz ponura zaległa duszę Anusi; wprawdzie, szczerze choć z ciężkim serca bólem odmawiała mu swęj ręki,

bo jój tak prawość i sumienie nakazywały, ale spodziewała się, że życzliwość, przyjaźń, szacunek Jerzego, na wieki jój zostaną, i to w widoku gorzkiej przyszłości pocieszało ją jedynie; tymczasem za chwilowém oddaleniem zapomniano, porzucono ją bez względu, bez wspomnienia, to było za ciężko!

Smutno więc i cicho było w sklepiku owego jesiennego ranka, gdy powoli uchylono drzwi od sieni i czarno przybrana kobiéta weszła do mieszkania Koprowej.

— Panna Wyżewska! rzekła słabym głosem tokarka; nie wiem czy pani znajdziesz czego potrzeba, bo już prawie nic towaru nie mamy.

— Nie idzie o to, kochana pani! chcę tylko pomówić z wami; wiem, mówiła zbliżając się do staruszki i biorąc jój rękę, że w trudném jesteście położeniu; nie rumień się panno Anno! tak szlachetnie znoszone ubóstwo nie wstyd, lecz zaszczyt przynosi; wiem i to, dodała Rumieniąc się sama, że niczyjego wsparcia przyjąć nie chcecie

— Owszem! przerwała Anusia, czyliż pan Zagórski nie udziela mi rady, nie daje lekarstw?

— Których działalność niweczy ciągła praca i zmartwienie; pojmuję taką dumę, rozumiem że odtrąć rękę tych co się wam sercem za służyć jeszcze nie zdołali; jednak bywa pomoc której się odsuwać nie godzi, tém bardziej gdy się ona do wszystkiego co nam jest drogiem rozciągnąć może. Pani jesteś wpisana do Arcybractwa nieustającej adoracyi N. Sakramentu?

— O tak! ale dawno już w kościele być nie mogłam.

— Jesteśmy więc siostrami, i oto upoważnienie odwiedzania i pocieszaniu cierpiących, rzekła wyjmując z kieszonki papier drukowany; a to, pomoc jaką pani od Arcybractwa co mie-

siąc pobierać będziesz, aż do zupełnego przyjscia do zdrowia.

Zofja złożyła mały woreczek na kołdrze Koprowej i, a drzwi uchylono zwolna i zapytano ostrożnie:

— Czy można?

Za otrzymaną odpowiedzią wszedł pytający; z uśmiechem spojrzeli na siebie z Zofją, ale na ich twarzach nie było wyrazu zdziwienia; nieraz już zdarzyło się ojcu spotkać z córką w schronieniu nędzy,

Wyżewski upoważniony z Urzędu Starszych Zgromadzenia tokarzy, wręczył Koprowej, jako wdowie wypłatnego majstra ze strony tegoż zgromadzenia dość znaczne wsparcie, i prosił by pozwoliła synowi przychodzić do niego na parę godzin codziennie, dla przepisywania ważnych rękopismów, których obcym powierzać nie chciał.

Zofja pożegnała tkliwie Anusię, a ściskając drżącą jej rękę, prosiła tak serdecznie o życzliwość i zaufanie, że w biednym sercu wyrobicy tak długo żalem do ludzi ściśnionem, słodkie jakieś powstało wzruszenie.

W niedługą chwilę wstąpił do sklepu Adam

Zagórski, wracający z miasta. Poznał był Anusię w Częstochowie, z jęj mowy dowiedział się o mieszkaniu które pragnął nająć dla matki, a stawszy się sąsiadem niewidomęj odwiedzał ją, badał dokładnięj chorobę, dawał rady, próbował lekarstw, i choć nie wspomniął nadziei, miał ją jednak wewnątrznie, i pewnym był, że silne a błogie wzruszenie w stosownęj przypadłe chwili, mogłoby przywrócić wzrok, również skutkiem wzruszeń stracony. Widzicie że ten lekarz duszę za podstawę zdrowia uważał, że jeżeli ciału rady jakie dawał, to dla tego tylko, by zbytnią nieudolnością poruszeń ducha nie tamowało; zwyczajnie dziwak!

Przez chwilę rozmawiał z Anusią, trzymając jęj rękę, pytał czy w ostatnich dniach nie czuła usposobienia do płaczu, i wyraz głębokiej radości ożywił twarz jego, gdy niewidoma powiedziała, że przed chwilą czuła słabe drganie w źrenicach, chociaż pozostały suchými od czasu utracenia wzroku.

Nagle zarumieniły się lica Anusi, zadrżały jęj usta; Adam trzymający jęj rękę uczuł podwójone pulsu bicie, a niezadługo, miarowe uderzenia po ulicznym bruku, jak gdyby ktoś

idący kijem się podpięrał, dały się słyszć przed domem; każdy odgłos taki odbijał się w całej istocie Anusi, a kiedy się pod samými drzwiami sklepiku rozległ, tak była bladą i wysiloną, że młody lekarz lękał się omdlenia, tak



widocznie cała siła życia wewnątrz się zwróciła.

Jerzy, od kilku miesięcy przez całą rodzinę potępiony tajemnie, z otwartą i pocziwą twarzą, z łzą w oku a uśmiechem na ustach, stał na środku sklepika; zrazu milczenie jakim go przyjęto, ten młody człowiek trzymający rękę Anusi, wstrzymały wyrazy na jego ustach; ale zaspokojony widocznie lekarską troskliwością Adama, i przypominając sobie coś dawniej słyszanego, zbliżył się do drżącój i bladój jeszcze dziewczyny:

— Panno Anno! rzekł z uczuciem.

— Anusiu! powtórzył tkliwiój, nie odebrawszy odpowiedzi; czyż mnie nie powitasz?

Ujął drugą jej rękę, i ściskając serdecznie mówił z wzruszeniem:

— Posądziłaś mnie, wiem o tém, ale to źle było. Patrz pan, mówił zwracając się do Adama, bo wiem i widzę żeś pan życzliwy temu

domowi; oto patent na mechanika i dowód zdanego egzaminu; odtąd mam przyzwoite i nie zbyt utrudzające utrzymanie, odtąd mogę wygodnie żyć z żoną któraby na małym przestawać umiała. Anusiu! czy nie wierzysz?

Anusia obiema rękami przyciskała serce co piersi rozerwać groziło.

— Pamiętasz figlarko? mówił dalej sam silnie wzruszony Jerzy; pamiętasz kiedy odrzucając biednego kulawego mówiłaś: — nie mogę żyć z twojój ciężkiej pracy! gdybyś to miał jakiś spokojny sposób do życia, to co innego! Mogłabym cicho siedzieć w domu i myśleć, że ty

kaleka, dla mego utrzymania młotem pracować musisz. — Tak mówiłaś, boś myślała że nigdy inaczej być nie może. —

— A teraz widzisz, okiem, głową, ołówkiem pracować będę, młotek tylko za zabawkę mi posłuży; teraz, nieprawdaż przyjmiesz moją rękę?

Anusi ręce drgały konwulsyjnie, otwierały się usta, twarz bladła i rumieniła się na przemiany, lekarz nie puszczał jej dłoni.

— Oczy? zapytał, czy drżą i bolą?

Niewidoma uspokoiła się na chwilę i zebra-

wszy uwagę, lekkim skinieniem głowy potwierdziła słowa Adama.

— O panie! zawołał Jerzy, czyliżby była jaka nadzieja?

— Oczy? zapytał Adam, czy jeszcze suche? Potok łez z pod chustki spływający po strudzonej twarzy Anusi dobitną był odpowiedzią.

— Teraz, rzekł poważnie lekarz, teraz mam prawie pewność że widzieć będzie.

Zostawiwszy Koprowej i Jerzemu przepisy jak postępować z chorą, zaleciwszy największą spokojność wewnętrzną i zewnętrzną ciszę, Adam wrócił do matki, sam żywo wzruszony, i opowiedziawszy jej pokrótce co się stało, dodał:

— Dzięki tobie, takie wzruszenia co dzień mnie spotykać mogą, czyżbym ich doznał lub innym je sprowadził, pozostawszy tylko słupkiem do dźwigania zostawionego po przodkach nazwiska?

— Panie! o panie zlituj się! zawołała wbiegając do salonu hrabiny Marynka Mościckiej  
- Moja pani zemdląca, a jegomość chyba nie żyje  
Dziewczątka łzami zalane tak było wzruszone, że o ścianę opierać się musiało.

— Pójdź pan! ratuj! wszyscy mówią żeś taki dobry.

— Idę, ależ moja Marynko tobie najprzód pomocy potrzeba.

— Marynka? krzyknęła zrywając się hrabina i podając flakon z woniami dziewczynce.  
Adam spojrział na matkę z zadziwieniem i powagą.

— O! bądź spokojny! rzekła, ja będę rozważna, ostrożna; czyliżem mało zawodów spotkała?

Młody lekarz zszedł na dół, dziewczynka chciała biec za nim.

— Poczekaj chwilkę moje dziecko, rzekła hrabina, a do wchodzącej na brząk dzwonka pokojowej dodała: Zejdź za panem Adamem; tam pomocy potrzebują.

— List do pani hrabiny!

— Dobrze, idź tylko! i hrabina rzuciła z niechęcią list między papiery na stole rozrzucone; lecz wzięła go znowu, i odrywając oczy od twarzy zdziwionej Maryniu, złamała pieczętę.

- Uspokoję się tymczasem, mówiła.

List jakkolwiek w obojętnych skreślony wy-

razach, ważną zawiera! wiadomość.

Karolowa, nieszczęśliwa malęż Maryi opiekunka i piastunka, której ślad po kilka razy znajdowany znikał wkrótce mimo starań hrabiny, jej tkliwa, długoletnia przyjaciółka żyła, w nędzy, z litości drugiej nędzarki na poddaszu tego samego domu, w którym teraz po długim odrętwieniu znów strapionej matce błyskała nadzieja znalezienia córki.

— Zostań tu! rzekła żywo dziewczynce, która zmieszana obecnością swoją w mieszkaniu hrabiny, na którą tylko z daleka, jako na wielką panią poglądała od czasu, gdy z zagranicy wróciwszy pierwsze piętro zajęła, i nie śmiała prawie ruszyć się z nieśmiałości i zawstydenia; — zostań! ja zaraz wrócę.

I weszła do maleńkiego w rogu sali gabinetu, gdzie tylko krzyż wielki na ścianie i pod nim klęcznik zużyty świadczyły jakie było tego miejsca przeznaczenie. Tam z bijacem sercem padłszy na kolana, błagała niebo o światło, o spokojność, bo znówo i silniej niż kie-

dykolwiek cała jej dusza wydzieraa się ku temu dziecięciu w ubogim ubraniu z bosymi nóżkami. Wróciwszy do salonu, posadziła Marynkę rzy sobie, i zadając obojętne sobie pytania, wpatrywała się w oczy dziewczęcia; roztkliwiał ją dźwięk głosu którym opowiadała o zdarzonym nieszczęściu.

— Moja pani zemdlaa, zobaczywszy że jej pieniądze z piwnicy ukradli; a tam nikt być nie mógł, chyba moja babula.

— Masz babkę! przerwała hrabina, tracąc od razu nadzieję.

— To podobno nie prawdziwa; długo nie dowiadywała się o mnie, ale wczoraj, przyszła, obiecywała mi — och! że mi matkę moją pokaże! Płakała że jój zimno, puściłam ją do kuchni; spała długo, potem poszła o pani? i nie powiedziała mi nic o matce!

Tu nie mogąc się dłużej powstrzymać, hrabina gwałtownie zrzuciła płócienny czépeczek pokrywający ciemne włosy Marynki.

Na obu uszach były ślady przekłócia do kolczyków, a prócz tego na lewym mały biały znaczek; znać niewprawna ręka władała igłą bo i w niewłaściwym miejscu przebiło chrzą-

stkę, i zbyt silnie pchnięty koniec ostrego narzędzia, drasnął głęboko ciało po za uchem.

Był to znak lekki, ale niewątpliwy; tak drobne przypadki nie powtarzają się często, i tego to znaku hrabina u tyłu dzieci szukała.

Ani zbytku boleści, ani radości nadmiaru opisywać się nie odważam, to tylko pewna, że całe życie surowej pracy, kilkanaście lat cierpienia, ta chwila nagrodziła sowicie.

Nie potrzebuję powiadać, że pani Karolowa i jój dobrodziejka zmieniły sposób życia, że biedna kaleka wróciła do tyle ukochanej Maryi by ją teraz ani na chwilę nie odstąpić, że państwu Mościckim hrabina nagrodziła ukradzione pieniądze, bo nic nadto przyjąć nie chcieli, utrzymując: że przytulając opuszczoną sierotkę, wypełnili tylko chrześcijański obowiązek; i że Marynka z czystą duszą, tkliwém sercem i umysłem zbudzonym serdecznemi staraniami Zofji Wyżewskiej, odpowiedziała wszystkim matki nadziejom.

Dodam jeszcze, że ujęta na inną kradzieży żebraczka, wyznała między innymi, gdzie i kiedy Marynkę porwała, i że stróż Krysztof, od miesiąca chorujący w szpitalu, wyszedłszy

z niego w parę dni po znalezieniu hrabianki Zagórskiej, i wysłuchawszy od pani Mościckiej opowiedzenia wszystkich w czasie jego nieobecności zaszłych zdarzeń, zatarł ręce radośnie i zawołał: — to! to! to!

Nazajutrz wyniesiono go nieżywym z małej i ciemnej, pod schodami będącej komórki.

W miesiąc potem u Fary, w kaplicy Pana Jezusa, w ciszy i pokoju, sługa Boży błogosławił związek Adama Zagórskiego z Zofją Wyżewską, a za nimi otoczony rodziną i przyjaciółmi stanął Jerzy, któremu szczudło nie ujęło szlachetności poruszeń i postawy, i Anusia piękna zawsze, choć blada i cokolwiek przymrużonemi oczyma patrząca.

## V. ROZMAITOŚCI.

. Na ulicach.

Nikt nie zaprzeczy, że ulice Warszawy mają nie tylko wybitną postać, lecz i właściwą każdą fizyonomją; że ta fizyonomja, ten wyraz życia zmienia się nawet po kilka razy na dzień; spojrzymy na Nowy Świat: rano do godziny ósmej powiedziałbyś, że to wielki przysionek szkolny, tylu uczniów z tekami pod ręką, z czapkami nasuniętymi na oczy snuje się od Alei, aż do Krakowskiego Przedmieścia, a po-

między nimi, tylko kucharki z koszykami i kosałkami w tę lub ową stronę spieszą; od godziny dziesiątej do drugiej z południa, zobaczysz mieszkańców Nowego Świata wychodzących na miasto za sprawami swojemi, urzędników spieszących do bióra lub ztamtąd wracających, wreszcie matki i mamki spacerujące

z dziećmi pieszo lub powozami. Od trzeciej do wieczora świat elegancki występuje na kamienne flizy; teraz-to zobaczysz modne fulary i atlasy, mantyle i wizytki, pióra i wstęgi powiewające ku ogólnemu podziwianiu, szamerowane algierki, kuse bonżurki, filozoficzne paltosaki, z laseczkami, lorynetkami i cygarniczkami snują się wśród tego świetnego zgiełku — rozmowy nie usłyszysz; ledwie czasem urwane cudzoziemskie zdanie brzęknie ci koło ucha, bo też tu nie na rozmowę się idzie — dla przechadzki? — wątpię, bo możnaż tak nazwać przejście kilkuset kroków, z których każdy potrąceniem, nadeptaniem, otarciem się o sąsiada naznaczyć można — dla świeżego powietrza? — jeżeli kto mniema znaleźć je wśród kurzu wapiennego, podnoszonego nieustannie długimi kobięciami sukniami i ciągłym powozów przejazdem. Tu się przychodzi po prostu dla pokazania garderoby, i nie raz na myśl mi przychodzi, że to pewnie jaka dowcipna modniarka wymyśliła ten popis, żeby na obszerném polu utwory swojej zręczności pokazać światu. Około godziny siódmej W zimie, a dziewiątej wieczorem letnim, uspakaja się ten ruch pieszy, i już tylko powo-

zy ku miastu się toczące przerywają ciszę opu-  
ściałej ulicy.

Są ulice któremi tylko w koniecznym wy-  
padku się przechodzi, są takie gdzie za wszel-  
kiemi sprawunkami udać się można z pewnością  
znalezienia szukanego przedmiotu, a temi są  
bez wątpienia: Krakowskie przedmieście, ulice  
Senatorska i Miodowa, gdzie składy najrozma-  
itszych towarów zgodnie jeden obok drugiego  
się mieszczą; sklep z książkami, i tuż loki przy-  
prawne lub farba do czernienia włosów; bry-  
lantowe ozdoby i fałszywe zęby, kryształy i  
jedwabie, hafty i ryciny, brzozy i szynki lub  
ozory wędzone, słowem wszystko czego za-  
żądać można mieści się w nie zbyt rozległym,  
wygodnie i ozdobnie urządzonej obrębie.

Ale prócz wyrazu właściwego każdej nie-  
mal ulicy, spotkasz na bruku każdej z nich  
ów handel i przemysł uliczny, który choć nie  
tak udoskonalony jak naprzykład paryzki, prze-  
cież i w Warszawie szeroko i rozmaicie się  
rozgałęził.

Pomiędzy żydków dziś już nie brodą się od-  
znaczających, którzy z pękami lasek i fajek,  
z kołdrami i szlafrokami, z skrzyneczkami peł-

nými drobnostek przebiegając każdy zakątek  
miasta wołają: handel! jegomość! proszę pani!  
a nawet: madame! monsieur! regardez s' il vous  
plait.

Pomiędzy chłopaków roznoszących w ko-  
szach karmelki i pierniki, których sami wprzód  
pokosztowali; babule obwarzanki sprzedające,



i te dziewczęta lub kobiety które kupcowymi czterech pór roku nazwać można, bo na wiosnę zobaczysz je roznoszące bukiety z Fijołków i rezedy, w lecie wiśnie i poziomki sprzedają, w jesieni handlują rumianemi jabłkami, grzybami ciemnymi, a w zimie do śledzi i cebuli zstępują; to wszystko nie jest niebezpiecznym, bo tylko koniecznie potrzebujących nęci; ale ileż to razy wypróżni się sakiewka, chociaż tylko od przypadku, z zapomnienia wzięta była z domu.

Tu stoi cały kram koszykarskich wyrobów, proste, lekkie, a ozdobne a tanie! kupujesz. Dalej sprzedają brązowe posrebrzane i pozłacane igielniczki, po parę groszy sztuka! Na rogu ulicy stanęła uboga ogrodniczka z koszem kwitnących lewkonij lub pelargonij, zmęczona, sprzedaje za pół ceny, byle się pozbyć towaru; przy stoliku na rogu ulicy postawionym rozsiadł się

Astrachańczyk, chwalaćcy słodkie swego kraju winogrona, i różowe z czarnemi pestkami kawony; na chodniku napada cię waciarka, i lekkim towarem częstując osypuje białym Puchem. Przytulony gdzie do ściany stoi chłopczyk stolarski, a przed nim linijki, krosienka, nieraz ozdobny stoliczek; nie chcesz kupić bo ci do domu daleko, zanieś za tobą bez wynagrodzenia, kup tylko, bo i po cóż do sklepów się trudzić?

Słowem chodząc tylko po ulicach Warszawy i nigdzie nie wstępując, wiele nakupić, wiele pieniędzy wypruszyć można; nadewszystko jeśli masz dzieci i idziesz z niemi, wtedy biada ci! Z jednej strony kuszą je owocami; ztąd ciastka

świeże, pachnące nęcą gwałtownie smak i powonienie ; lam szereg lalek przyjaźnie na nie pogląda z framugi jakiego muru.

— Paniczu! biczyki! konie! wózki! woła chłopaczek uginający się pod koszem zabawek.

— Gospodarstwo w gruszczyce lub jabłuszku drewnianem! wychwala żona jakiego tokarza, co nie ma za co najać sklepu by w nim swoje wyroby przedawał.

— Obrazki w ramkach i bez ramek! książę-

czki nabożne! wykrzykuje donośnie introliigatorczyk.

I za prawdę wielkiej potrzeba mocy nad sobą i małymi towarzyszami przechadzki, wielkiego nawyknienia do tego ulicznego zgiełku, żeby z przydłuższej po mieście wycieczki, bez żadnego sprawunku do domu powrócić.

Wśród całego tłumu handlarzy i przemysłowców, są przecież i wybitniej odznaczające się typy; do znanych powszechnie i ogólne posiadających współzucie, należą bez wątpienia:

. Dróciarze

Czém w Londynie czeskie miotlarki, w Paryżu Sabaudczykowie, tém w Warszawie są Druciarze. Mieszkańcy górzystej Karpackiej krainy, bliżcy nam mową i wiarą n przyciśnieni głodem i nędzą tak powszechną wśród gór niezrównych, przychodzą do nas biedacy, nie po zyski wzorem licznych cudzoziemców, ale po chleb: nie dla zebrania majątku, lecz dla utrzymania życia, i nie można też zaprzeczyć, że w całym kraju szczeriej doznają gościnności.

Jakkolwiek znani są pod ogólną nazwą Dró-

ciarzy, nie należy mniemać iż to jest jedyném ich rzemiosłem; są między nimi kotlarze, szewcy, bednarze, cieśle nawet; ale łatwiej biédakowi o kawałek drótu i żelazne szczypczyki, niż o inne narzędzia; snadniej nieznanemu przychodniowi powierzą garnek stłuczony, niżeli kosztowniejsze jakie naczynie, i dla tego to górala nie zobaczysz bez kółka drótu na ręce, dla tego pierwszém jego przemówieniem, czy to w dziedziniec, czy we drzwi mieszkania wchodzi, bywa zwykle: „Dajcie garnki drótować!

Wzrośli wśród gór, w pracy i ubóstwie, po największej części dorodnej są postawy; ubiór ich krajowy mile wpada w oko; krótka ciemna burka okrywa zwykle ramiona dróciarza, długie włosy zasłaniają mu szyję, a twarz ogorzałą wielki czarny kapelusz ocienia; dodajmy do tego szeroki pas skórzany świećącemi kółkami i ćwieczkami nabity i również ozdobną torbę, a będziemy mieli obraz prawdziwie malowniczy. Ale niestety! nic wiecznego na téj ziemi; kiedy się burka podrze, kiedy mimo najdowcipniejszych starań, kapelusz skrzydła utraci, biedny góral musi chociaż z boleścią przebrać się w sukmanę, lub w stary płaszcz żół-

nierski, zwyczajną czapka nakryć długie włosy,

i wtedy smutno patrzeć na niego, jak na ptaszka bez piórek, na muchę bez skrzydeł.

W pogodne dni lata, kiedy i o żywność łatwiej, i słońce blaskiem i ciepłem swoim tak cudownie ożywia te dzieci natury, dróciarze są najświetniejsi; wtedy i piosenkę zaśpiewa, i skocznie z węgierska zatańczy, i dopuściwszy się zbytku, kraśny kwiatek za kapelusz założy, lub czerwoną wstążeczką koszulę pod szyją zawiąże, wtedy rozciągnięty na słońcu, patrzy w błękit nieba, i woli nie jeść niż się wyrzec słodkiego far - niente (bo choć jestem bardzo dróciarzom życzliwą, wyznać jednakże muszę, że lenistwo jest ich panującą wadą). W zimie za to dróciarz od żadnego się zatrudnienia nie usunie, od najcięższej nawet pracy nie wymówi, się; kiedy mu zbraknie zarobku prosi wprawdzie o wsparcie, lecz nigdy się zupełnie nie oddaje żebractwu. Od wielu lat uważam tę klasę Ludzi, i ciekawie o niej zasięgam wiadomości. Jeden tylko stał się żebrakiem z rzemiosła, a nikczemnym czynem nie splamił się żaden. Pobożni, nawykli znosić nędzę cierpliwie i wesoło, szanują cudzą własność, i przy tak wiel-

kiej ich liczbie, przy częstej niebacznosci służących, nie było podobno przykładu żeby się cokolwiek kryjomo w torbę dróciarza wsunęło.

Mowa ich przeciągła lecz zrozumiała, sposób wyrażenia myśli oryginalny i zajmujący, powitaniem zawsze stare: „Niech będzie pochwalony!” pożegnaniem bywa: „Zostańcie z Bogiem !”

Dróciarze nie mieszkają pojedynczo; już to po

kilku sypiają po browarach, gdzie za pewne usługi pozwalają im właściciele ciepłego noclegu, i z rana każdy z osobna wychodząc na miasto sam myśli o swoim utrzymaniu; już też w większej liczbie schodzą się co wieczór do karczmem za rogatkami miasta położonych: w Marymoncie, w Powązkach, na Czystém, i składając ogólny dzienny zarobek do kassy (zaiste niezamożnej), pożywają wspólnie wieczerzę, i na twardo ubitej ziemi kładą się na spoczynek. .

Słomy ani sienników nie znają, - bo te nie godziłyby się z największą rozkoszą, z jedynym zbytkiem dróciarza, krótką glinianą fajką, której dym, o ile na to okoliczności pozwalają, słodko go do snu kołysze.

Jakkolwiek w kraju naszym chętnie przebywa zatatarzański góral, nie zobaczysz tu przecież starego dróciarza, bo po pewnym lat przeciągu wracają oni do domów, do rodzin, których czasem zaledwie wspomnienie znajdują.

Nie tyle zapewne zajmujący, lecz równie często snujący się po wszystkich stronach miasta są:

. Piaskowcy.

„Hej! piasku bia - fe - go — wi - śla - nego!”  
— Hej! piasek żółto - pomarańczowy! Piasek polowy!

Z takim wy krzykiem spotkać się można w Warszawie co chwila. Piasek bowiem sianowi ważny przedmiot ulicznego handlu, w mieście,

w którym już coraz trudniej o kawałek ziemi niepokrytej kamiennym kobiercem, w którym nieustannie wznoszą się nowe budowy. Tu, jak wszędzie handlujący dzielą się na klasy. Aristokrację stanowią właściciele wozów złożonych z czterech kół, i tyluż starych desek, zaprzężonych w jednego wysłużonego konia, który rzadko kiedy ma tyle siły, aby dźwigał jedno-

częściej towar, i sprzedającego; ten najczęściej postępuje poważnie obok słabo-ruchomego składu, i nawet w ogłaszaniu sprzedaży pozwala się wyręczać synowi, lub przybranemu młodszemu wspólnikowi, lecz bicz, godło jego powagi, nigdy w obce ręce nie przechodzi; obuwie, druga oznaka znaczenia, nie zawsze tak nieodstępny bywa.

Do średniej klasy należą tu młode chłopaki od lat do ; łączą się oni w handlowe towarzystwa od pięciu do ośmiu osób złożone; razem zakupują pozwolenie kopania piasku, i pracują wspólnie nad wydobywaniem i sprzedają towaru, jużto roznosząc go na plecach w małych woreczkach, już też wspólnym kosztem utrzymując nędznego konia, którego los, prawdziwie jest godnym politowania. Młodzi handlarze po największej części sieroty, lub też niedbałych rodziców dzieci, pozbawieni dozoru i opieki, oddani samym sobie, najczęściej nadużywają niezależności swojej, i z małymi wyjątkami, na twarzach ich wyryta jest gminna swawroła, w głosie i w mowie oschłe grubijaństwo, a najmilszą zabawą gry o pieniądze. Przykro patrzeć na te młode istoty tonące

w ponizającym próżniactwie, bo coż to z nich będzie jak na dojrzałych ludzi wyrosną, kiedy od dzieciństwa przywykli swobodnie się występnym oddawać nałogom, i własnemu tylko przywidzeniu ulegać!

Najniższa piaskowców klasa najbardziej mnie zajmuje; bo i kogóż nie wzruszy widok ośmioletniej a czasem nawet pięcioletniej dzieci, ledwie odzianej łachmanem jakim, zziębłą, ochryplą od ciągłego wołania, zginającą się jak mrówka pod ciężarem własną jej postawę przewyższającym; kogo nie rozczuli myśl, że kilka groszy tak ciężko zapracowanych przez tę drobną istotę jest może jedynym na cały dzień zasileniem biednej, schorzałej matki lub ojca, których cierpienie przykuło do lichego kącika za schronienie im służącego; a często tak bywa. Chłopczyk siedm może lat mający, przynosił co parę dni woreczek, piasku: ujęta potulną i słodką jego powierzchownością kucharka, dawała mu często oprócz zapłaty kawałek chleba w dodatku, ale chłopczyzna chował go zawsze w kieszeń podartej sukmanki, mówiąc: „wezmę to dla matki !u kucharka nakoniec ukroiła raz dwa kawałki chleba; chłopczyk schował je znowu.

— Ależ to dla ciebie ten drugi!

— Dziękuję pani! zjem go w domu przy matce!

Niechże kto powie że w ludziach od dzieciństwa pod ciężką pracą schylonych, niepodobna znaleźć tkliwości; delikatności uczucia.

. Różności.

Teraz od handlu i przemysłu przejdźmy cokolwiek wyżej; do zabaw i artystów ulicznych.

Zabawy i widowiska nie mające oznaczonego miejsca, a czasem nawet nazwiska, zachodzą w dziedzińce domów, po schodach do prywatnych mieszkań wstępują, byle poczciwego Warszawianina rozerwać, i grosz mu jaki wyłudzić.

Z początkiem Nowego Roku zjawia się znaczne powszechnie w Warszawie widowisko, szopką zwane; chłopcy nie mający lepszego zajęcia, kleją drewniane budki, w których ma się niby przedstawiać najważniejszy dla Chrześcijaństwa wypadek, narodzenie Chrystusa. Ale patrzcież jak najpiękniejszy zwyczaj w słownej tylko a

nie w duchowej tradycji przechowany, okropnie wyrodzić się może!

W średnich wiekach, kiedy po ciężkich klęskach przechodem barbarzyńców zrzędzonych, chrześcijaństwo swobodniej się rozwijać poczęło, kiedy świetne obrzędy mieszały się z cichą i głęboką czcią prawdziwego Boga, powstała także myśl niewinna przedstawiania widowisk, których treść brano z życia Zbawiciela.

Zstąpienie jego na ziemię, wybór ubogiej szopki na pierwsze mieszkanie Tego, który takie skarby szczęścia i miłości miał ludziom zostawić, radość prostych pasterzy, pierwszych świadków przyjścia, i pokora mędrców pierwszych hołdowników słowa bożego; wszystko to dostarczało przedmiotów do pobożnych, mile



wzruszających duszę widowisk. Szopki jak każdy pomysł ludzki różne przechodziły koleje; z początku kobiecej powierzone ręce i w domowym urządzeniu zaciszu, coraz więcej zdobić i udoskonalać poczęto, później z większym urządzano je przepychem, i nieraz prawdziwej sztuki utwory można było ujrzeć między figurkami w szopce ustawionymi; ale doszedłszy do takiej świetności, szopka ustąpiła z zamożnych

domów i zamków, przed nowymi zabawami, a przeniosła się do uboższej szlachty, kupców, rzemieślników; tu, ustawiając koło żłobu pasterzy śpiewających maleńkiemu Jezusowi, każdy dodawał figurkę przedstawiającą stan jego, bo zdawało mu się że kiedyś pastuszek mógł głośno wielbić Boga, toż i rolnik, żołnierz, rzemieślnik powinien był należeć do chwalcących Go wraz z aniołami, gdy równo z innymi całym sercem czcił Go i kochał; i ztąd to powstało owe mnóstwo figurek w przedstawianych później szopkach. Fałszywy dowcip i złośliwość, pododawała lalki, mające przedstawiać stan lub pojedynczą osobę, na którą śmieszność rzucić chciano, i przypuszczano szczerze, że kiedy śpiew wieśniaczy miłym był boskiemu dzieciątku, dziwolągi powstałe w uczonych głowach, przewyższyły go powinny; ztąd potworne i gorszące allegorye wcisnęły się do tego przybytku światła i czystości.

Tak przeobrażone i skalane szopki, dostały się w ręce wiejskich żaków i miejskich uliczników, a co ci z nich zrobili, zgroza pomyśleć! Przed potwornymi lalkami, mającymi wyobrazić

najświętszą rodzinę, wyskakują razem śmierć

i szatan; żyd i król jego Herod, Węgier i szkaradna jakaś istota Małgorzatką zwana; czasem bohater z znaniej jakiej opery; to żołnierz i dziad żebrak, a to wszystko, zastępowane przez Dyrektorów całego widowiska śpiewa śmieszne, nieprzyzwoite, niepojęte pieśni.

Biada ci matko! jeśli złudzona niewinném szopki imieniem, wrpuścisz zgorszenie w próg swojego domu; jeśli w nadziei zabawienia znużonych dzieci, pozwolisz skazić ich ucho brudnym, nikczemnym wyrazem. Ich umysł, ich dusza, to białe płótno gotowe przyjąć wszystko co na nie rzuci ręka malarza; ty na niém kręślisz niebieskiej wiary wyrazy, miłość jak pączek róży kwitnie już w ich serduszkach za twojém staraniem, nadzieja błogiej przyszłości rozwija się przed twém okiem jak świeża zielona gałązka oliwna; ale pozwól jednej tylko czarnej plamie paść na ten obraz uroczy, już jej najcięższą nie zetrzesz pracą, już jej najświetniejszą nie przykryjesz barwą!

Takie dziś są szopki; a przecież, dla czego miałyby zaginać? Czemużby dziś, kiedy wiara tak koniecznym jest istnienia warunkiem, czemużby znużonemu wzrokowi ludu nie przedsta-

wić znów tego cudownego obrazu, gdzie pan świata, władca, światło jego, brata się w ubóstwie z ubogim prostaczkiem? Już dawniej rzuciłam myśl tę dzieciom naszym; może ją kiedy starsi wrykonają; a dawny zwyczaj tak czysty

W źródle swoim, nie zaginie w kałuży poniżenia.

Jeżeli przy głównej ulicy, za ledwie otworzysz oczy i spojrzysz na dziedzi-  
niec, już ci się przedstawia katarynka, w któ-  
rą, po brzękliwej, nieznośnej muzyce tańczą  
drewniane lalki; czasem poważniejszą przed-  
stawiają scenę; naprzykład historią Otella i  
Desdemony, lub śmierć Napoleona; gniewa cię  
ta karykatura; ale spojrzysz kto ją przedstawia;  
oto stara kobieta, która tym sposobem od kilku  
już lat żywi starszego od siebie, zniedołężnia-  
łego męża. Albo ...

Ale oto okazalsze wtacza się towarzystwo;  
dwaj młodzi, silni ludzie ciągną na wózku  
małe organki i skrzyneczkę; trzeci pokaźniej-  
szy od tamtych niesie za suknią małpeczkę, i  
psa za sobą prowadzi.

Organki zaczynają uwerturę, i wnet z ulicy,  
z mieszkań całego domu wysypują się cieka-  
wi niezwykłego widowiska.

Dyrektor trupy trzaśnięciem z bicia za-  
kreśla obszerność sceny, a cierpliwi i nieo-  
braźliwi widzowie usuwają się chętnie.  
Pocziwy biały pudel osiodłany przyzwoi-  
cie, zaczyna maszerować z spuszczonej usza-  
mi podług brzmiejącej muzyki, a tymczasem  
małpa przybrana w czerwoną spódniczkę i ty-  
rolski kapelusz, wyskakuje na bruk żwawo,  
kłania się zręcznie szanownej publiczności,  
wykręca się z kijkiem dokoła, w końcu wska-  
kuje na pudła, który jako dobrze ułożony  
rumak nie zatrzymuje się w marszu ani na  
chwile, i uczepliwszy się pazurami nóg gęstej  
jego wełny, gra rękami bardzo zręcznie na  
maleńkich skrzypeczkach, bije w bębenek, strze-

la z drewnianej fuzyi, słowem, zadziwiającej zręczności i pojętności daje dowody; sypią się grosze i dziesiątki w kieszeń właściciela, padają jabłka, kawałki chleba i cukru dla aktorów, ale oni zdają się nie uważać na to, aż dopóki — znak pana nie upoważni ich do korzystania z ła-ski poczciwych widzów.

Z przyjemnością pogladają na to dzieci, uśmlechają się nawet starsi; tylko — jakąż to szkołę przeszły te biedne zwierzęta, by dojść do takiego posłuszeństwa; by się nauczyć walczyć z głodem, znużeniem, zimnem, upałem! Co to musi być za serce, w (ych ludziach młodych, zdrowych, zdolnych do pracy, wypasających się z uśmiechem, owocem wysień swych ofiar? jak oni śmieją w dobre buty opatrzeni, usiąść sobie na wózku, i popędzając biczem te dwoje zwierząt, które sobie biedne nogi po twardym bruku zbijają, kazać im jeszcze swoje ręce całować?

Rozśmieje się kto może z mego oburzenia, powie mi że to także jest rodzajem zarobku, przemysłu; być może — pojmuję ja że człowiek posługuje się zwierzęciem, że je sobie w pracy do pomocy przybiera; ale niechże się nie pozwala zwierzętom zastępować w tém, co jego właśnie zadaniem być powinno, niech okrucieństwem nie zmusza ich do wzniesienia się nad zakres im przeznaczony; niechaj godności człowieka nie poniża, bo takie postępowanie, jeśli nie woła o pomstę, to przynajmniej wzgardy uczucie wywołać musi.

Dla ucha niewytwornego słuchacza równie łatwo o rozrywkę jak dla oczu; oprócz wielkiej liczby katarynek wszelkiego rodzaju, spotkasz na warszawskim bruku najrozmaitszego rodzaju muzykę; tu młody Sabaudczyk grając na wioli, zdaje się do głębszego jeszcze snu pobudzać i tak już oddawna uszpiętego świszcza, którego w dziurawej skrzyneczce dla ciekawych na plecach nosi; tam dwóch maleńkich żydków, rzępoli niemiłosiernie na rozstrojonych skrzypcach; orkiestra z kilku mężczyzn i kobiet złożona, z przedętego klarynetu, dromli i tamburyna usiłuje niby cygański utworzyć koncert; dalej, owoc zapewne długoletniej wprawy, ujrzysz, jak jeden człowiek jednocześnie gra na siedmiu muzycznych narzędziach! ręce, nogi, łokcie, głowa, usta tego biedaka pracują ciężko, by z najrozmaicij umieszczonych dzwonków, triangelów, kotłów wydobyć jak najmniej rażące dźwięki; a któż nie zna owych grup Czechów lub Bawarów, którzy jednakowo ubrani, stanawszy w półkole, z spiżowych narzędzi wydmuchują tony; niestety! nie tyle zgodne z sobą, ile ubiory i postacie wirtuozów. Znamca i wielbiciel muzyki przechodzi spiesznie ulicą, by

niesforne ich granie nie obraziło mu słuchu, mniej wykwintni rzucają im w nagrodę chwilowej rozrywki kilka nędznych groszy, nie myśląc zapewne, że w każdej takiej orkiestrze może być człowiek z prawdziwem czuciem, zamiłowany w muzyce, wielbiący ją jako sztuka, kochający jak pocieszycielkę w smutku

i tęsknocie, który może obojętnie gra dla kawałka chleba, ale pod tej pozorniej obojętności maską, boleść rozdziera mu duszę—że to właśnie co najwyżej ceni, co wewnętrzne szczęście jego stanowi, muzykę, skarb swój, ponieważ wierać musi wśród niezgodnych, machinalnych wrzasków towarzyszy swoich, przed obcą tego pojęcia gawiedzią!

Przyzwyczajoną do wszystkich podobnych koncertów, miła mnie jednak niespodzianka tego lata spotkała; dwaj mieszkańcy Podgórza z kobzą i skrzypkami, w kapeluszach o czerwonej wstążeczce, zjawili się na ulicach Warszawy; dwie tylko sztuczki grali biedni muzykanci; po tęsknej góralskiej piosence, żwawy, porywisty następował krakowiak; a w łyżane chodaki obuta noga grajka, wytupując takt po brukowych kamieniach, zdawała się gotową do tańca, mimo nędzy

i znużenia, widocznie przebijających się przez bladość twarzy i podarte odzienie. W pierwszej chwili, ta melodia tak różna od wszystkich wspominanych dopiero, mile znęciła me ucho, ale potem jakiś rodzaj żalostnej zazdrości ścisnął mi serce; więc i wy piosnki nasze tak długo ukryte pod słomianą strzechą wieśniaka, wy coście tylko z pracowicie uprawianej roli, z zielonych dąbrów wznosiły się ku niebu jako wyraz wesela i dziękczynienia, idziecie w świat wraz z walcami, tyrolami bawić ulicznych próżniaków, idziecie zarabiać na chleb, który dotąd krasiliście tylko!

Z tego co o ulicach Warszawy powiedziałam, nie należy wnosić, że Warszawian podrzędne tylko ujmują rozrywki; w wielkim mieście, każdy stopień ukształcenia powinien znaleźć stosowną dla siebie zabawę, dla tego i

Warszawa rozmaite zabaw rodzaje w obrębie swym mieści, ale poglądając na ogół, śmiało rzec można, że się większość zawsze ku wyższej, szlachetniejszej stronie przechyla.

Spojrzymy, czy w czasie przedstawienia szczytnego jakiego dramatycznego utworu,

znajdzie się próżne miejsce tak w jednym jak w drugim teatrze naszym? czy żart wesoły z wad i śmieszności naszych nie wywołuje szczerých oklasków, choć się nie raz sami w zabawnym obrazku poznamy? Dobra muzyka iluż między Warszawianami zwolenników liczy? Niech powiedzą siewni cudzoziemscy wirtuozowie, jak wdzięcznie i hojnie przyjmuje ich nasze miasto; nie nauczyliśmy się jeszcze wprawdzie swoich oceniać talentów, nie śmiemy w zbytku skromności przyklasnąć zdolności polskiem pokrytej nazwiskiem, dopóki jój zagraniczny świat nie uzna tego godną; ależ to nie samój Warszawy, to ogólna całego kraju wada; boimy się za niezawców uchodzić, lepiej być rzeczywiście niesprawiedliwymi!

Chcąc mieć wyobrażenie o postępie umysłowego ruchu, policzmy ile to w kilku ostatnich latach przybyło księgarni w Warszawie., a wszystkie się utrzymują i utrzymają długo; możeby dia miłości prawdy wypadało przyznać, że daleko więcej kupujemy w nich francuzkich ro-

mansów lub ich tłumaczeń, niżeli dobrych dla nas i w naszym języku pisanych książek; ależ, to są resztki zarazy co nas była w końcu ze-

szłego wieku tak silnie owiała, że się z niej jeszcze należycie otrząsnąć nie możemy; w Bogu nadzieja, i w usiłowaniach zacnych, szlachetnych mężów, co życie i ciągłą pracę swoje poświęcają, by nas ku czystemu prawdziwemu światłu pociągnąć, wyjdziemy i my przecież kiedyś z tych chmur ciemnoty i przesądu, co się tak rade nad naszemi głowami skupiają!

Przedmioty ezysto-naukowe nie są nam obojętne; w dni otwierania muzeów i gabinetów mineralogicznych, zoologicznych, fizycznych, plastycznych, ciekawi cisną się do drzwi tych przybytków; do prywatnych zbiorów z zapalem starają się o wnijscie; w każdym ogólnym postępie Warszawianie czynny biorą udział; dowodem tego wystawa płodów przemysłu krajowego, i wystawa sztuk pięknych co cztery lata otwierane, które przez kilkotygodniowy ciąg trwania swego, nieustannie tłumami zwiedzane były. Téj jesieni otworzona wystawca roślin przy Saskim ogrodzie, całą Warszawę zważyła pod cienie owych mirtów, palm, platanów, cyprysów, pod naszym chmurném niebem troskliwą wypielegnowanych ręką; każdy zdawał się pragnąć naocznego przekonania, czy rze-

czywiście można zwyciężko walczyć nawet



z samą naturą, kiedy bronią naszą jest wytrwałość i praca.

Jakkolwiek sztuki piękne nigdy troskliwie nie pielęgnowane, nie mogły się u nas należycie rozwinąć, spytajcie mistrzów naszych, którzy czasem pracownie swoje otwierają wybranym, spytajcie mówię, ile to osób z proźbą i zapalem ciśnie się do wielkich myślą i wykonaniem obrazów naszego Suchodolskiego, ile ich pragnie podziwiać historyczne, mistrzowskim pędzlem Kaniewskiego wykonane portrety; tkliwe i czyste Chojnackiego utwory; z jakim przejęciem stają przed obrazami Lessera, z jaką wdzięcznością i czcią poglądają na człowieka, który nasze życie, nasze dzieje, za pośrednictwem najszlachetniejszej z sztuk pięknych przedstawia artystycznemu i czującemu światu? spytajcie, a przekonacie się, że Warszawianin zatrzymujący się z uśmiechem przed wywieszoną na ulicę mierną ryciną lub śmieszoną karykaturą, umie czcić prawdziwą piękność sztuki i szlachetną wyższą myśl w niej, należycie ocenić i uwielbić.

Czy Warszawa jest dobroczynną? na to odpowiedź w licznych zakładach i nieustannych

darach dla ulgi cierpiących znoszonych; — a któż zapyta czy pobożna? jeżeli widział tegoroczny obchód Jubileuszu, jeżeli uważał z jaką to ufnością wzrok wszystkich wznosił się w niebo; jak każdy stan, każdy wiek, począwszy od żebraka kaleki, do najmożniejszych, od starca nad grobem stojącego do wytwornej młodzieży, niegdyś z ciekawości tylko zwiedzającej kościoły; jak mówie każdy modlił się gorąco o zlitowanie, o łaskę! nie powątpi o szczerości tego uniesienia, kto

słyszał jęk i płacz ogólny odpowiadający kapłanowi wzywającemu do szczerzej serdecznej pokuty za winy, które na nas karę bożą ściągają; kto widział jak chętnie otwierały się dłonie ku wsparciu nędzy, jak po chrześcijańsku dopełniano wszystkich przepisów kościoła.

Słowem, w Warszawie znajdziesz wszystko co dobre, piękne, szlachelne, tylko popatrz, poszukaj! Znajdziesz wiele, wiele złego, a to najczęściej samo w oczy bije, czasem przecież kryje się w cieniu, z którego nie mam zamiaru na jaw go wywodzić; znajdziesz, prócz tego co powiedziałam, wszystko czego nie dotknęłam jeszcze, co zdolniejsi, bieglejsi odemnie, w właściwszym kształcie i porze powiedzą;

Znajdziesz — jeżeli przy rozpoczęciu czytania téj książki obiecywałeś sobie coś większego, dokładniejszego, że nie zawsze chęć dobra ważne wydaje owoce, a bogdajbyś przyznał, że jakkolwiek prosta, nieumiejętna, ale o swoich, pocziwych rzeczach gawęda, może być milszą od zręcznego obcych wad i zbrodni obrazu.

KONIEC